iMAGAZiNE

1/2024 (157) / ISSN 2082-3630 / imagazine.pl

tapnij by przejść do menu/spisu treści

przejdź do Twittera autora

przeciągnij w prawo

Bowers & Wilkins

Bezprzewodowe słuchawki nauszne Px7 S2

Usłysz muzykę zgodnie z zamierzeniami artysty

Słuchawki nauszne Bowers & Wilkins Px7 S2 to następca wielokrotnie nagradzanego modelu PX7, łącząc sobie innowacyjne rozwiązania techniczne – tym ulepszone ANC – wyjątkowym komfortem użytkowania. Najnowsza konstrukcja zapewnia precyzyjne, naturalne jednocześnie angażujące brzmienie True Sound, co jest zasługą 40-mm przetworników. Inspiracją do ich opracowania były kolumny głośnikowe klasy premium należące do stosowanej studiach nagraniowych serii 800 Diamond.

Salony firmowe Bowers & Wilkins: www.tophifi.pl

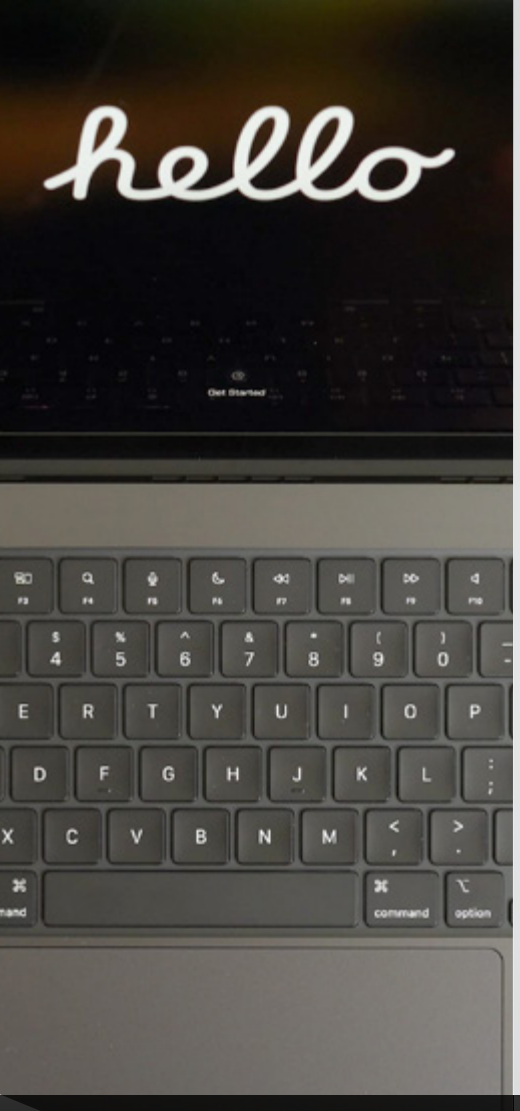

Najdroższy MacBook Pro 16” z M3 Max...
Wojtek Pietrusiewicz

Devialet Gemini II – to da się lepiej?
Paweł Hać

Sharp XL-B514 Tokyo FM Hi-Fi Micro System – nie wyrzucaj płyt CD
Dariusz Hałas

Pierwsze wrażenia z Meta Ray-Ban Wayfarer...
Wojtek Pietrusiewicz

Okiem Pawła Jończy

7 Okiem Pawła Jończy

Aktualności

15 Aktualności

Podróże

44 Lizbona na city break | Wojtek Pietrusiewicz

Productivity

63 Jak robić brainstorming w zespole, czyli jak doszliśmy do 4 wartości Nozbe – Pasji, Prostoty, Wolności i Bycia Fair? | Michał Śliwiński

Lifestyle

71 Lifestyle | Dominik Łada

74 Skrócona historia Panerai i Radiomir California | Wojtek Pietrusiewicz

Audio

83 Devialet Gemini II – to da się lepiej? | Paweł Hać

88 Sharp XL-B514 Tokyo FM Hi-Fi Micro System – nie wyrzucaj płyt CD | Dariusz Hałas

Sprzęt

93 Najdroższy MacBook Pro 16” z M3 Max (16-core CPU / 40-core GPU) ze 128 GB RAM i 8 TB SSD – wyjmujemy z pudełka | Wojtek Pietrusiewicz

95 Pierwsze wrażenia z Meta Ray-Ban Wayfarer – rób zdjęcia, wideo lub livestreamuj | Wojtek Pietrusiewicz

104 Samsung Galaxy S23 FE – fani wiedzą, co dobre | Paweł Hać

110 Garmin Venu 3 – to więcej, niż się wydaje | Paweł Hać

117 Amazfit Active Edge – zegarek dla aktywnych w przystępnej cenie | Maciej Skrzypczak

121 Mujjo Full Leather Case dla iPhone'a 15 Pro Max – najlepsze etui, jakie do tej pory miałem | Maciej Skrzypczak

126 Mio MiVue J756DS Oczy z każdej strony | Dariusz Hałas

133 Dron – moje nowe spojrzenie | Adalbert Freeman

142 Pogromca mandatów – Logitech G923 | Paweł Okopień

146 Mały biznes, wielkie technologie – Samsung Flipchart | Paweł Okopień

150 Sharp AF-GS552A – smacznie i bez tłuszczu | Agnieszka Serafinowicz

TV

156 Sharp 55GP6260E – 2399 PLN za feerię kolorów | Paweł Okopień

Lizbona na city break
Wojtek Pietrusiewicz

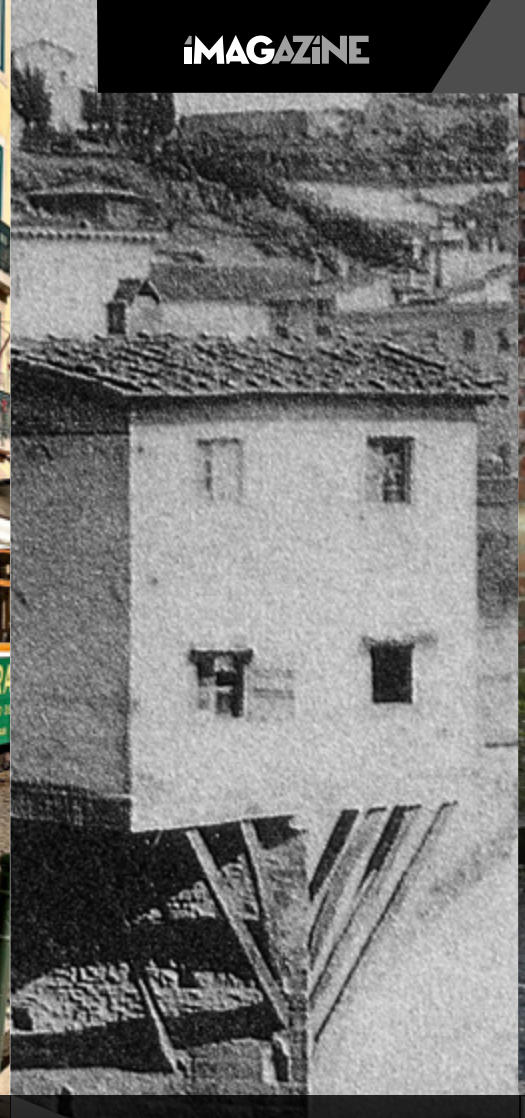

Skrócona historia Panerai i Radiomir California
Wojtek Pietrusiewicz

Jeep Grand Cherokee 4xe Summit Reserve...
Dariusz Hałas

Ciasto makowo-jabłkowe
Małgorzata Łada

162 Jakość mini LED w przystępnej wersji – Hisense U6 | Paweł Okopień

Mobilność

167 VW Amarok | Wojtek Pietrusiewicz

174 Jeep Grand Cherokee 4xe Summit Reserve – Luksus po amerykańsku | Dariusz Hałas

183 Toyota Prius Plug-in Executive – Jedna idea mnie urzekła | Dariusz Hałas

194 Cupra Formentor VZ5 ¡Qué pasada! | Dariusz Hałas

Software

204 Threads – pierwsze wrażenia | Wojtek Pietrusiewicz

Gry

207 Boeing Field (KBFI) | Wojtek Pietrusiewicz

211 Málaga – Costa del Sol Airport (LEMG) | Wojtek Pietrusiewicz

215 Don Mueang International Airport (VTBD) | Wojtek Pietrusiewicz

Porady

220 Dostosuj ustawienia 5G w iPhonie do swoich potrzeb | Maciej Skrzypczak

Felietony

224 Jak rozmawiać w ramach naszych baniek | Krzysztof Kołacz

228 Lista życzeń do Apple na 2024 rok | Krzysztof Kołacz

231 Czelendż 2023 – podsumowanie listopada, czyli rowery w Hiszpanii | Dominik Łada

Strefa Bitcoina

238 Bitcoin, nie blockchain! | Gracjan Pietras

Film

246 Godzilla Minus One | Jan Urbanowicz

249 Ferrari | Jan Urbanowicz

253 Premiery streamingowe styczeń 2024 | Jan Urbanowicz

Muzyka

255 Starzy, ale jarzy | Maciej Szamowski

Makowa kuchnia

257 Ciasto makowo-jabłkowe | Małgorzata Łada

AUTHENTICS

NOWA SERIA GŁOŚNIKÓW INSPIROWANYCH STYLEM RETRO!

JBL AUTHENTICS 200

JBL AUTHENTICS 500

Dolby Atmos

JBL AUTHENTICS 300

JBL AUTHENTICS - AUTENTYCZNE BRZMIENIE W TWOIM STYLU!

Stylistyka retro i najnowsze technologie dźwięku! Głośniki inspirowane kultowymi projektami JBL z lat 70., dostosowane do potrzeb XXI wieku. Jednoczesna obsługa Google Assistance i Amazon Alexa do odtwarzania ulubionej muzyki oraz sterowania inteligentnymi urządzeniami domowymi wyłącznie za pomocą głosu. Bezproblemowe parowanie Bluetooth, aplikacja JBL One, automatyczna kalibracja, wykonane z materiałów z recyklingu.

Dowiedz się więcej

Bluetooth® Chromecast built-in Works with Apple AirPlay Spotify ENERGY STAR

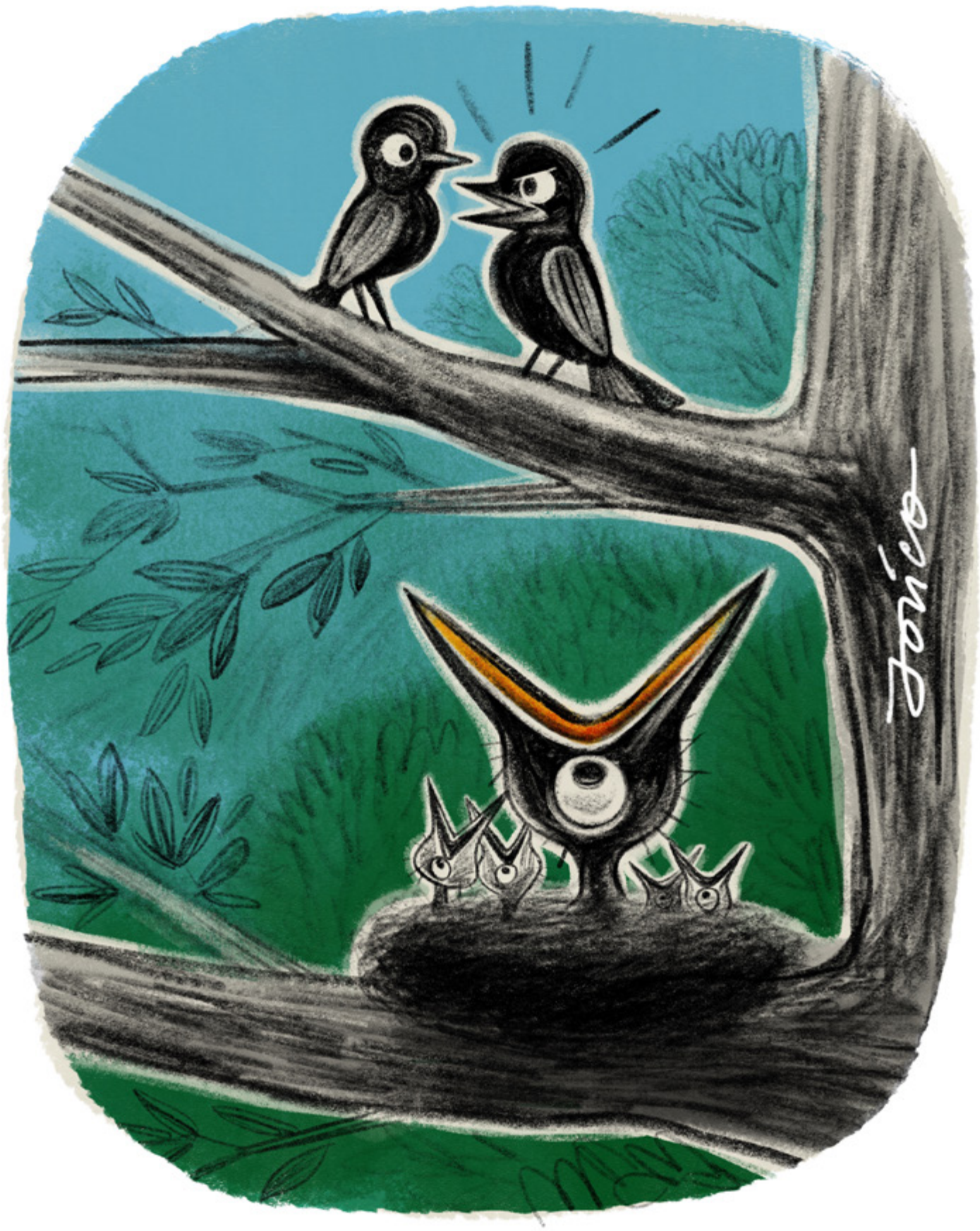

"Mam wrażenie, że to jednak nie jest interwencja poselska"

PAWEŁ JOŃCA
@paweljonca

CREATIVE®

SBS E2500

WIELOZADANIOWY SYSTEM GŁOŚNIKOWY 2.1

W jednym urządzeniu znajduje się radio FM, odtwarzacz MP3/USB, Bluetooth 5.0, wejście Aux dla zewnętrznych sprzętów odtwarzających np. komputera i telewizora.

60W PEAK
POWER

POWERFUL BASS

FM
FM RADIO

USB
MP3 PLAYER

AUX

WIRELESS REMOTE

5.0

dostępne w sklepach: mediaexpert morele.net ELECTRO.pl

więcej informacji na stronie: creative.pl

Zaczynamy kolejny rok wspólnej podróży przez świat lifestyle'u i technologii. Aż trudno uwierzyć, że to już 16 lat. W sumie 210 wydań, z czego 157 pod marką iMagazine oraz 21 wydań specjalnych. Kawał historii. Dziękujemy!

Wydanie styczniowe to między innymi najnowszy, najdroższy i najwydajniejszy MacBook Pro M3 Max. City break w Lizbonie. Testujemy okulary od Ray-Ban i Mety. Budujemy drony od podstaw i jeździmy nieoczywistymi samochodami. Od tego numeru będziemy Wam prezentować ciekawe zegarki, z duszą i wyjątkową historią. Oczywiście to nie wszystko.

Korzystając z okazji, chciałbym życzyć, aby nowy rok przyniósł Wam innowacyjne pomysły, stabilność systemów, szybkość łącza do osiągania celów oraz bezpieczne aktualizacje... wersji życiowego oprogramowania!

Zapraszam do numeru!

Dominik Łada

AMBΞO Soundbar | Mini

Najbardziej wciągający dźwięk w jednym kompaktowym urządzeniu

Poznaj najmniejszego członka rodziny soundbarów Sennheiser AMBEO. Model Mini został zaprojektowany z myślą o zapewnieniu wciągającego przestrzennego dźwięku w małych pokojach. Najnowocześniejsza technologia wirtualizacji AMBEO odtwarza system kina domowego 7.1.4 z wbudowanymi dwoma subwooferami, bez zaśmiecania pokoju kablami i dodatkowymi głośnikami.

Ciesz się wciągającymi wrażeniami dźwiękowymi w najbardziej kompaktowej formie.

www.sennheiser.pl/ambeo-mini

SENNHEISER

WSPÓŁPRACA

Paweł Jońca

Mariusz Ostrowski

Paweł Okopień

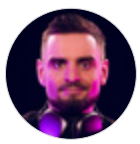
Krzysztof Kołacz

Jan Urbanowicz

Paweł Hać

Maciek Skrzypczak

Małgorzata Łada

Gracjan Pietras

Napoleon Bryl

Ania Gabryś

Dariusz Hałas

Franciszek Łada

Thomas Voland

Michał Śliwiński

Adalbert Freeman

Maciek Szamowski

Teksty, grafiki oraz inne treści opublikowane na łamach „iMagazine" są chronione prawami autorskimi wydawcy magazynu „iMagazine", ich autorów lub osób trzecich. Znaki towarowe i wszelkie inne oznaczenia o charakterze odróżniającym, umieszczone w „iMagazine" podlegają ochronie prawnej na rzecz wydawcy magazynu „iMagazine" lub innych uprawnionych osób trzecich. Używanie bądź korzystanie z utworów, znaków towarowych lub oznaczeń, o których mowa wyżej, jest zabronione bez uzyskania uprzedniej pisemnej zgody właściwego podmiotu uprawnionego, z wyjątkiem wykorzystania ich zgodnie z prawem dla celów prywatnych i niekomercyjnych.

Redakcja nie zwraca niezamówionych tekstów i fotografii oraz zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania nadesłanych materiałów. Zdjęcia z zasobów Apple dzięki uprzejmości Apple Inc. Pozostałe zdjęcia z zasobów autorów lub redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń.

Nasz magazyn monitorowany jest
przez Instytut Monitorowania Mediów IMM

iMAGAZINE

WYDAWCA
Mac Solutions Dominik Łada,
Nalewki 8/79, 00-158 Warszawa
NIP: 118-135-60-13

REDAKCJA
redakcja@imagazine.pl

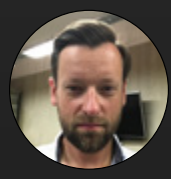
REDAKTOR NACZELNY
Dominik Łada
+48 501 055 988 | d.lada@imagazine.pl

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO
Wojtek Pietrusiewicz
w.pietrusiewicz@imagazine.pl

REKLAMA
reklama@imagazine.pl

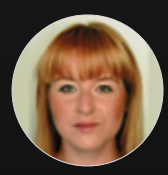
KOREKTA
Malwina Wadas

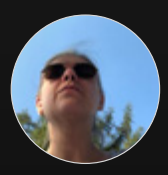
KOREKTA
Ania Gabryś

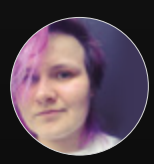
WEBMASTER
Angelika Borucka

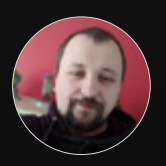
WEBMASTER
Krzysztof Stambuła

PROJEKT GRAFICZNY I SKŁAD
Mateusz Gileta
m.gileta@imagazine.pl

PROJEKT OKŁADKI:
Wojtek Pietrusiewicz

iMAG SMARTHOME

02/2023 / www.imagazine.pl

iMAGAZINE | Mieszkaj inteligentniej

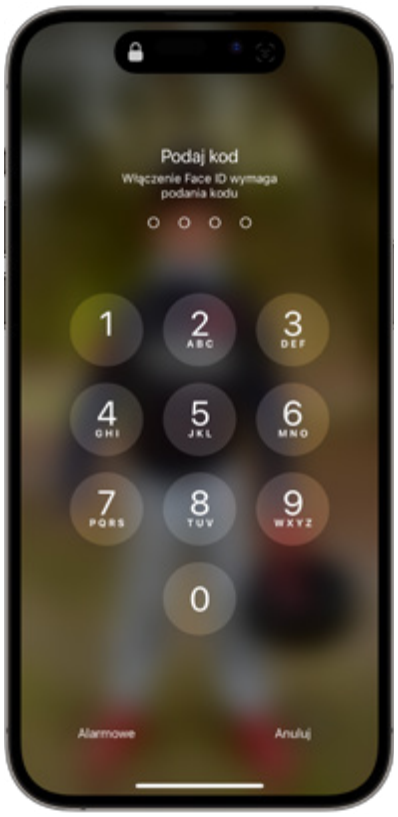

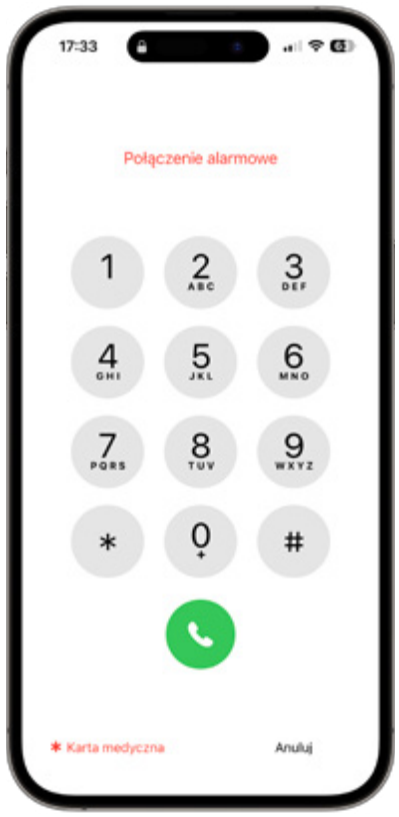

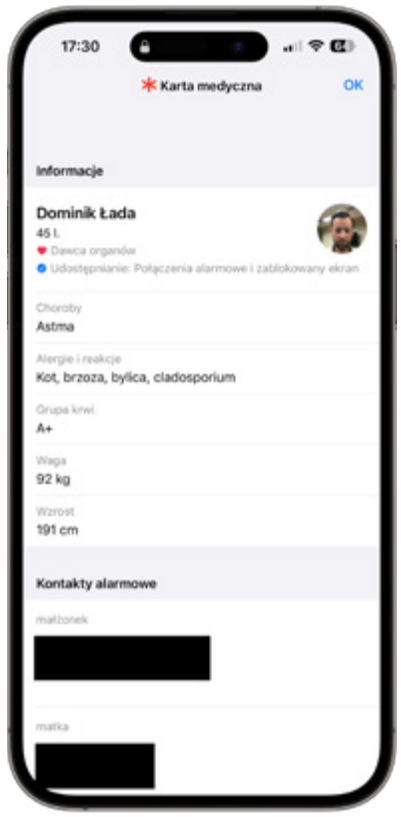

JAK ODCZYTAĆ
Z ZABLOKOWANEGO EKRANU

KARTA MEDYCZNA W iPHONE

UZUPEŁNIJ / ODCZYTAJ Z ZABLOKOWANEGO EKRANU

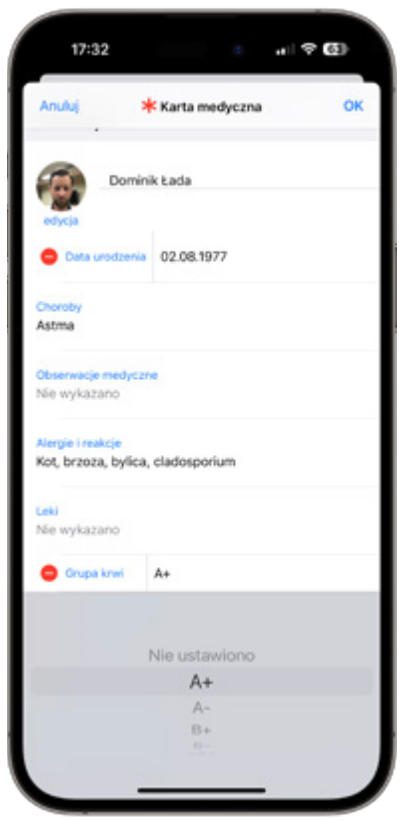

JAK UZUPEŁNIĆ

iMAGAZiNE

JAK ODCZYTAĆ
Z ZABLOKOWANEGO EKRANU

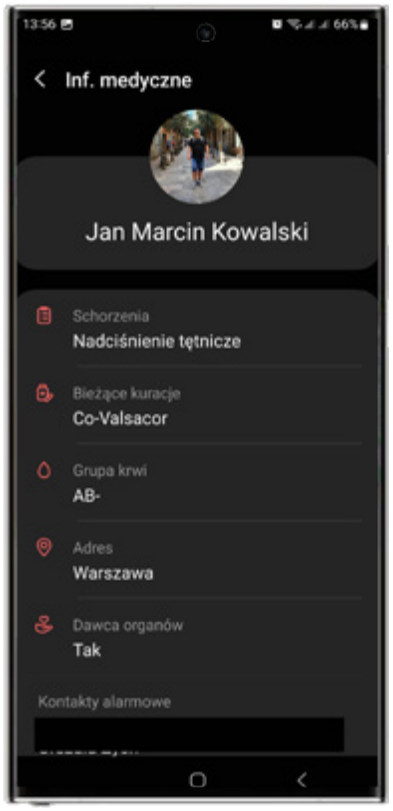

INFORMACJA MEDYCZNA W ANDROIDZIE

UZUPEŁNIJ / ODCZYTAJ Z ZABLOKOWANEGO EKRANU

JAK UZUPEŁNIĆ

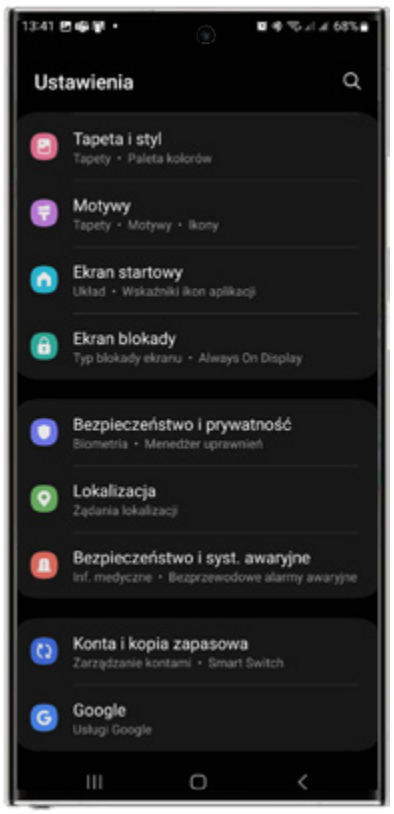

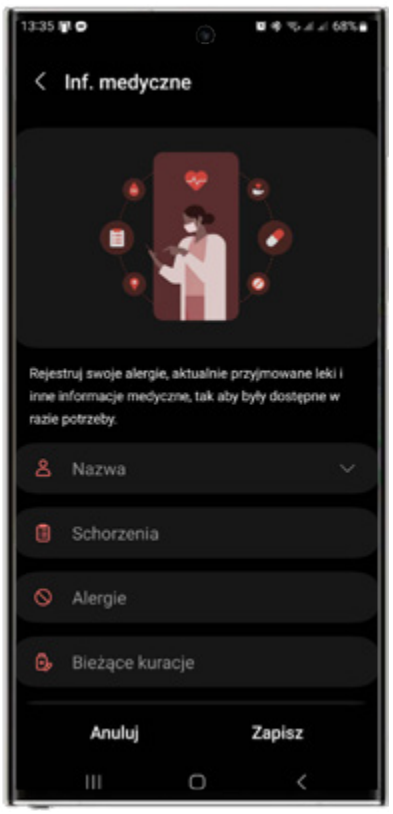

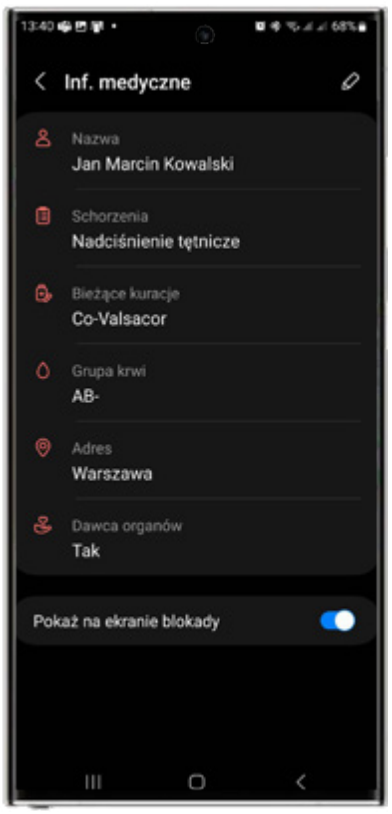

SAMSUNG

iMAGAZiNE

Aktualizacja iOS do wersji 17.2.1

Czytaj dalej....

Aktualizacja macOS Sonoma do wersji 14.2.1

Czytaj dalej....

Nowa aktualizacja firmware'u dla AirPods 3

Czytaj dalej....

Nowa aktualizacja firmware AirPods Pro 2

Czytaj dalej....

Aktualizacja watchOS do wersji 10.2

Czytaj dalej....

Aktualizacja tvOS 17.2 i HomePod 17.2

Czytaj dalej....

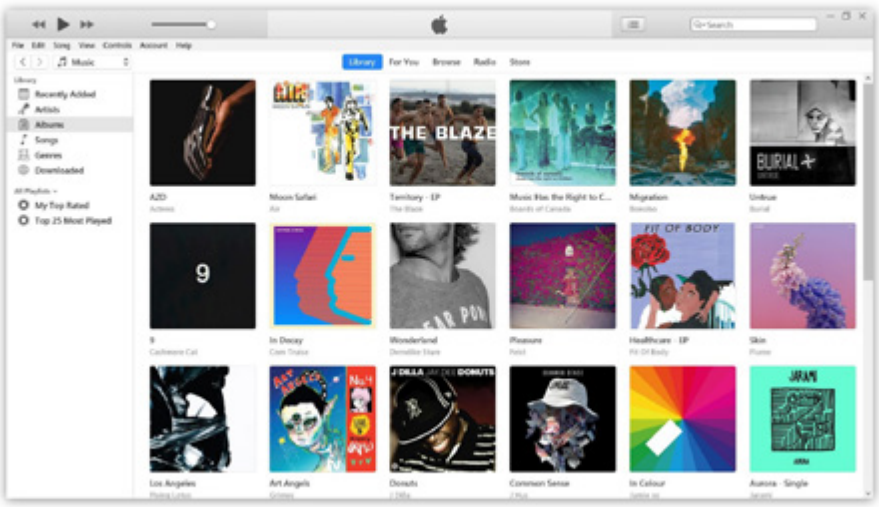

Aktualizacja iTunes dla Windows do wersji 12.13.1

Czytaj dalej....

Nowa funkcja rejestrowania wideo przestrzennego na iPhonie 15 Pro

Czytaj dalej....

Aktualizacja do Final Cut Pro 10.7 dla macOS i 1.3 dla iPadOS

Czytaj dalej....

Apple wprowadza Journal – aplikację do refleksji nad tym co w życiu ważne

Czytaj dalej....

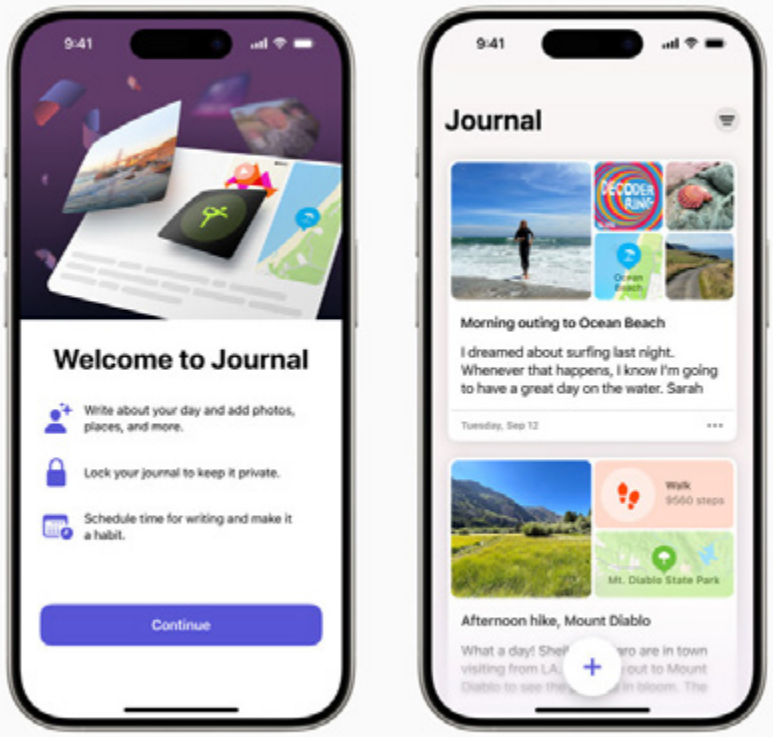

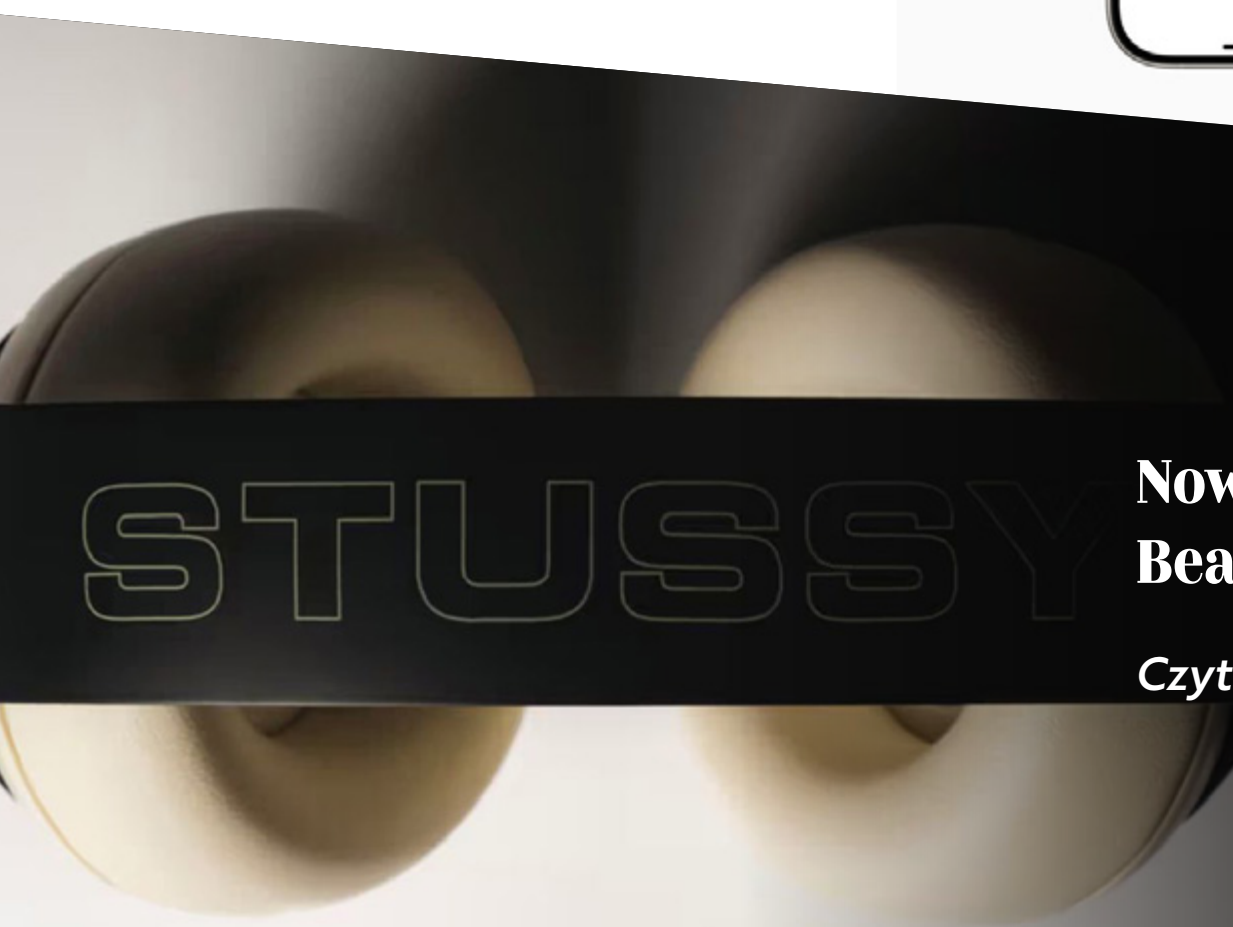

Nowa limitowana edycja Beats Studio Pro

Czytaj dalej....

Noworoczna odznaka Apple Watch

Czytaj dalej....

Wiemy w jakich autach zadebiutuje Apple CarPlay nowej generacji w 2024 roku

Czytaj dalej....

Apple zaczęło sprzedawać samo etui USB-C dla AirPods Pro 2

Czytaj dalej....

Meta (Facebook) zapłaci 725 milionów dolarów za Cambridge Analytica

Czytaj dalej....

Apple Watch Series 9 i Apple Watch Ultra 2 wycofywane ze sprzedaży

Czytaj dalej....

Pay

Apple otwiera system Apple Pay NFC w iPhonie, aby uspokoić UE

Czytaj dalej....

Apple odwołuje się od zakazu sprzedaży Apple Watch Series 9 i Watch Ultra 2

Czytaj dalej....

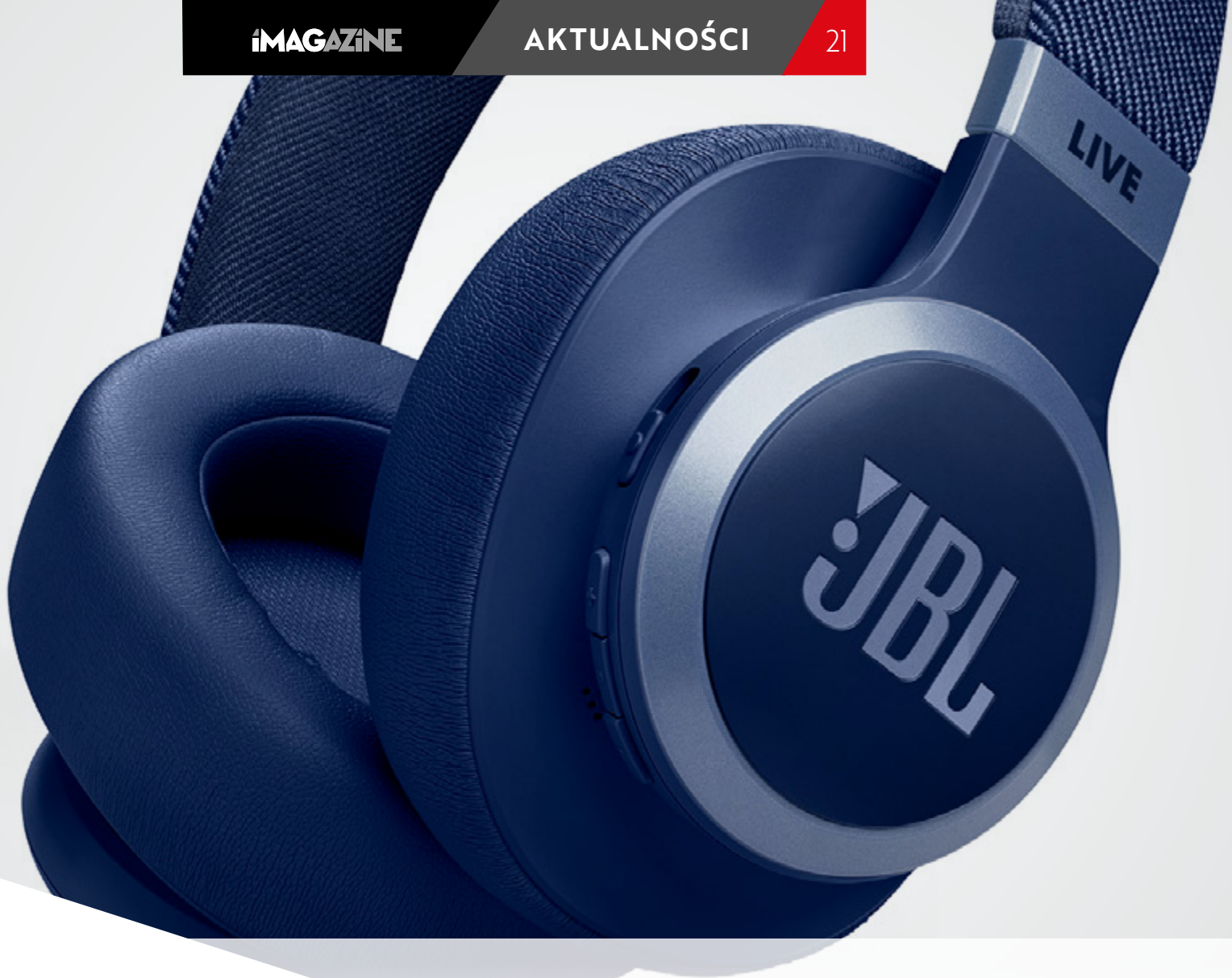

JBL Live 770 NC

JBL Live 770NC to bezprzewodowe słuchawki wokółuszne z True Adaptive Noise Cancelling, które gwarantują potężne, legendarne brzmienie JBL w wygodnej formie wokółusznej z pałąkiem.

True Adaptive Noise Cancelling z technologią Smart Ambient pozwala zasłuchać się bez rozpraszania uwagi. A gdy nie chce się odcinać od świata wokół, można nawet rozmawiać bez zdejmowania słuchawek. Łatwy dostęp do asystenta głosowego poleceniem głosowym lub dotknięciem nausznika pozwala włączyć ulubioną playlistę, wysłać wiadomość, sprawdzić pogodę i wiele więcej. Muzyki można słuchać nawet przez 65 godzin (50 godzin z włączonym BT+ANC). To wciąż za mało? Szybkie, 5-minutowe ładowanie doda kolejne cztery godziny. JBL Live 770 NC łączą się z dwoma urządzeniami Bluetooth® jednocześnie, dzięki czemu nigdy nie przegapi się połączenia, nawet oglądając film na tablecie.

Oprócz potężnego, legendarnego brzmienia JBL, 40-milimetrowe przetworniki oferują wciągający dźwięk przestrzenny JBL, który zmienia

materiał stereo z dowolnego urządzenia w wirtualny dźwięk przestrzenny. Bluetooth 5.3 z obsługą dźwięku LE (dostępne za pośrednictwem aktualizacji OTA na późniejszym etapie) umożliwia bezprzewodowe przesyłanie wysokiej jakości dźwięku. Tryb audio zapewnia najlepsze dostępne brzmienie, a tryb wideo gwarantuje, że dźwięk i obraz w filmach i grach są zawsze zsynchronizowane. Dodatkowo redukcja hałasu True Adaptive Noise Cancelling z technologią Smart Ambient True Adaptive Noise Cancelling z czterema czujnikami hałasu pozwala skupić się na nauce lub zasłuchać w muzyce bez rozpraszania uwagi. Natomiast jeśli chce się słyszeć, co się dzieje dookoła bez zdejmowania słuchawek, technologia Smart Ambient pozwala wzmocnić dźwięki otoczenia.

Ładowanie za pomocą wygodnego kabla USB typu C trwa zaledwie 2 godziny i pozwala na bezprzewodowe słuchanie do 50 godzin. A gdy nie ma się czasu, krótkie, 5-minutowe ładowanie wystarczy, aby słuchać muzyki przez kolejne 4 godziny. Żywotność akumulatora wydłuża się do nawet 65 godzin przy włączonym Bluetooth i wyłączonym ANC. Zdjęcie słuchawek automatycznie zatrzymuje muzykę, a ich ponowne założenie automatycznie ją wznawia. Prościej się nie da.

Alexa lub Asystent Google są zawsze pod ręką. Asystenta głosowego można aktywować jego hasłem lub dotknięciem nausznika. Natomiast połączenie wielopunktowe umożliwia bezproblemowe przełączanie między urządzeniami Bluetooth®. Przejście z wideo na tablecie do połączenia na telefonie jest proste i pozwoli już nigdy nie przegapić żadnej chwili. Łatwo też skonfigurować słuchawki do automatycznego parowania z urządzeniem Android lub Windows, gdy tylko znajdzie się ono w pobliżu. A jeśli kiedyś zgubi się słuchawki, ponad 3 miliony użytkowników Androida automatycznie pomogą je znaleźć dzięki nowej usłudze Google Finder.

Znajomi, rodzina i współpracownicy usłyszą każde słowo użytkownika nawet, gdy rozmawia na wietrze, dzięki dwóm kształtującym wiązkę mikrofonom do połączeń.

Dzięki miękkim nausznikom i teksturowanemu pałąkowi z tkaniny w ziemistych odcieniach słuchawki te są wygodne i wyjątkowe. A po ich zdjęciu można je wygodnie schować do ochronnego etui.

Bezpłatna aplikacja JBL Headphones to możliwość sterowania ścieżką dźwiękową swojego życia. Pozwala ustawiać preferencje słuchawek, takie jak dostosowanie ANC, spersonalizowanie zachowania słuchawek lub szybkie ustawienie niezwykle realistycznego dźwięku w filmach, muzyce i grach. Dostosowuje też dźwięk do indywidualnych potrzeb, dzięki funkcjonalności Personi-Fi 2,0. Wystarczy wykonać szybki i łatwy test słuchu, aby automatycznie skonfigurować własny profil dźwiękowy, gotowy zawsze, gdy założy się słuchawki. To wszystko.

UE planuje pomóc Spotify w walce z Apple

Czytaj dalej....

Threads uruchomiony w Europie – nie musisz mieć konta na Instagramie

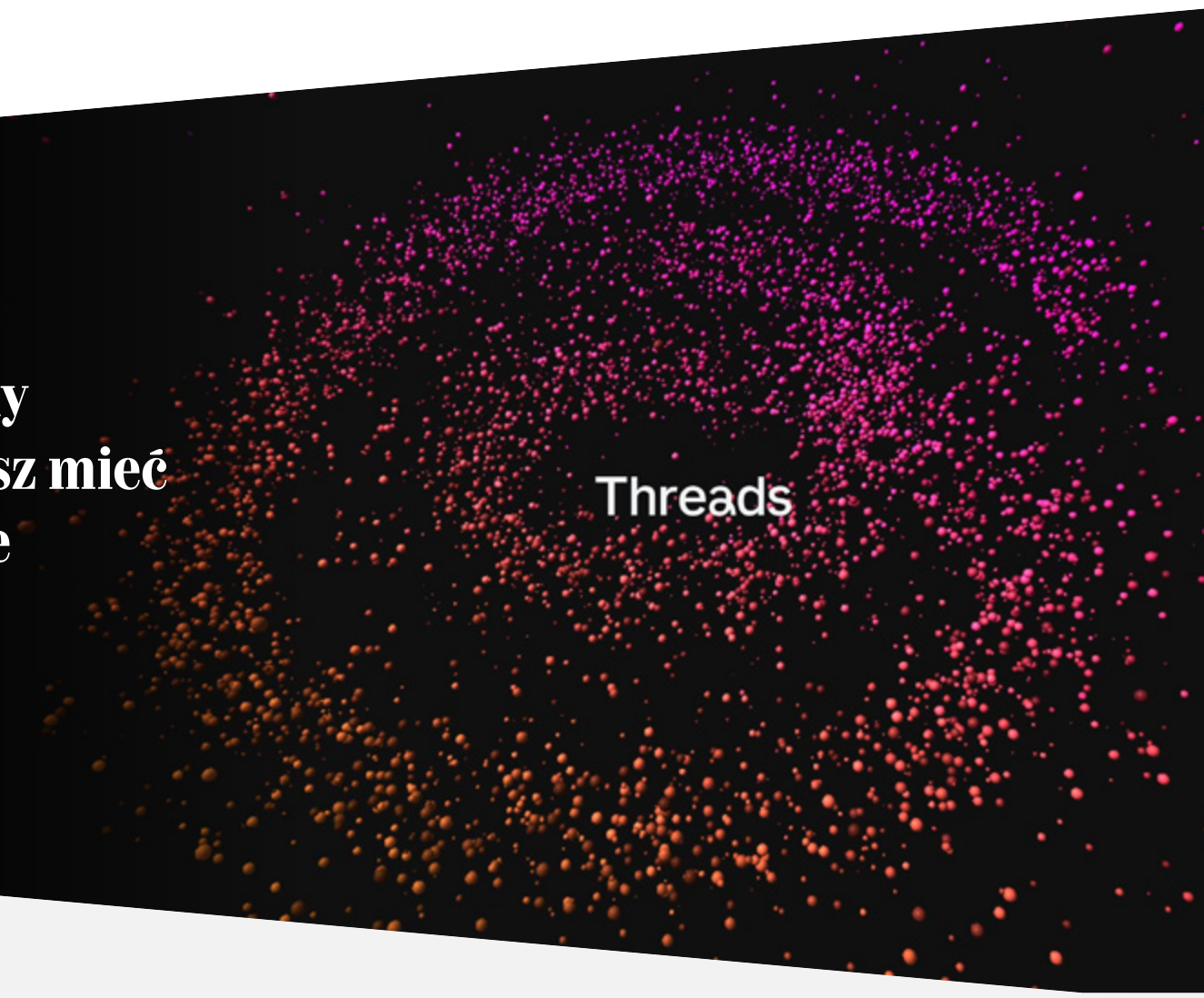

Czytaj dalej....

Pierwszy iPhone SE uznany za produkt Vintage

Czytaj dalej....

Powstanie PLLuM – polski otwarty wielki model językowy

Czytaj dalej....

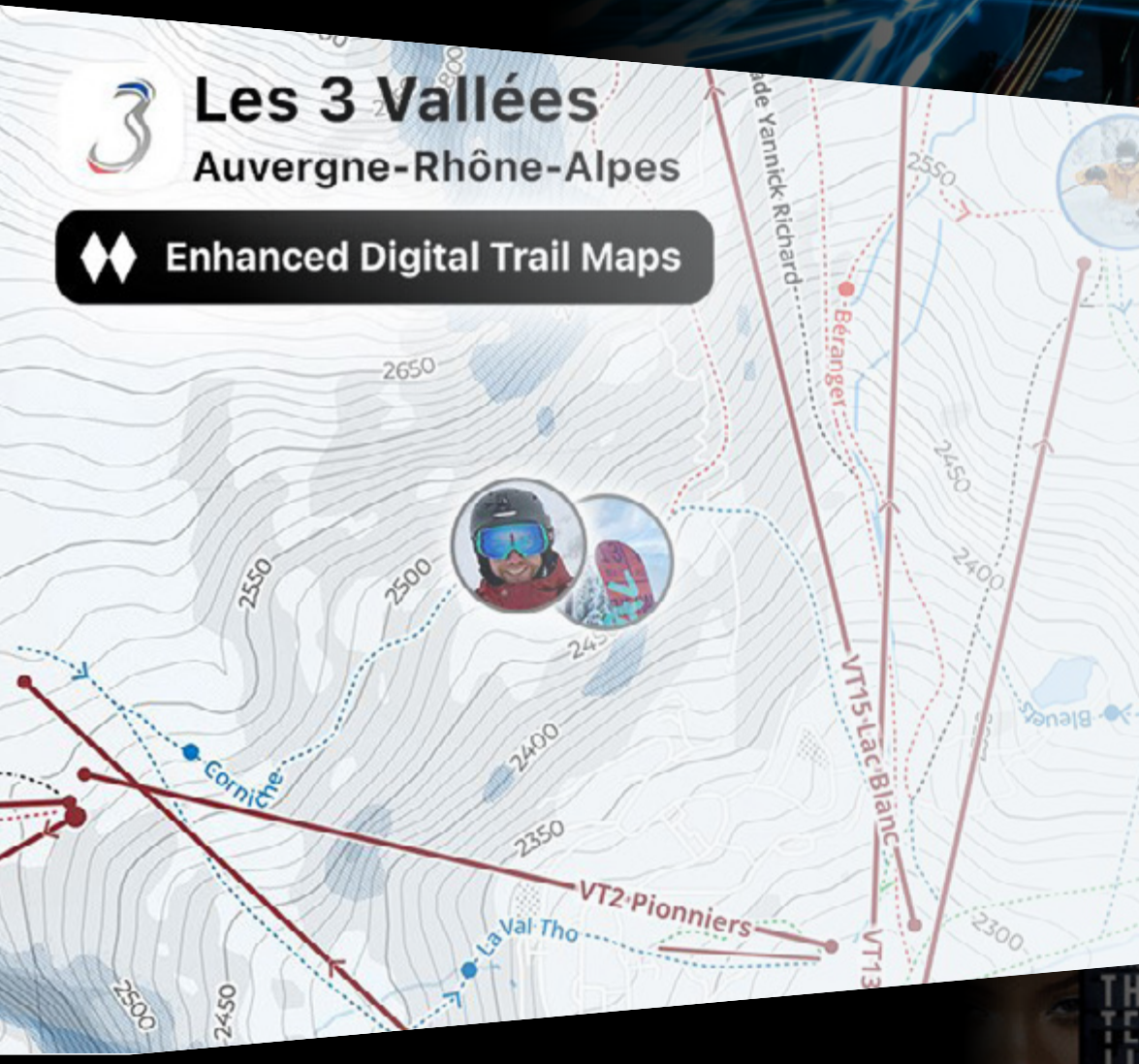

Aplikacja Slopes z nowymi funkcjami – coś dla narciarzy i snowboardzistów

Czytaj dalej....

Amazon Prime Video od stycznia będzie wyświetlać reklamy

Czytaj dalej....

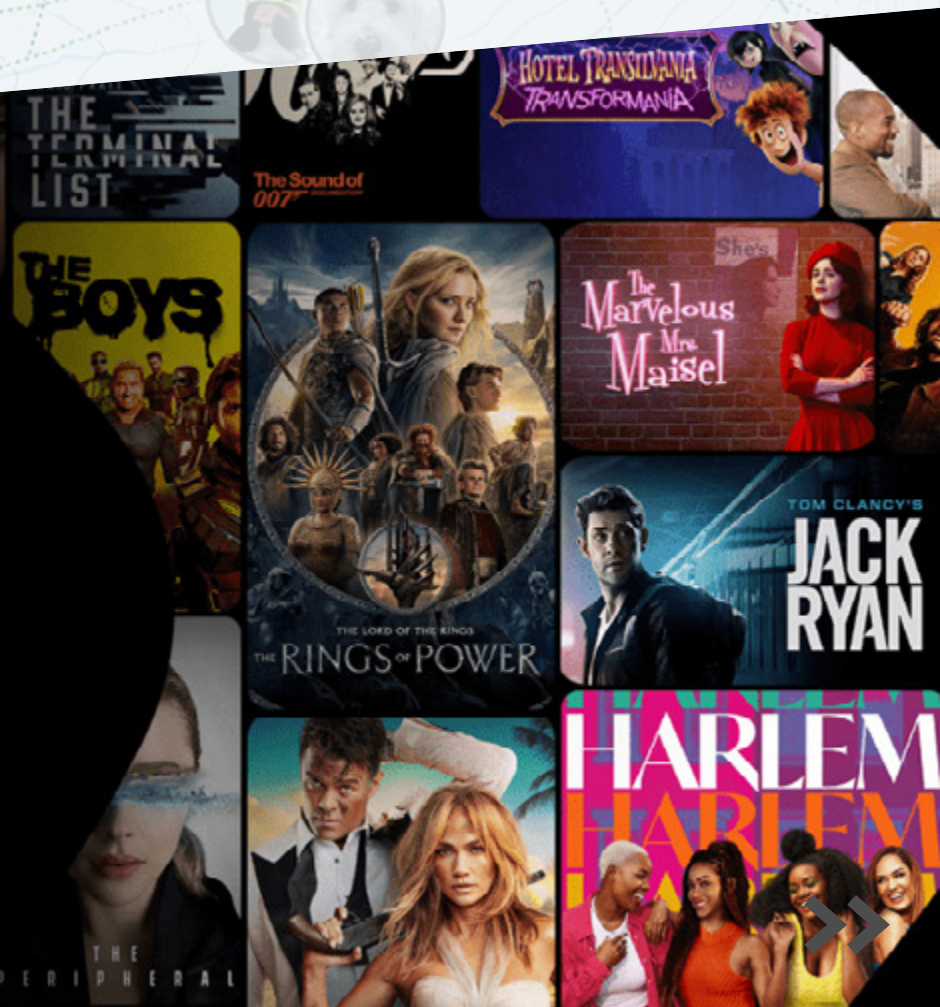

Apple Vision Pro – kiedy w sklepach? Prognozy Ming-Chi Kuo

Czytaj dalej....

Microsoft Copilot już dostępny na Androida jako odrębna aplikacja

Czytaj dalej....

TSMC zademonstrowało Apple prototypy procesorów nowej generacji

Czytaj dalej....

Apple Music zachęca artystów do udostępniania utworów w Spatial Audio

Czytaj dalej....

Czego możemy się spodziewać po AirPods Pro 3 gen. i AirPods 4 gen.?

Czytaj dalej....

Apple wyjaśnia, dlaczego tylko najnowsze Apple Watche obsługują Siri + Health

Czytaj dalej....

iFixit rozebrało nowego iMaca z Apple M3

Czytaj dalej....

Instrukcja montażu Apple Vision Pro w sklepach Apple

Czytaj dalej....

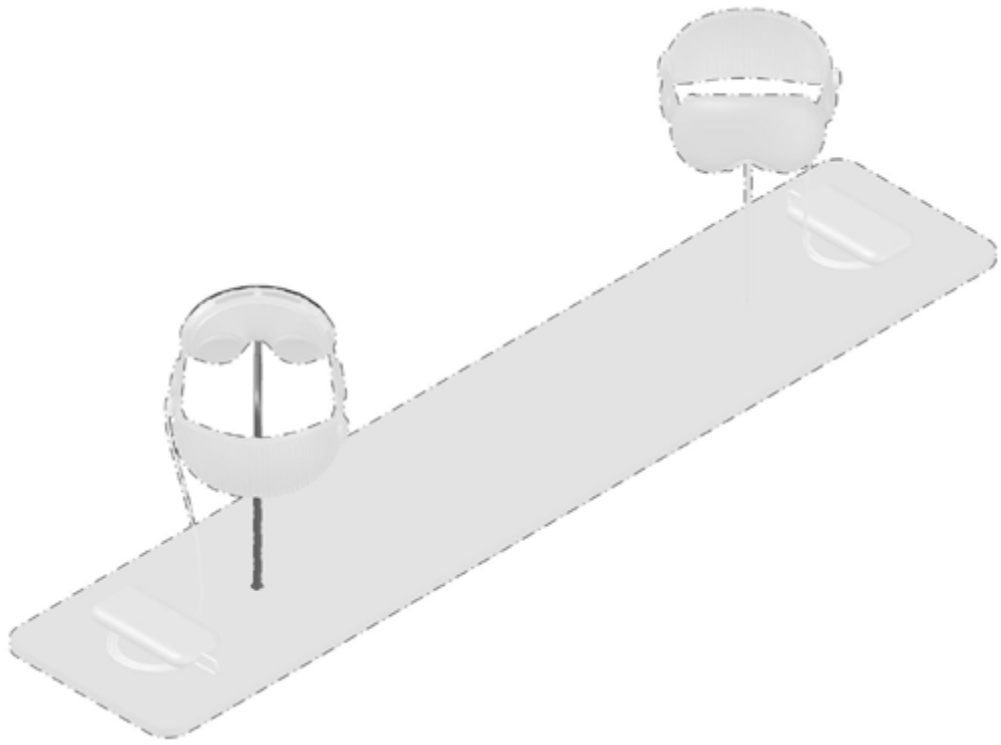

Następny iPad Pro może obsługiwać ładowanie MagSafe

Czytaj dalej....

Chiny stopniowo zakazują iPhone'ów i smartfonów innych marek spoza Chin

Czytaj dalej....

Nowy cennik sieci GreenWay Polska – od stycznia ładowanie będzie droższe

Czytaj dalej....

Szef Instagrama ujawnia plany dotyczące integracji Threads i fediwersum

Czytaj dalej....

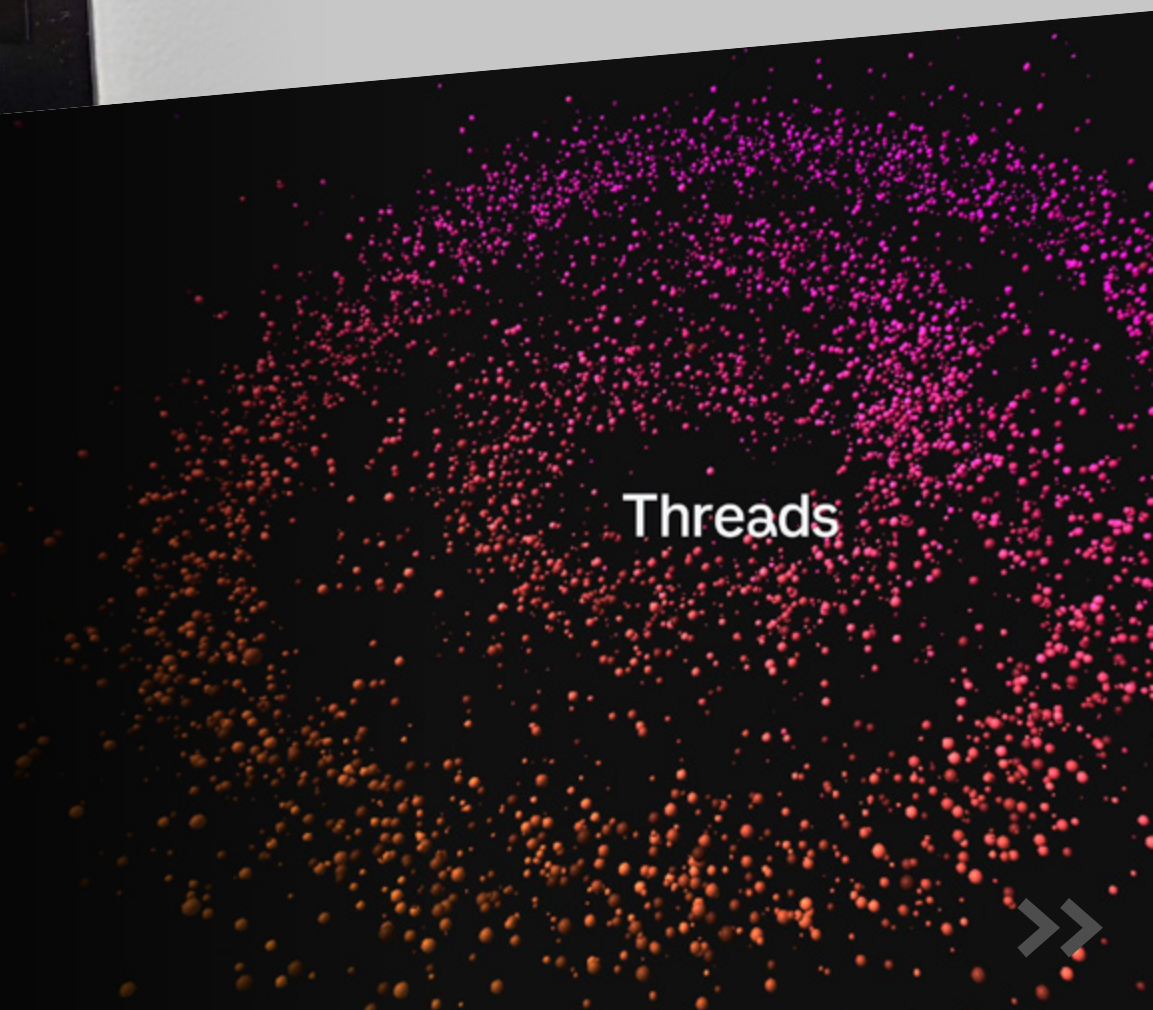

Creative Zen Air PRO i Creative Zen Air PLUS – cud technologii audio!?

Przedstawiamy najnowsze słuchawki douszne typu TWS, oferujące wkraczającą na salony technologię Bluetooth LE Audio.

SINGAPUR 12 grudnia 2023 r. Firma Creative Technology ogłosiła dzisiaj premierę modeli Creative Zen Air Pro i Creative Zen Air Plus, najnowszych produktów z rodziny Creative Zen Air. Te najnowsze słuchawki douszne, zaprojektowane zostały z myślą by pomóc w codziennych obowiązkach i jednocześnie cieszyć bardzo dobrą jakością dźwięku. Wyposażone w LE Audio z kodekiem LC3, dynamiczne przetworniki 10 mm, hybrydową aktywną redukcję szumów (ANC) z trybem otoczenia, Bluetooth 5.3 a także wydłużony czas pracy baterii i ładowaniem bezprzewodowym zgodnym z QI, to zestawy słuchawkowe, które mogą podbić rynek audio. Na dzień dzisiejszy słuchawki od Creative z technologią LE Audio stanowią wyzwanie dla modeli bezprzewodowych zestawów słuchawkowych obecnie dostępnych na rynku.

Przyszłość dźwięku bezprzewodowego

Torując drogę dla przyszłości bezprzewodowego dźwięku i jednocześnie poszerzając ekosystem słuchawek bezprzewodowych, modele Creative Zen Air Pro i Creative Zen Air Plus oferują najnowszą technologię Bluetooth LE Audio. Zastosowanie technologii LE Audio umożliwi użytkownikom korzystanie z najwyższej jakości bezprzewodowego dźwięku przy znacznie niższych przepływnościach i zużyciu energii. Poza tym LE Audio obsługuje także transmisję wielokierunkową, umożliwiając użytkownikom płynne udostępnianie dźwięku nieograniczonej liczbie kompatybilnych urządzeń, zapewniając lepsze połączenie zestawów słuchawkowych podczas idealnego wieczoru filmowego z rodziną i przyjaciółmi.

Creative Zen Air Pro obsługuje zarówno Bluetooth LE Audio z trybem Ultra-Low Latency (ULL), jak i klasyczny Bluetooth. Słuchawki będą próbowały sparować się w trybie ULL, gdy w pobliżu będzie kompatybilne urządzenie. Tryb Unicast (LC3) umożliwia bezprzewodowe połączenie z kompatybilnym odbiornikiem audio Bluetooth LE, aby cieszyć się strumieniowaniem

dźwięku w wysokiej rozdzielczości na zasadzie "jeden do jednego". Tryb Broadcast (LC3) umożliwia dołączanie do strumieni transmisji podczas korzystania ze słuchawek. Tryb transmisji można włączyć lub wyłączyć, dostosowując funkcje przycisków na słuchawkach za pomocą aplikacji Creative. Należy pamiętać, że strumień transmisji jest niezaszyfrowany i każde obsługiwane urządzenie może dołączyć do strumienia, jeśli znajduje się w jego zasięgu. Tryb Ultra-Low Latency (LC3+) pozwala cieszyć się płynnym, pozbawionym opóźnień i spójnym oglądaniem. Jest to świetne rozwiązanie w przypadku multimediów wrażliwych na czas, takich jak filmy i gry.

Hybrydowa aktywna redukcja szumów ANC

Stwórz swoją strefę otoczenia gdziekolwiek jesteś dzięki technologii Hybrid ANC. Dzięki mikrofonom ze sprzężeniem do przodu i sprzężeniem zwrotnym zintegrowanym w każdej słuchawce, słuchawki są w stanie wytłumić do 95% hałasu otoczenia. Zewnętrzny mikrofon ma za zadanie wykrywanie niechcianego hałasu w otoczeniu, następnie technologia ANC wysyła sygnał zwrotny do słuchawek eliminując zewnętrzne zakłócenia. Mikrofon ze sprzężeniem zwrotnym umieszczony po wewnętrznej stronie każdego nausznika, ma za zadanie monitorowanie tego, co już dociera do słuchu użytkownika, dzięki czemu ANC może dodatkowo reagować i korygować niechciane sygnały.

Tryb otocznia

Jeżeli chcemy czuć się komfortowo w każdej sytuacji i wszystko słyszeć dookoła nas, to wystarczy, że włączymy wspomniany tryb, który aktywuje Tryb Ambient, dzięki czemu będziemy dobrze słyszeć otoczenie, na przykład podczas nasłuchiwania komunikatów na dworcu, zamawiania w kawiarni lub po prostu dbania o bezpieczeństwo użytkowników na ruchliwych ulicach.

Wydajność w małym urządzeniu

Creative Zen Air PRO i PLUS są wyposażone w specjalnie dostrojone dynamiczne 10-milimetrowe przetworniki neodymowe, które zapewniają mocny, szczegółowy dźwięk z ciepłym, głębokim basem, wyraźną średnicą i czystymi wysokimi tonami, dzięki czemu użytkownicy będą cieszyć się doskonałą jakością dźwięku.

Zaprojektowane dla osób w ruchu

Creative Zen Air Plus posiada stopień ochrony IPX4, który umożliwia używanie słuchawek w ograniczonym zakresie wytrzymałości wodoodpornej, podczas gdy Creative Zen Air Pro zapewniają wyższą odporność na

zachlapania dzięki stopniowi IPX5. Dzięki wydłużonej żywotności baterii model Creative Zen Air Pro może poszczycić się imponującym łącznym czasem odtwarzania wynoszącym do 33 godzin, tuż za nim plasuje się model Creative Zen Air Plus, który zapewnia łączny czas odtwarzania do 32 godzin.

Usłysz wszystko w czasie rzeczywistym

Chociaż oba modele mają wspólne funkcje, to Creative Zen Air Pro wyróżnia się trybem bardzo niskiego opóźnienia. Tryb ten, aktywujemy za pomocą aplikacji Creative, ma za zadanie płynnie zsynchronizować np. dźwięk i obraz, znacznie zmniejszając opóźnienia dźwięku poniżej ~20 ms, jednocześnie poprawiając wrażenia z filmów, gier i muzyki.

Dla jakości połączeń

Zestawy słuchawkowe wyposażone są łącznie w sześć mikrofonów, cztery do wykrywania i filtrowania szumów tła z włączoną funkcją ANC i dwa do zapewnienia wyraźnej komunikacji. I tutaj znajdujemy kolejną istotną wyróżniającą cechę modelu Creative Zen Air Pro, którą jest konfiguracja mikrofonów. W wersji PRO została dodatkowo zintegrowana zaawansowana technologia redukcji szumów Deep Neural Network (DNN), która oparta jest na sztucznej inteligencji i ma za zadanie poprawić jakość połączeń, eliminując niechciane szumy tła w czasie rzeczywistym. Z drugiej strony zestaw Creative Zen Air Plus jest wyposażony w sześć mikrofonów (po trzy z każdej strony) z technologią ENC, która analizuje i eliminuje niepożądane szumy tła, zapewniając wyraźniejsze wrażenia podczas połączeń głosowych.

Krótko mówiąc, słuchawki Creative Zen Air Pro i Creative Zen Air Plus zapewniają poprawę jakości dźwięku w codziennym otoczeniu dźwiękowym użytkowników. Zintegrowane mikrofony analizują i odfiltrowują niepożądane szumy tła, zapewniając krystalicznie czysty głos i lepszą jakość rozmów niezależnie od otoczenia.

Z asystentem lub przy pomocy dotyku

Oba modele współpracują z popularnymi asystentami głosowymi innych firm, takimi jak Siri i Google Assistant, oferując sterowanie bez użycia rąk i dodatkową wygodę użytkowania. Sterowanie dotykowe na słuchawkach jest wyjątkowo intuicyjne. Za pomocą kilku dotknięć można sterować

i zarządzać głośnością, odtwarzaniem muzyki i aktywować asystenta głosowego Siri lub Google Assistant.

Oprogramowanie

Zestawy słuchawkowe współpracują z dedykowana aplikacją od Creative, w której możemy skorzystać z gotowych presetów dla dźwięku lub go ustawić za pomocą equalizera. W „apce" dodatkowo możemy włączyć lub wyłączyć „Tryb Otoczenia", ustawić pod siebie dotykowe przyciski lub sprawdzić stan naładowania każdej słuchawki z osobna.

Ceny i dostępność

Creative Zen Air Plus kosztuje w promocji 219,00 PLN i jest dostępny na stronie Creative.com. Więcej informacji można znaleźć **na stronie**.

Creative Zen Air Pro kosztuje w promocji 259,00 PLN i jest dostępny na stronie Creative.com. Więcej informacji można znaleźć **na stronie**.

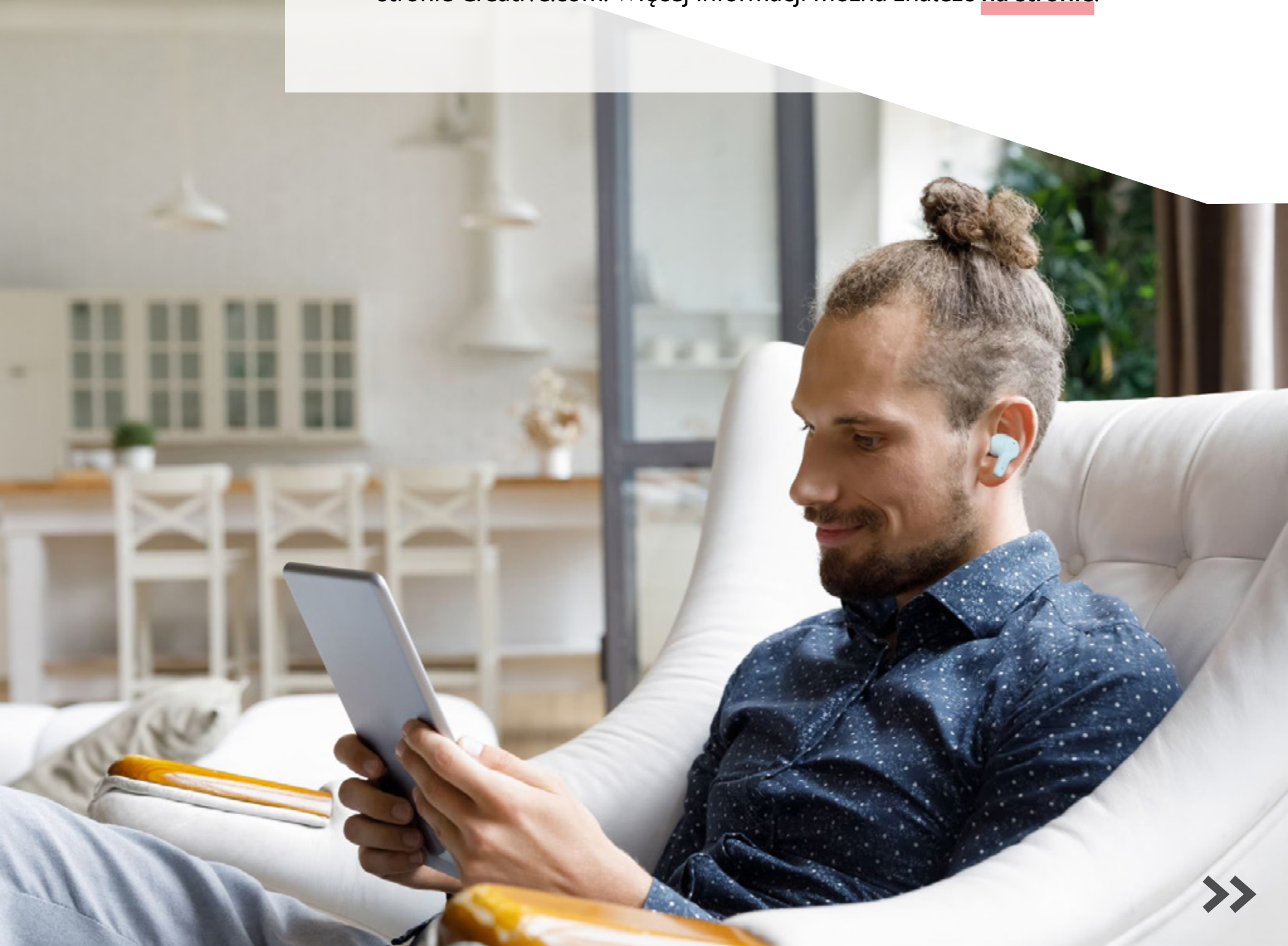

Stanford: Apple Watch lepiej niż cokolwiek innego wykrywa nieregularne bicie serca u dzieci

Czytaj dalej....

Adobe z dochodzeniem w sprawie utrudniania rezygnacji z subskrypcji

Czytaj dalej....

Relacje dziennikarzy, którzy używali ostatnio Apple Vision Pro

Czytaj dalej....

Google, Meta, Nothing, Qualcomm i inni tworzą koalicję by promować otwarte ekosystemy cyfrowe

Czytaj dalej....

Samsung Display przygotowuje produkcję składanych paneli dla Apple

Czytaj dalej....

GM rezygnuje z Apple CarPlay by kierowcy... rzadziej sięgali po telefon

Czytaj dalej....

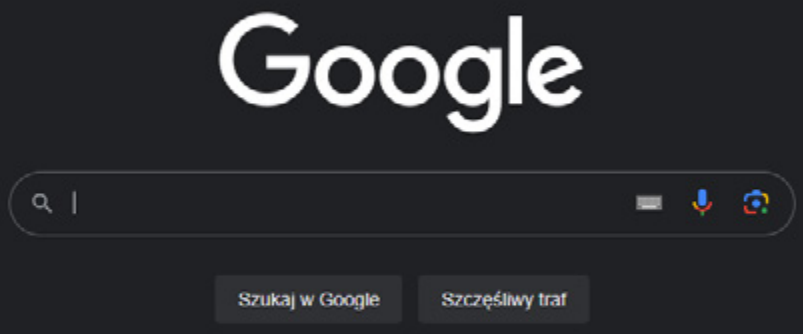

Rok w wyszukiwarce: od wyborów, po memy „bejba”

Czytaj dalej....

Apple rozpoczęło produkcję nowych iPadów

Czytaj dalej....

Apple ostrzega przed niecertyfikowanymi ładowarkami do Apple Watch

Czytaj dalej....

Google DeepMind demonstruje Gemini – AI lepsza od GPT-4

Czytaj dalej....

Gurman: Chase Bank jest „idealnym partnerem” dla Apple Card

Czytaj dalej....

Apple Watch Ultra z większym o 10% ekranem MicroLED zadebiutuje w 2026 r.

Czytaj dalej....

Apple stawia na ekrany OLED zamiast składanych iPadów

Czytaj dalej....

Tesla musi zaktualizować niemal wszystkie samochody sprzedane w USA

Czytaj dalej....

Przed nami dwa modele iPada Air i dwa modele iPada Pro OLED?

Czytaj dalej....

Apple stanowi mniej niż 5% przychodów ARM

Czytaj dalej....

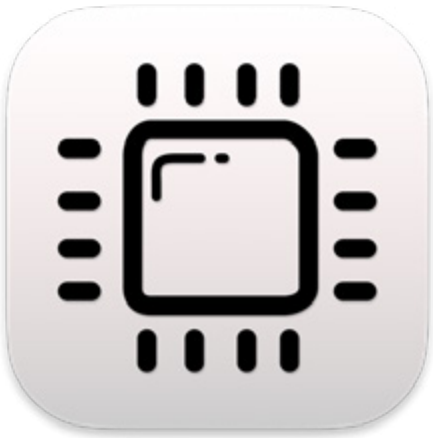

Co kryją laboratoria Apple Silicon?

Czytaj dalej....

Zespół Shortcuts pracuje nad wprowadzeniem AI do macOS

Czytaj dalej....

NIE MA ~~BIURA~~

Podcast o wszystkim, czego
jeszcze nie wiesz o pracy zdalnej.

NOZBE

Prowadzące: Ewelina Przywara i Magda Błaszczyk

Słuchaj w Podcasts

Słuchaj w Spotify

Słuchaj w Overcast

WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

Lizbona na city break

Na przełomie listopada i grudnia każdego roku staramy się wyjechać gdzieś niedaleko na przyjemny city break i w tym roku padło na Lizbonę. W końcu! Nigdy nie mieliśmy okazji jej odwiedzić, więc z niecierpliwością wyczekiwaliśmy wyjazdu i od razu zdradzę, że było warto – spędziliśmy tam siedem cudownych i aktywnych dni.

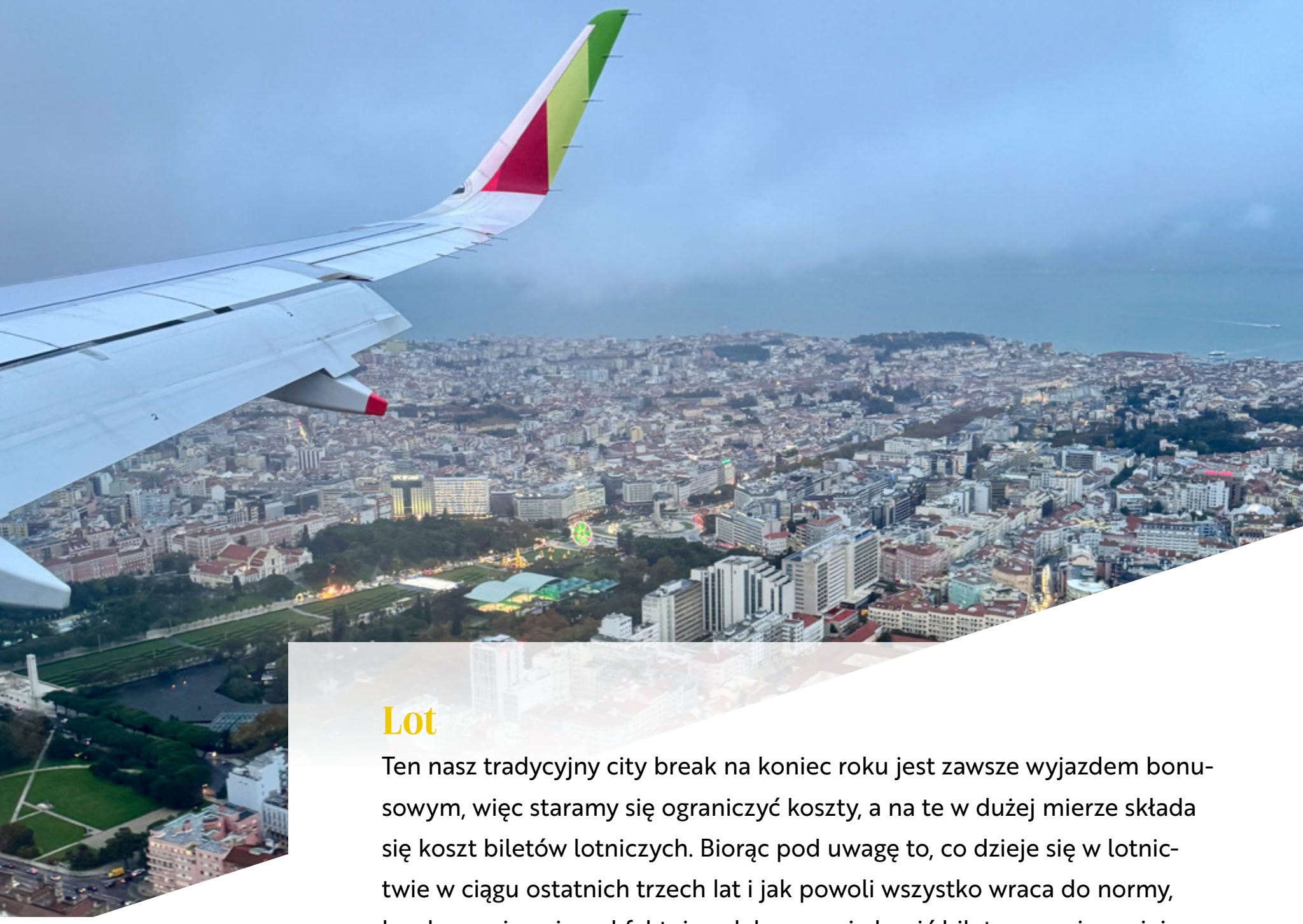

Lot

Ten nasz tradycyjny city break na koniec roku jest zawsze wyjazdem bonusowym, więc staramy się ograniczyć koszty, a na te w dużej mierze składa sie koszt biletów lotniczych. Biorąc pod uwagę to, co dzieje się w lotnictwie w ciągu ostatnich trzech lat i jak powoli wszystko wraca do normy, bardzo mnie ucieszył fakt, że udało nam się kupić bilety w cenie mniej więcej 700 zł od osoby. W tej cenie na pokładzie TAP Air Portugal mieliśmy kabinówki oraz po jednej „osobistej" sztuce bagażu, typu plecak czy torebka. Ponieważ jechaliśmy tylko na tydzień, to bez problemów spakowaliśmy się do samych kabinówek.

Sam lot odbył się na pokładzie dwuletniego Airbusa A320neo, który był świetny, poza miejscem na nogi. Nowe samoloty są coraz cichsze, lepiej wyposażone i bardziej komfortowe, z wyjątkiem przestrzeni na nogi, której jest coraz mniej. Przez pół lotu trochę się męczyłem, więc osoby wyższe na pewno będą bardziej cierpiały.

Hotel / mieszkanie

Długo szukaliśmy noclegu w Lizbonie, aby mieścił się w naszym budżecie. Ja namawiałem żonę na przepiękny stary pięciogwiazdkowy hotel prawie w centrum starego miasta, dopóki nie zobaczyłem ceny – średnio 3000 zł

za noc. Nieznacznie dalej położony cztero-gwiazdkowy kosztował ponad 4000 za cały wyjazd, więc już znacznie taniej. Lizbona niestety nie jest tania. Finalnie na Bookingu znaleźliśmy mieszkanie w ścisłym centrum, obok Praça da Figueira i Praça Dom Pedro IV i mniej więcej pośrodku wszystkich okolicznych atrakcji. Na tych dwóch placach dodatkowo odbywały się świąteczne jarmarki, więc mieliśmy nie tylko świetny klimat na wyciągnięcie ręki, ale też genialny streetfood z owocami morza (do restauracji bez rezerwacji często ciężko się dostać). Samo mieszkanie było w pełni wyposażone, miało jedną sypialnię, klimatyzację, widok na Castelo de S. Jorge i windę, co nie zawsze jest oczywiste. Koszt jego wynajmu na tydzień wyniósł ok. 2300 zł, co, jak na stolicę Portugalii, jest bardzo przyzwoitą ceną, głównie ze względu na fakt, że jesteśmy poza sezonem.

Elevador de Santa Justa

Winda Santa Justa to unikatowa konstrukcja inżynieryjna w samym sercu Lizbony. Została zaprojektowany przez portugalskiego inżyniera Raoula Mesniera de Ponsard, który był silnie inspirowany dziełami słynnego francuskiego architekta Gustave'a Eiffla. Z tego powodu wiele osób błędnie przypisuje projekt Eifflowi. Budowa tej niezwykłej windy rozpoczęła się w 1900 roku i została ukończona w 1902 roku.

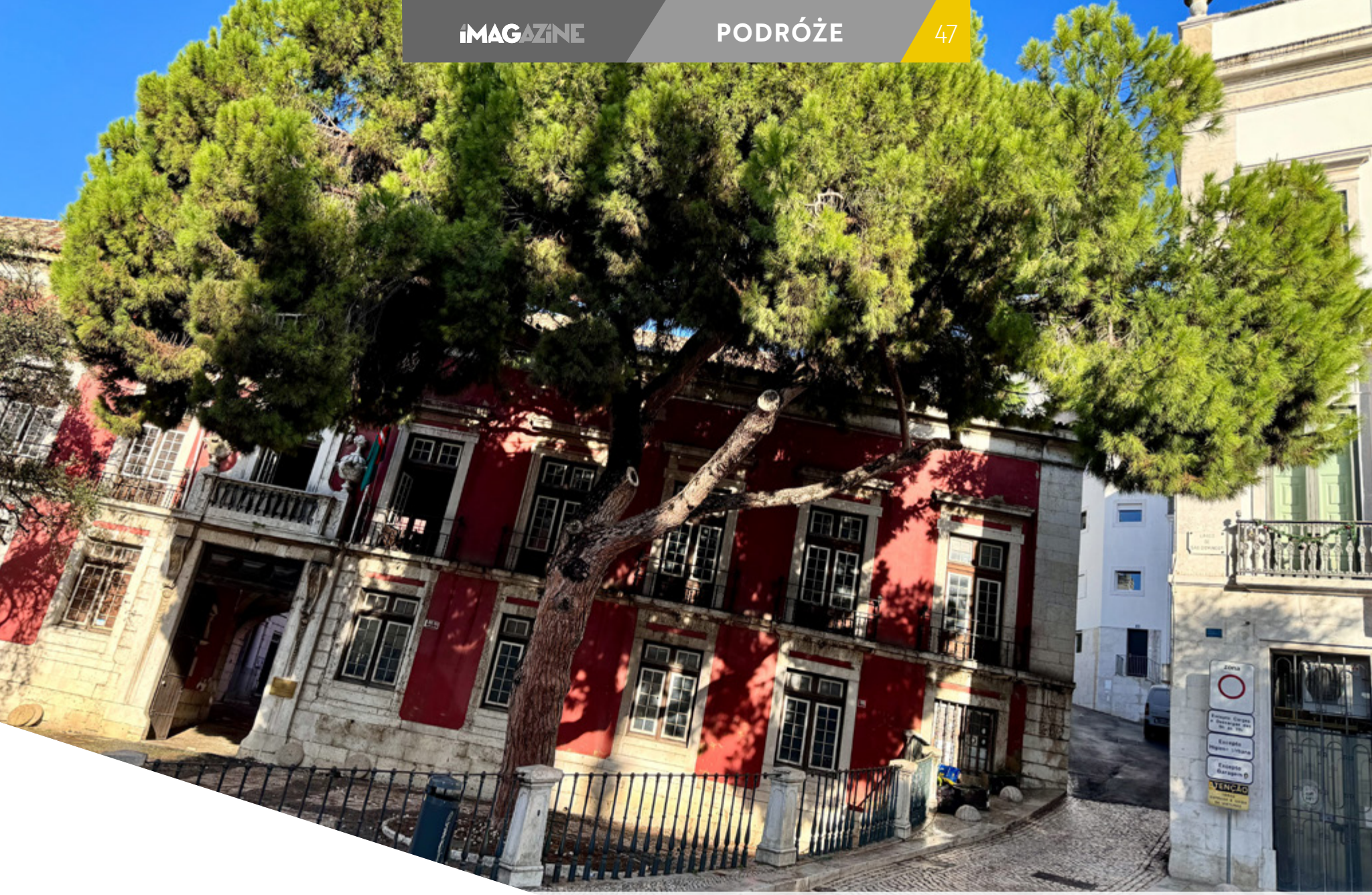

Elevador de Santa Justa stanowiła odpowiedź na praktyczne wyzwanie związane z różnicami wysokości w Lizbonie. Miasto to znane jest z wąskich uliczek położonych na wzgórzach, co sprawia, że komunikacja pomiędzy różnymi poziomami miasta była trudna. Winda miała na celu ułatwienie dostępu między dwoma głównymi dzielnicami Lizbony: Baixa i Chiado.

Konstrukcja wykonana jest głównie z żelaza i prezentuje bogate zdobienia neogotyckie, co nadaje jej wyjątkowego charakteru. Winda ma wysokość 45 metrów i pierwotnie była napędzana parą. Dopiero w latach 20. XX wieku została zelektryfikowana.

Elevador de Santa Justa od samego początku był nie tylko praktyczną częścią infrastruktury miasta, ale także atrakcją turystyczną. Z tarasu widokowego na górze windy rozciąga się spektakularny widok na lizbońskie miasto, w tym na Zamek św. Jerzego oraz rzekę Tag. Santa Justa jest jedyną pozostałą pionową (tradycyjną) windą. Inne, w tym Elevador da Glória i Elevador da Bica, są w rzeczywistości kolejami linowymi, a inna winda zbudowana w tym samym okresie, Winda São Julião, została rozebrana.

Przed samym wejściem, na początku kolejki, znajdziecie niewielką tabliczkę informującą o godzinach, w których winda kursuje. Na każdy kurs wpuszczanych jest ok. 18 osób, warto więc przeliczyć, do której godziny będziecie czekali. W dniach, w których byliśmy w Lizbonie, ustawienie się w kolejce po godzinie 09:30 oznaczało konieczność czekania przynajmniej 20–30 minut na windę. Po 11:00 kolejka już zapowiadała się na 60–90 minut stania.

Warto więc pojawić się tam wcześnie rano, może nawet przed śniadaniem, ponieważ kolejka prowadzi do...

Café A Brasileira

Café A Brasileira to jedna z najsłynniejszych i najbardziej tradycyjnych kawiarni w mieście. Znajduje się w dzielnicy

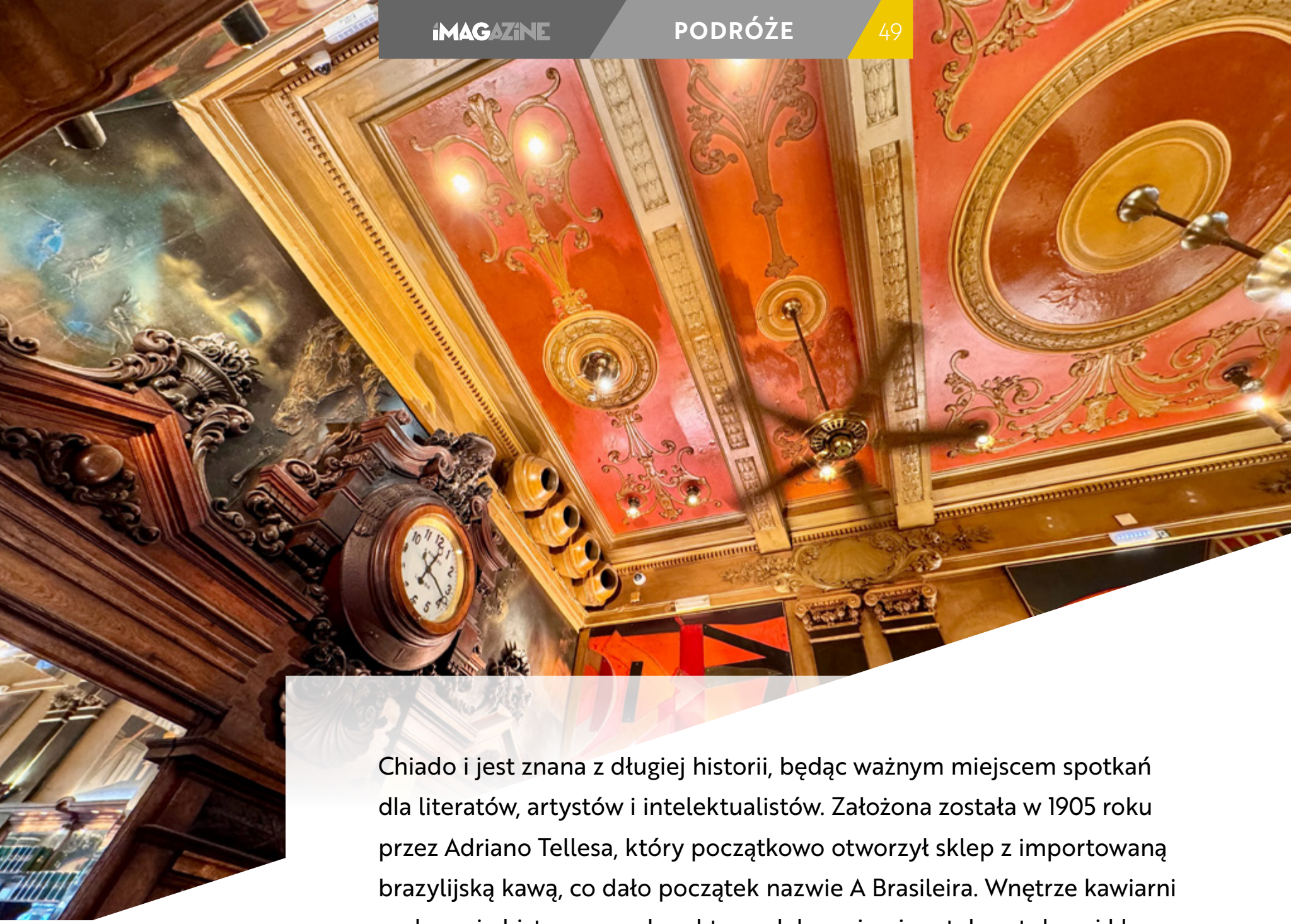

Chiado i jest znana z długiej historii, będąc ważnym miejscem spotkań dla literatów, artystów i intelektualistów. Założona została w 1905 roku przez Adriano Tellesa, który początkowo otworzył sklep z importowaną brazylijską kawą, co dało początek nazwie A Brasileira. Wnętrze kawiarni zachowuje historyczny charakter, z dekoracjami w stylu art deco i klasycznymi elementami z początku XX wieku. Ściany są często zdobione pracami znanych portugalskich artystów, a atmosfera miejsca oddaje ducha minionej epoki. Kafejka jest również znana dzięki słynnej rzeźbie w brązie przedstawiającej Fernando Pessoa, jednego z najwybitniejszych portugalskich poetów, który był jej stałym bywalcem. Rzeźba ta stała się jednym z symboli Lizbony i popularnym miejscem do robienia zdjęć, zarówno dla turystów, jak i mieszkańców miasta.

Wybraliśmy właśnie to miejsce dla uczczenia tego wyjazdu i zamówiliśmy sobie nie tylko espresso, ale skusiliśmy się również na świetne porto, które miało za zadanie towarzyszyć eklerce oraz tradycyjnemu pastel de nata.

Pastel de nata

Pastel de Nata, znane również jako Pastéis de Belém, to jedno z najbardziej charakterystycznych i uwielbianych słodkości kuchni portugalskiej. Jest to małe, okrągłe ciastko z ciasta francuskiego, wypełnione kremem na bazie żółtek, cukru i śmietanki. Charakterystyczną cechą pastel de nata jest jego

karmelizowana, chrupiąca powierzchnia na wierzchu, która kontrastuje z delikatnym i kremowym wnętrzem.

Historia tego deseru sięga początku XVIII wieku i jest ściśle związana z klasztorem hieronimitów w dzielnicy Belém w Lizbonie. Według legendy mnisi zaczęli produkować ciastka, aby zarobić pieniądze, wykorzystując ogromne ilości żółtek pozostawionych po użyciu białek do klarowania wina i do produkcji ubrań zakonnych. Kiedy klasztor został zamknięty w wyniku liberalnej rewolucji w 1834 roku, przepis został sprzedany do pobliskiej cukierni, co dało początek ich masowej produkcji. Pastel de nata podaje się zazwyczaj na ciepło, posypane cynamonem i/lub cukrem pudrem.

Dziś pastel de nata jest nieodłącznym elementem portugalskiej kultury kulinarnej. Są one dostępne w większości kawiarni i cukierni w Portugalii, zyskały też popularność na całym świecie. Najbardziej znanym miejscem, gdzie można spróbować oryginalnych pastel de nata, pod zastrzeżoną nazwą pastéis de Belém, to cukiernia w dzielnicy Belém w Lizbonie, gdzie receptura jest trzymana w tajemnicy i przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Finalnie skończyło się to dla nas tym, że codziennie kupowaliśmy sobie po cztery sztuki z różnych cukierni na podwieczorek do mieszkania. Za każdym razem smakowały ciut inaczej, ale zawsze były przepyszne.

Mosteiro dos Jerónimos

Klasztor Hieronimitów to jeden z najwspanialszych i najbardziej znanych zabytków w Portugalii, znajdujący się w dzielnicy Belém w Lizbonie. Jest to arcydzieło architektury manuelińskiej, stylu charakterystycznego dla późnego gotyku w Portugalii, który łączy tradycyjne elementy gotyckie z motywami morskimi i egzotycznymi, odzwierciedlając bogatą historię odkryć geograficznych tego kraju.

Budowa klasztoru rozpoczęła się w 1501 roku za panowania króla Manuela I i trwała ponad sto lat. Finansowano ją z „pieniędzy pieprzowych", podatku pobieranego od handlu przyprawami z Azji. Klasztor został zbudowany jako wotum za udane podróże Vasco da Gamy do Indii, co miało ogromne znaczenie dla ekspansji i bogactwa Portugalii w tamtym okresie.

Mosteiro dos Jerónimos jest także miejscem spoczynku wielu znaczących postaci w historii Portugalii, w tym Vasco da Gamy i Luísa de Camõesa, autora słynnego eposu „Luzjady". W 1983 roku klasztor został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO jako wyjątkowy przykład manuelińskiej architektury i symbol epoki odkryć geograficznych.

Do klasztoru można zrobić sobie spacer wzdłuż wybrzeża ze starego miasta, ale zdecydowanie wygodniej dojechać komunikacją miejską do Torre de Belém (przystanek za klasztorem), a potem zrobić sobie spacer wzdłuż wybrzeża do Padrão dos Descobrimentos i na koniec do klasztoru, z którego potem można znowu tramwajem wrócić do centrum.

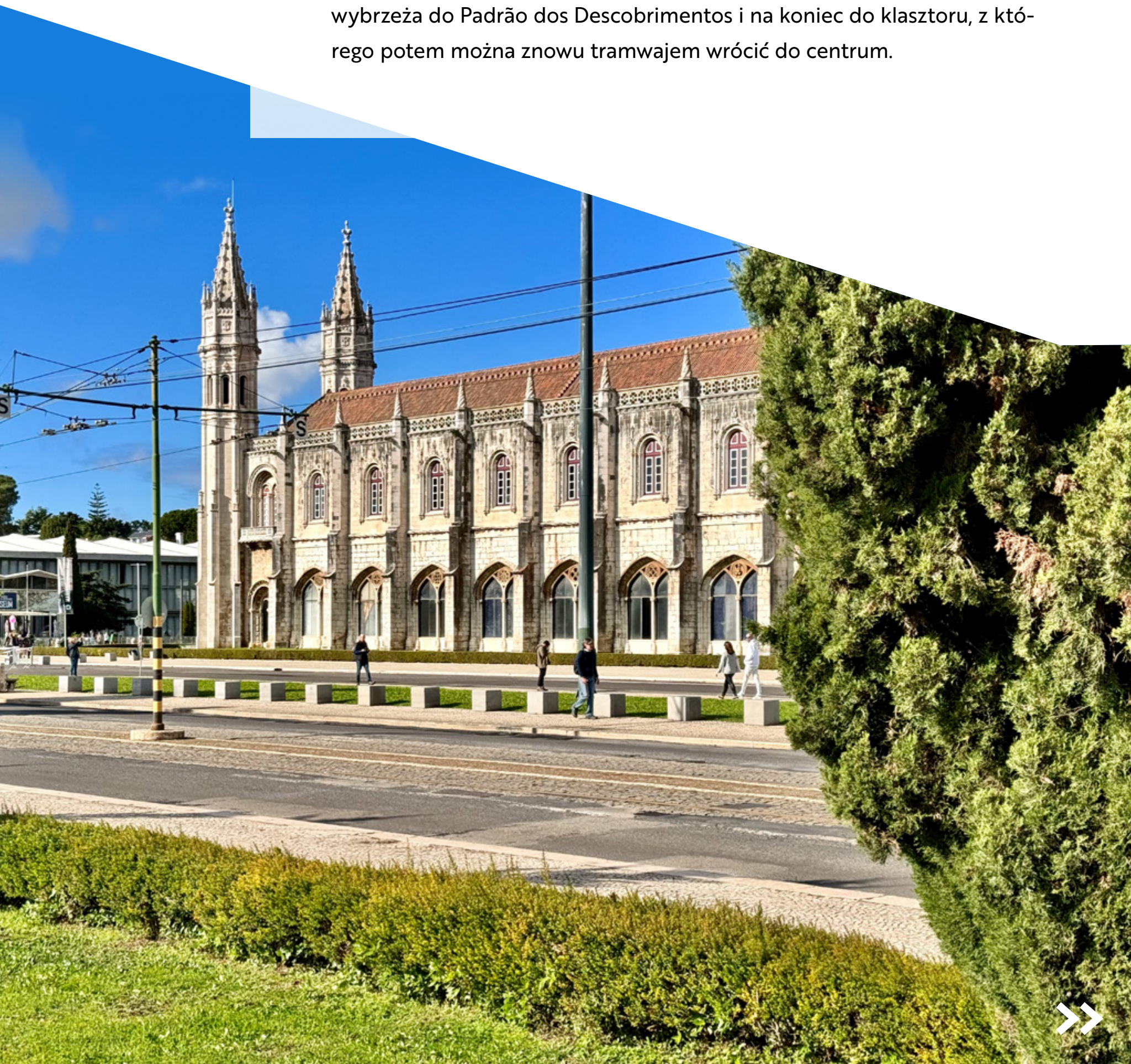

Torre de Belém

Wieża Belém to kolejny z ikonicznych zabytków Portugalii, położony w dzielnicy Belém w Lizbonie, przy ujściu rzeki Tag. Jest to jedno z najbardziej rozpoznawalnych miejsc w Portugalii, będące symbolem epoki Wielkich Odkryć Geograficznych. Budowa wieży rozpoczęła się w 1514 roku za panowania króla Manuela I i została ukończona w 1520 roku. Została zaprojektowana przez architekta Francisco de Arruda i początkowo służyła jako punkt obronny u ujścia rzeki, chroniąc Lizbonę przed najeźdźcami. W późniejszym czasie Wieża Belém pełniła również funkcje celnicze i więzienne, ale także była symbolem władzy i bogactwa Portugalii w okresie jej największego rozkwitu jako potęgi morskiej. W 1983 roku, razem z pobliskim Klasztorem Hieronimitów, Torre de Belém została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

A Conserveira de Portugal

A Conserveira de Portugal to słynna sieć sklepów i marka w Lizbonie, znana z wysokiej jakości konserw rybnych, które są ważnym elementem portugalskiej kultury kulinarnej. Ta sieć zyskała sobie renomę dzięki sprzedaży szerokiej gamy konserw, w tym sardynek, tuńczyka, makreli, a także innych owoców morza. Historia A Conserveira de Portugal sięga kilku

dziesięcioleci wstecz i jest ściśle związana z bogatą tradycją przetwórstwa rybnego w Portugalii. Portugalia słynie z długiej historii rybołówstwa i produkcji konserw rybnych, które są popularnym składnikiem wielu tradycyjnych potraw. Sklep wyróżnia się też unikalnym i kolorowym designem opakowań, a puszki często zdobią retro ilustracje lub wzory inspirowane portugalską kulturą i sztuką, co dodaje im charakteru i sprawia, że są łatwo rozpoznawalne. W ofercie sklepu często pojawiają się również limitowane edycje i specjalne smaki, co przyciąga miłośników kuchni morskiej oraz kolekcjonerów. Pracownicy sklepu nawet instruują, jak rozpakować puszkę bez jej zniszczenia, aby móc stworzyć sobie z niej pamiątkę. Ta sieć to idealny przykład, jak lokalne rzemiosło i tradycyjne metody produkcji mogą być utrzymywane i celebrowane w nowoczesnym świecie, ciesząc się uznaniem zarówno lokalnej społeczności, jak i międzynarodowych gości.

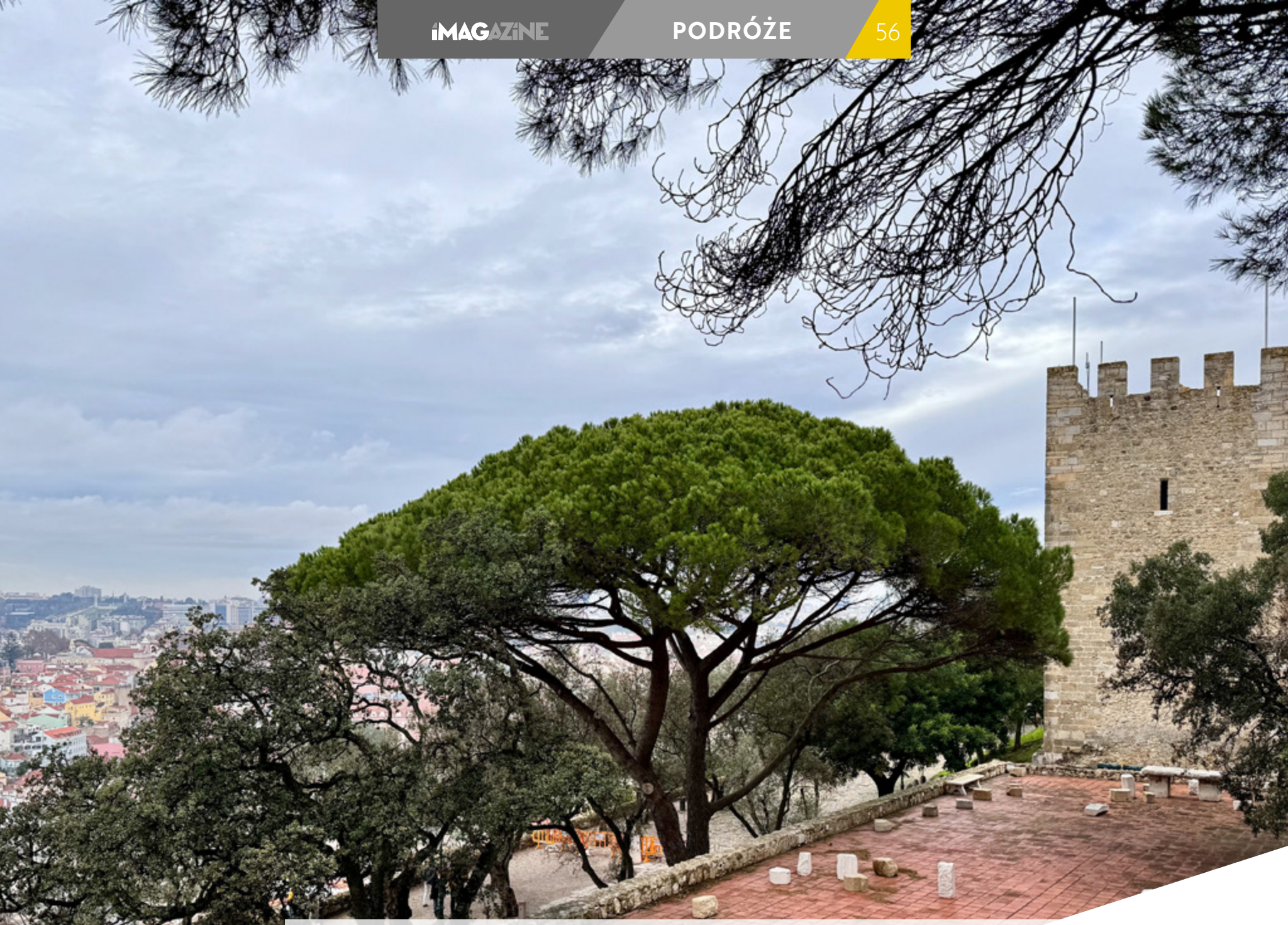

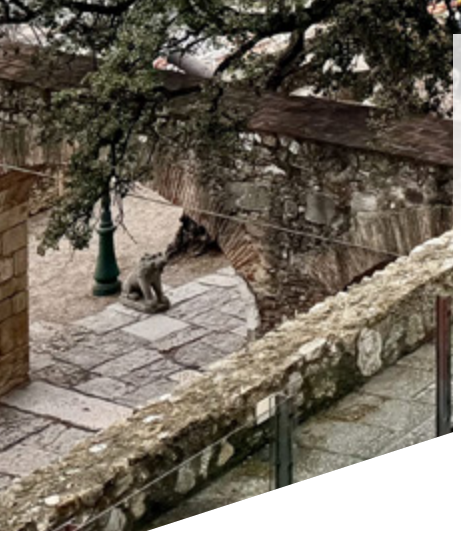

Castelo de São Jorge

Zamek św. Jerzego jest jednym z najważniejszych zabytków historycznych i turystycznych w Lizbonie, stolicy Portugalii. Położony na szczycie najwyższego z siedmiu wzgórz miasta oferuje jedne z najlepszych widoków na Lizbonę i rzekę Tag. Historia zamku sięga czasów rzymskich, choć obecna struktura została zbudowana przez Maurów w XI wieku. Po zdobyciu Lizbony przez króla Alfonsa I Zdobywcę w 1147 roku zamek stał się siedzibą królów Portugalii, aż do początku XVI wieku. W późniejszych latach został częściowo zniszczony podczas trzęsienia ziemi w 1755 roku i odbudowany w XIX i XX wieku. Castelo de São Jorge jest znane z dobrze zachowanych murów obronnych, wież, bram oraz rozległych dziedzińców. Wśród najważniejszych punktów zwiedzania są wieże Ulysses i Cistern, które oferują zapierające dech w piersiach widoki na miasto. Wewnątrz zamku znajduje się także muzeum archeologiczne, w którym prezentowane są znaleziska z różnych epok, od czasów prehistorycznych po okres muzułmański.

Linia tramwajowa nr 28

Każdy poleca podróż linią tramwajową nr 28. Wije się ona przez stare miasto i kończy swoją trasę na Praça Martim Moniz. Prowadzi przy okazji nie tylko w pobliżu zamku, ale również bezpośrednio obok Katedry Sé w Lizbonie. Tam też znajdziecie wiele restauracji i kafejek, które sąsiadują z obłędnymi punktami widokowymi, więc warto tutaj zrobić sobie postój i nacieszyć się okolicą.

Sama linia tramwajowa jest całkowicie obłożona przez turystów, nawet w grudniu, więc unikajcie jej, chyba że wsiądziecie na stacji początkowej, dzięki czemu złapiecie miejsca siedzące. W innym przypadku będziecie upchnięci w wagoniku jak te sardynki w A Conserveira. My to zrobiliśmy na przystanku Campo Ourique (Prazeres), gdy wracaliśmy ze zwiedzania Belém i klasztoru.

Okres świąteczny

Jeśli przypadkiem będziecie akurat w Lizbonie na 1 grudnia, to koniecznie zawitajcie na Praça do Comércio, gdzie tradycyjnie odpala się świąteczne oświetlenie miasta oraz choinkę. To, co działo się w tym roku, możecie **podejrzeć w krótkim, jednominutowym reportażu Euronews**. Warto też odbyć spacer z placu na północ przez Arco da Rua Augusta do wspomnianych Praça da Figueira i Praça Dom Pedro IV, gdzie znajdziecie przeurocze targi świąteczne.

Kuchnia

Restauracji i barów znajdziecie w mieście pod dostatkiem, ale od nas szczególnie polecimy **Panda Cantina** – małą chińską restaurację, która prawie zawsze ma kolejkę wychodzącą na ulicę. Warto w niej odstać swoje, ale najpierw udajcie się do środka, aby dopisali Wasze imiona do listy – to one są gwarantem miejsca, a nie samo stanie

w niej. Ta restauracja serwuje absolutnie wzorowy ramen, do którego warto dobrać sobie ze dwa kawałki tofu na osobę. Porcja okazuje się ogromna i idealnie sprawdziła się w jeden z chłodniejszych dni, którym nam się trafił, rozgrzewając nasze wnętrza i zagrzewając nas do dalszego zwiedzania.

Pogoda

Spodziewajcie 15–20° C na początku grudniu za dnia i 10–15° C nocą. Czasami trochę popada, więc warto mieć parasolkę, ale zimowe kurtki można zostawić w domu. Polecam obuwie na zmianę, gdybyście jakąś parę przemoczyli.

Na koniec

Pozostaje mi jeszcze gorąco polecić spacer po Av. da Liberdade, gdzie znajdziecie wiele najbardziej znakomitych światowych marek i ich butików, aż do Parku Edwarda VII, gdzie wpadniecie na kolejne atrakcje, jak publiczne lodowisko z wynajmem łyżew, następny bazarek świąteczny i wiele więcej.

Pierwsza wizyta na długo zapadnie nam w pamięć. Nie dość, że to pierwszy urlop od ponad roku, w którym odcięliśmy się całkowicie od pracy, to jeszcze klimat nam dopisał.

argon®LAMPY

OŚWIETLENIE W TWOIM STYLU

TA I 1000 INNYCH LAMP KUPISZ NA SKLEP.ARGON-LAMPY.PL

MICHAŁ ŚLIWIŃSKI
@MSliwinski

Jak robić brainstorming w zespole, czyli jak doszliśmy do 4 wartości Nozbe – Pasji, Prostoty, Wolności i Bycia Fair?

Wartości firmy, zespołu czy grupy – jak je ustalić? Z czego one wynikają? I w ogóle po co komu są potrzebne? Jeśli w firmie czy zespole czujesz, że pewne decyzje podejmujecie za każdym razem od nowa, lub jeśli masz wrażenie, że coś robicie w konkretny sposób, ale nie wiesz w sumie dlaczego, to ten felieton jest dla Ciebie.

Przy okazji obalimy mit burzy mózgów, czyli brainstormingu, pokazując lepszy sposób dochodzenia do właściwych decyzji w grupie osób.

A tak jeszcze na wstępie, witam Cię w Nowym Roku 2024 i myślę, że artykuł o wartościach jest jak najbardziej na czasie, bo pomoże nam wszystkim podejmować właściwe decyzje w tym roku!

Kultura organizacji tworzy się latami...

Kultura organizacji to jest to, co się tworzy dosyć organicznie. W mojej firmie duża część kultury wynika oczywiście ze mnie i mojego zachowania jako lidera. Prowadzę Nozbe już od prawie 17 lat (za miesiąc urodziny!) i przechodziliśmy przez różne etapy w życiu firmy, bardzo wiele osób przewinęło się przez mój zespół. A konkretnie, obecnie w firmie na stałe pracuje 18 osób, do tego mamy kilku podwykonawców. Najmłodsza osoba stażem jest od niecałego roku, a kolejne są już w firmie kilka ładnych lat. Osoba z najdłuższym stażem to mój pierwszy programista, a obecnie członek zarządu – Tomek, z którym pracuję od ponad 15 lat. Mamy w sumie 5 osób, które są już ponad dekadę w Nozbe.

Oprócz tego przez firmę w międzyczasie przewinęło się 30 osób. Niektórzy zagościli tylko na kilka miesięcy, inni na kilka lat. Radek, z którym nagrywałem kiedyś The Podcast, odszedł w zeszłym roku po 11 lat wspólnej pracy, ale ciągle mamy dobry kontakt.

Ci wszyscy ludzie aktywnie współtworzyli kulturę organizacji i sposoby naszego działania, a są one dosyć mało ortodoksyjne...

W Nozbe działamy trochę inaczej...

Od pracy zdalnej, poprzez formułę wynagrodzeń, piąteczki, małą liczbę spotkań... na kulturę Nozbe składa się wiele elementów:

Kultura organizacji to jest to, co się tworzy dosyć organicznie. W mojej firmie duża część kultury wynika oczywiście ze mnie i mojego zachowania jako lidera.

Pracujemy zdalnie od 2008 roku, kiedy to jeszcze nie było modne!

Po pierwsze, pracujemy wszyscy zdalnie od samego początku. Kiedy zatrudniałem Tomka po ponad roku działalności solo, mieszkałem w Warszawie, a on w Toruniu. Nie było mowy o biurze. Nikt nas tego nie chciał. Wybraliśmy wolność pracy z domu. W międzyczasie obaj się przeprowadziliśmy i dalej pracujemy razem. Następnie, jak zatrudniałem kolejne osoby, to nie brałem pod uwagę, skąd są, ale co są w stanie wnieść do firmy. I tak już zostało.

W Nozbe nie ma możliwości indywidualnego negocjowania pensji. Mamy transparentną formułę wynagrodzeń, gdzie wspólnie decydujemy o podstawowej pensji dla każdego z działów w firmie i potem na podstawie formuły liczona jest pensja.

Nie pracujemy w piątki nad bieżącymi sprawami...

Mamy nowatorskie podejście do 4-dniowego tygodnia pracy. Nad tak zwaną bieżączką pracujemy od poniedziałku do czwartku, a piątek mamy na podsumowanie tygodnia i doszkalanie się. Każdy pracownik decyduje sam, czym się zajmie w piątek po zrobieniu podsumowania. Czy będzie się szkolił z czegoś, czy poświęci czas na jakiś swój projekt, czy może obejrzy sobie jakąś konferencję online, czy nauczy się lepiej narzędzia, z jakiego korzysta. Koncept piąteczków szczegółowo opisywałem w iMagazine w październiku 2021.

Mamy transparentną formułę wynagrodzeń

Kolejna rzecz to formuła wynagrodzeń. Coś, co na pewno będzie tematem kolejnego felietonu w tym roku. W Nozbe nie ma możliwości indywidualnego negocjowania pensji. Mamy transparentną formułę wynagrodzeń, gdzie wspólnie decydujemy o podstawowej pensji dla każdego z działów w firmie i potem na podstawie formuły liczona jest pensja. Jak zatrudniamy nową osobę, wiemy, jakie mamy widełki po dodaniu tej osoby do naszego kalkulatora. Dzięki temu lepiej kontrolujemy budżet firmy, jak podnosimy pensje, to podnosimy pensję bazową, a więc wszyscy dostają automatycznie podwyżki, co bardzo fajnie wpływa na morale zespołu. No i przede wszystkim takie podejście do pensji jest po prostu fair dla wszystkich. Nikt nie czuje się poszkodowany. Każdy wie, że firma dba o swoich ludzi.

Pracujemy na zadaniach i nie wysyłamy maili

Oczywiście najważniejszą rzeczą jest nasz sposób pracy. Używamy Nozbe do tworzenia Nozbe, czyli pracujemy na projektach, zadaniach i komentarzach do nich. Nikt do nikogo nie wysyła maili. Wszystko jest rozpisane w Nozbe i to jest nasze źródło prawdy dostępne z każdego miejsca na świecie i z każdego urządzenia komputerowego – czy to Mac, Windows, iPad, iPhone czy Android. O naszym nieużywaniu emaili pisałem w iMagazine w listopadzie 2022.

Taka praca jest bardzo specyficzna. Ona uczy nas dyscypliny, pisania dobrych komentarzy, opracowywania informacji zwrotnej oraz wielu godzin samotnej pracy w skupieniu. Bardzo szanujemy swój czas (w końcu mamy appkę do zarządzania sobą w czasie!) i mamy bardzo mało spotkań. A te spotkania, które się odbywają, są regularne, opcjonalne i dobrze przygotowane. O spotkaniach pisałem w iMagazine w maju 2021.

Jak doszliśmy do 4 wartości Nozbe: Pasji, Prostoty, Wolności i bycia Fair?

Podczas tych niecałych 17 lat spisaliśmy wiele razy nasze wartości, przykazania czy główne zasady prowadzenia tej firmy, ale w końcu chciałem, abyśmy ustalili te wartości, które pomogą nam w podejmowaniu decyzji i będą nienegocjowalne. Oto jak doszliśmy do tych ostatecznych 4:

Research, czyli przeczytanie naszych poprzednich wpisów

Przeczytałem wszystkie nasze wcześniejsze wypociny, gdzie wspominaliśmy wartości lub zasady. Przy okazji poczytałem więcej o koncepcji wartości i jak do tego podchodzą te firmy, które ewidentnie podziwiam.

Na koniec spisałem 5 wartości, które uważałem za słuszne i do tego dopisałem jeszcze 10 innych, które mi się z nimi kojarzyły. W każdym przypadku uzasadniłem, dlaczego te, a nie inne pasują właśnie do nas. Następnie wewnętrznie w zespole stworzyłem zadanie w Nozbe, w nim załączyłem moją propozycję i zachęciłem wszystkich do tego, aby przeanalizowali mój dokument.

Podczas tych niecałych 17 lat spisaliśmy wiele razy nasze wartości, przykazania czy główne zasady prowadzenia tej firmy, ale w końcu chciałem, abyśmy ustalili te wartości, które pomogą nam w podejmowaniu decyzji i będą nienegocjowalne.

Ustaliliśmy, że przegadamy temat na naszym najbliższym spotkaniu firmowym. Jako firma w pełni zdalna spotykamy się raz lub dwa razy w roku na zjazdach Nozbe, gdzie wybieramy miasto, do którego się udamy i tam spędzamy tydzień roboczy od poniedziałku do piątku razem. Jesienią 2023 byliśmy w Katowicach.

Dyskusja w zespole na zjeździe

W hotelu w Katowicach mieliśmy do dyspozycji salkę konferencyjną i tam omówiliśmy moją propozycję. Okazało się, że z moich wstępnie zaproponowanych 5 wartości, doszliśmy do 4 – udało nam się uprościć i jednocześnie lepiej wyrazić to, czym jest dla nas praca w Nozbe.

Z moich zaproponowanych 5 wartości: Simplicity (Prostota), Trust (Zaufanie), Humility (Pokora), Fairness (Bycie Fair) i Joy (Radość) po ponad godzinnej dyskusji doszliśmy do 4 wartości: Passion (Pasja), Simplicity (Prostota), Freedom (Wolność) i Fairness (Bycie Fair).

CZTERY WARTOŚCI NOZBE I CO ONE OZNACZAJĄ:

Passion – Pasja

Pasjonuje nas to, co robimy. Od zawsze chciałem pomóc się ludziom lepiej zorganizować. Od samego początku, kiedy zainspirowany książką Davida Allena „Getting Things Done" napisałem pierwszą wersję Nozbe do teraz, kiedy pomagamy mądrym (SMART) przedsiębiorcom i ich zespołom lepiej ogarnąć sprawy firmowe i prywatne w jednej aplikacji.

Pasja nas prowadzi, bo dzięki niej jesteśmy w stanie „dowozić" naszym klientom aplikację od tylu lat. Dzięki tej pasji przetrwaliśmy już wiele

zmian technologicznych, kryzysów, jedną pandemię i inne przeciwności losu. Ta pasja jest zaraźliwa, dzięki czemu nasi użytkownicy są z nami od lat i nie mogą sobie wyobrazić używania innej aplikacji.

Pasja jest też spoiwem, który utrzymuje nasz zespół. Dlatego też ludzie są z nami od lat i chcą dalej przy nas się rozwijać.

Simplicity – Prostota

Nozbe od początku był tym „prostym podejściem do metody GTD". Zawsze o Nozbe mówiłem: „Simply Get Things Done". To nie znaczy, że aplikacja nie ma zaawansowanych funkcji, ale że bariera wejścia i używania jej powinna zawsze być jak najmniejsza. To nas wyróżnia teraz na tle konkurencji, która robi ze swoich aplikacji kombajny nie do ogarnięcia.

Zawsze o Nozbe mówiłem: „Simply Get Things Done". To nie znaczy, że aplikacja nie ma zaawansowanych funkcji, ale że bariera wejścia i używania jej powinna zawsze być jak najmniejsza.

Co więcej, jesteśmy dumni, że nasze aplikacje mobilne są tak samo dobre jak te na komputery stacjonarne. Czyli nie są tylko dodatkiem, ale można wszystkim w Nozbe zarządzać prosto z iPhone'a. Zresztą ja to robię przecież z iPada Pro, bo jestem #iPadOnly.

Tej prostoty założenia konta, stworzenia zespołu, dodawania projektów i zadań czy komentowania nie chcemy nigdy zaprzepaścić. Chcemy jej pilnować. Jeśli mamy wątpliwość, upraszczamy!

Jak to mówił Steve Jobs: „Hit it with a simple stick!".

Freedom – Wolność

W Nozbe możemy pracować skądkolwiek (miejsce), kiedykolwiek (sami wyznaczamy sobie godziny pracy) i jakkolwiek (nie narzucamy sprzętu

do pracy). Mamy pełną wolność decyzji. Nie tylko ja jako właściciel, ale każdy z członków zespołu.

Co więcej, dzięki temu, że nie mamy zewnętrznych inwestorów, mamy wolność decyzji, co i kiedy robimy. Dzięki temu, że mamy model opłat bardzo przystępnego cenowo abonamentu miesięcznego, żaden klient nie ma nad nami „władzy", aby nam narzucić, jaką funkcję mamy lub nie mamy wprowadzić.

Ta wolność daje nam też frajdę z pracy i wpisuje się w moją pierwszą sugestię wartości – joy. Fajnie mieć taką wolność. Bardzo się z niej cieszymy i ciągle musimy też jej pilnować.

Fairness – Bycie Fair!

Trudno na polski przetłumaczyć fairness, bo to nie jest do końca sprawiedliwość. To też oznacza szacunek i zaufanie. Fair to jest sposób, w jaki ty chcesz innych traktować oraz jak my chcemy być traktowani.

W Nozbe skoro pracujemy zdalnie, dajemy już na wstępie ludziom kredyt zaufania. Wyżej wspomniana formuła wynagrodzeń to też podejście fair do dzielenia się zyskami z działalności firmy. Nasi klienci często próbują z nami negocjować , ale my im mówimy, że chcemy być fair dla wszystkich, więc obecnie cennik Nozbe jest taki sam dla każdego i zależy tylko od planu (Premium czy Business) oraz liczby osób w zespole. Ale nie ma innych cenników. Nie ma rabatów. Jest fair.

Życie nie jest fair, ale przynajmniej w Nozbe dążymy do tego, aby było jak najbliżej tego ideału. Przynajmniej na to mamy wpływ. Chcemy traktować innych tak samo jak byśmy chcieli być przez nich traktowani.

Dzięki temu, że mamy model opłat bardzo przystępnego cenowo abonamentu miesięcznego, żaden klient nie ma nad nami „władzy", aby nam narzucić, jaką funkcję mamy lub nie mamy wprowadzić.

PSFF – Passion, Simplicity, Freedom & Fairness! A jakie są wartości Twojej firmy czy zespołu?

Daj znać, jestem na Mastodonie **@michael@nozbe.com** lub po prostu **napisz mi maila** albo zaczep mnie na LinkedIn (**Michael Sliwinski**).

Życzę Ci wspaniałego Nowego Roku i myślę, że warto go zacząć od tego, aby te wartości Nozbe sobie skodyfikować i w kolejnych miesiącach pracy właśnie nimi się kierować. Dzięki temu w 2024 podejmiesz same właściwe decyzje, czego z całego serca życzę!

DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Lifestyle

1670

Ja wiem, że mamy osobno dział filmowy, ale ta polska produkcja zasługuje na umieszczenie w zestawieniu. „Ludzie obudźcie się, mamy XVII wiek!". Polska szlachecka, sarmacka i życie w niej przedstawione w krzywym zwierciadle. Punktowane do bólu. XVII-wieczny lifestyle w najczystszej postaci. Masa tekstów wejdzie do popkultury. Bartek Topa w wybitnej formie. Warto obejrzeć na Netflix.

Columbia Opal Hill™ Mid Down Jacket

Opal Hill™ Mid Down Jacket to idealne rozwiązanie dla kobiet, które szukają długiej, ultraciepłej kurtki zimowej. Kurtka posiada ocieplinę z puchu z certyfikatem RDS. W modelu zastosowano technologię Omni-Tech™ oraz Omni-Heat™ Infinity. Omni-Tech™ to membrana z mikroporami, która nie dopuszcza do wnikania wody w głąb tkaniny, ale umożliwia odprowadzanie potu, co pozwala zachować poczucie suchości. Kurtka posiada zapinane na zamek kieszenie na dłonie, regulowane mankiety zewnętrzne oraz wewnętrzne mankiety z otworami na kciuki.

Cena: 1549,99 PLN

Gramofon JBL TT350 Classic

Do rodziny elektroniki JBL dołączył właśnie nowy gramofon JBL TT350 Classic. To najwyższej jakości urządzenie, które doskonale wpisuje się w trend „newstalgii" – o klasycznym wyglądzie, powstał z wykorzystaniem najnowocześniejszych rozwiązań w dziedzinie akustyki.

Sugerowana cena detaliczna: 5 090 PLN

WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

Skrócona historia Panerai i Radiomir California

Historia Panerai rozpoczyna się skromnie, ale rozwija się w fascynującą opowieść o innowacji, wojskowej tajemnicy, sławie i luksusie.

Założenie i wczesne lata (1860)

Historia marki Panerai rozpoczęła się w 1860 roku, kiedy to Giovanni Panerai otworzył swój pierwszy sklep przy Ponte alle Grazie we Florencji. Miejsce to służyło nie tylko jako sklep i warsztat zegarmistrzowski, ale również jako pierwsza szkoła zegarmistrzowska w tym mieście.

Od 1876 roku sklep korzystał z różnych lokalizacji we Florencji, jednak w latach 20. XX wieku, w związku z rekonstrukcją Ponte alle Grazie, przeniósł się do swojej obecnej siedziby. Znajduje się ona w Pałacu Arcybiskupim naprzeciwko Katedry Florenckiej i funkcjonuje pod nazwą OROLOGERIA SVIZZERA. Ta nazwa od ponad stu lat kojarzona jest we Florencji z zegarkami wysokiej jakości.

Rejestracja patentu (1915)

Historia marki Panerai jest ściśle związana z innowacjami, a jednym z kluczowych momentów było zarejestrowanie patentu Radiomir. W odpowiedzi na potrzeby wojskowe Włoskiej Królewskiej Marynarki Wojennej, dla której rodzina Guido Panerai od lat dostarczała precyzyjne instrumenty, takie jak przyrządy celownicze do walki morskiej, opracowano proszek na bazie radu. Powstał on we współpracy z komandorem porucznikiem Carlo Ronconim i był przeznaczony do zwiększenia jasności tarcz przyrządów i celowników. Tak narodził się Radiomir.

Odniesienie do nazwy Radiomir zostało udokumentowane w dodatku do patentu złożonego we Francji 23 marca 1916 roku. Wysoka samoluminescencja tego związku szybko uczyniła pastę radu kluczowym elementem w produkcji Panerai.

Radium girls

Wspomniany proszek na bazie radu nieuchronnie przypomina o tzw. „radowych dziewczynach" i dotyczy ich tragicznego losu. Podkreślę, że te kobiety nie pracowały dla firmy Panerai, lecz dla różnych amerykańskich firm zegarmistrzowskich w latach 20. i 30. XX wieku.

W latach 20. XX wieku w Stanach Zjednoczonych pracownice fabryk zegarmistrzowskich stosowały farbę na bazie radu do malowania tarcz zegarów, aby świeciły w ciemności. Proces ten polegał na użyciu drobnych pędzelków, które kobiety często zwilżały ustami, by uzyskać cienki, precyzyjny koniec – technika ta była znana jako pointing.

Niestety, pracownice nie były świadome szkodliwości radu. Z czasem wiele z nich zaczęło cierpieć na poważne problemy zdrowotne, w tym na choroby kostne i nowotwory kości – efekty promieniowania. Choroba ta była często śmiertelna, a jej objawy obejmowały m.in. utratę zębów, bóle kości i inne poważne dolegliwości.

We wspomnianych latach 20. i 30. XX wieku niektóre z tych kobiet podjęły działania prawne przeciwko swoim pracodawcom, co doprowadziło do jednych z pierwszych przypadków spraw sądowych dotyczących odpowiedzialności pracodawcy za zdrowie pracowników. Ich walka przyczyniła się do zmian w przepisach dotyczących bezpieczeństwa pracy i uświadomiła społeczeństwo o niebezpieczeństwach związanych z radem.

Chociaż te tragiczne wydarzenia nie dotyczyły bezpośrednio firmy Panerai, to historia „radowych dziewczyn" związana jest ogólnie z używaniem radu w zegarmistrzostwie, w tym w przypadku Panerai i ich słynnego modelu Radiomir. Panerai, podobnie jak inne firmy zegarmistrzowskie tamtych czasów, stosował rad do doświetlania tarcz zegarków, ale nie ma bezpośrednich dowodów na to, że firma ta stosowała podobne metody pracy czy miała podobne przypadki chorób wśród swoich pracowników.

Ref. 3646 (1940)

W 1940 r. Panerai rozwinęło swoją współpracę z Włoską Królewską Marynarką Wojenną, tworząc model o nr ref. 3646, który dzisiaj znamy jako zegarek Radiomir. Obecna wersja Radiomira zachowała wiele cech modelu 3646: dużą, poduszkowatą obudowę ze stali o średnicy 47 mm, luminescencyjne cyfry i indeksy, lugi przyspawane do obudowy oraz wysokiej jakości ręcznie nakręcany mechanizm (w tamtym czasie używano kalibru Cortebert/Rolex 618 pochodzącego z zegarka kieszonkowego) oraz garbowany, wodoodporny, skórzany pasek (na tyle długi, by można było nosić go na odzieży ochronnej). Tak rozpoczęły się regularne dostawy zegarków Panerai do Regia Marina.

Aby poprawić funkcjonalność, Giuseppe Panerai zmodyfikował strukturę tarczy, używając nakładających się na siebie dysków, znanych jako tarcze typu sandwich oraz górnej części wykonanej z anodyzowanego aluminium z perforowanymi indeksami i cyframi, aby uczynić pastę radu bardziej czytelną i luminescencyjną. Dla lepszej czytelności tarczy jej układ został przeprojektowany z zaledwie czterema dużymi arabskimi cyframi na głównych punktach oraz ośmioma indeksami przy markerach godzinowych.

Te wszystkie innowacje dzisiaj nadal definiują charakterystyczny styl i funkcjonalność zegarków marki.

Luminor (1949)

W 1949 roku, dokładnie 11 stycznia, firma Panerai opatentowała nazwę Luminor, która odnosiła się do wszystkich luminescencyjnych i samoluminescencyjnych materiałów używanych przez nich. Giuseppe Panerai zdawał sobie sprawę, że radioaktywne związki wymagają ostrożnego podejścia, zwłaszcza w obliczu rozwijających się wojskowych i cywilnych technologii atomowych. Zdecydował, że substancje luminescencyjne powinny otrzymać nową, bardziej neutralną nazwę, i stopniowo zaczęto je identyfikować jako Luminor. Nową luminescencyjną substancję oparto na trycie (izotopie

wodoru), charakteryzującym się bardzo niskimi i nieszkodliwymi emisjami. Był to wynik licznych badań i eksperymentów, a Luminor stopniowo stał się, zgodnie z konwencją użytkowania, wspólnym identyfikatorem zegarka nurkowego Panerai, wyposażonego w charakterystyczny mostek ochronny korony.

Mare Nostrum (1950)

W latach 50. XX wieku firma Panerai pracowała nad projektem modelu dla oficerów pokładowych Włoskiej Marynarki Wojennej. Był to dwulicznikowy chronograf nazwany Mare Nostrum. Prawdopodobnie już w latach 40. zarysowano wstępne plany tego modelu. Uważa się, że powstały tylko dwie lub trzy sztuki tych zegarków, prawdopodobnie w latach 50., a jedynymi pozostałościami po nich jest kilka płyt fotograficznych oraz jeden prototyp, który został zakupiony przez muzeum Officine Panerai podczas międzynarodowej aukcji w 2005 roku.

Panerai dla Włoskiej Marynarki Wojennej (1954)

W 1954 roku, w odpowiedzi na rosnące zaangażowanie we włoskie operacje podwodne po II wojnie światowej, Włoska Królewska Marynarka Wojenna postawiła jeszcze bardziej specyficzne wymagania odnośnie wojskowych zegarków: musiały one wytrzymać długi czas pod wodą w ekstremalnych warunkach. W tym roku firma Panerai przetestowała dwa nowe modele, ref. 6152 i ref. 6154. Wiele z dzisiejszych modeli zostało zainspirowanych tymi zegarkami, ponieważ zawierały one innowacje zaprojektowane tak, aby konstrukcja była jeszcze bardziej solidna i odporna – obudowa wykonana była z jednego bloku z uchwytami, zachowując kształt poduszki, z bardziej wyraźnymi krawędziami po bokach. Zegarki te otrzymały ogólną estetyczną rewizję poszczególnych części i otrzymały zakręcaną koronkę, tubularną cylindryczną, zastępującą konusową cylindryczną historycznego Radiomira.

Po dokładnej analizie testów dokonano pewnych modyfikacji, co doprowadziło do powstania ostatecznego modelu oznaczonego jako nr referencyjny 6152/1, również ze wzmocnionymi uchwytami wykonanymi z solidnej stali z tego samego bloku, co obudowa.

Symbol Panerai (1956)

W 1956 roku firma Officine Panerai opracowała model zegarka nurkowego, znanego jako GPF-2/56, który później zyskał popularność pod nazwą Egipski, gdyż został dostarczony Egipskiej Marynarce Wojennej za zgodą Włoskiej Marynarki Wojennej. Innowacje charakteryzujące ten model są godne uwagi, zaczynając od imponujących rozmiarów obudowy o średnicy 60 mm, zapewniającej wystarczającą wytrzymałość oraz znaczącą wodoodporność, kończąc na obracanym pierścieniu zegara do obliczania czasu nurkowania oraz szwajcarskim mechanizmie Angelus z 8-dniową rezerwą chodu. To właśnie w tym modelu po raz pierwszy wprowadzono strukturalny element, który do dziś najbardziej identyfikuje zegarki Panerai – mostek chroniący koronkę. Egiziano stał się modelem inspirującym dla nowoczesnych zegarków z serii Submersible, ponieważ jest wyposażony w obracany pierścień do obliczania czasu zanurzenia. W 1956 roku Guido Panerai & Figlio międzynarodowo opatentował to urządzenie chroniące koronkę.

Dzisiejsza pozycja na rynku i Sylwester Stallone

Dziś Panerai jest uznawane za jedną z wiodących marek luksusowych zegarków, cenioną zarówno za swoje historyczne modele, jak i innowacyjne podejście do zegarmistrzostwa. Firma nadal eksploruje nowe technologie i materiały, jednocześnie oddając hołd swojemu bogatemu dziedzictwu, które jest ściśle związane z morzem i nurkowaniem.

Związek między Panerai a aktorem Sylvestrem Stallone jest fascynującym przykładem, jak znana osobistość może wpłynąć na popularność i percepcję marki luksusowej. Stallone odkrył zegarki Panerai w 1996 r., a jego zainteresowanie nimi miało znaczący wpływ na rozpoznawalność i status marki na świecie. Natknął się na nie podczas pobytu we Włoszech i zaimponowała mu unikalna, masywna estetyka zegarków, która pasowała do jego osobistego stylu i wizerunku. Był tak urzeczony ich designem, że postanowił zakupić kilka egzemplarzy.

Zafascynowany marką Stallone zamówił specjalną serię zegarków u Panerai, którą nazwał Slytech (Sly to był jego pseudonim). Te zegarki były niestandardowe i zawierały jego podpis na tarczy lub na dekielku. Sylvester również zdecydował się na użycie Panerai w filmie pt. „Daylight". Był to Luminor 5218-201/a Logo z 1993 r.

Grupa Richemont (1997)

Wiosną 1997 roku Grupa Richemont (wcześniej znana jako Grupa Vendôme) przejęła firmę Officine Panerai Srl. Tuż po przejęciu grupa rozpoczęła proces wdrażania selektywnej sieci dystrybucji we Włoszech, co było to kluczowe dla dostosowania strategii przemysłowej i handlowej oraz wykorzystania synergii obecnej w strukturach grupy.

Officine Panerai, Florencja (2001)

Po starannej renowacji historyczny butik Panerai został ponownie otwarty. Restylizacja oryginalnych pomieszczeń przy Piazza San Giovanni we Florencji nastąpiła po przejęciu rodzinnej pracowni przez Officine Panerai. Ta pracownia rzemieślnicza stała się miejscem spotkań dla kolekcjonerów i miłośników marki, którzy mogą znaleźć tam nie tylko egzemplarze z aktualnej kolekcji, ale także

zegarki z limitowanych edycji oraz specjalne produkcje, które Panerai rezerwuje wyłącznie dla swoich butików.

Radiomir California (PAM01349)

Ten ręcznie nakręcany Radiomir z tarczą typu California, charakteryzującą się rzymskimi cyframi na jej górnej połowie oraz arabskimi na dolnej, wyposażono w mechanizm P.5000, wykonujący 21 600 ruchów na godzinę i zapewniający 8 dni rezerwy chodu. Obudowa ma 45 mm, a dekiel wykonano ze szkła szafirowego, aby móc podziwiać mechanizm. Na wyposażeniu jest brązowy pasek z cielęcej skóry.

Niektórzy mówią, że należy się przede wszystkim interesować seriami Luminor oraz Submersible, ale jest coś w Radiomirze z tarczą w stylu California, że mam ochotę na romans z nim.

Całkiem nowe
NOZBE

Zorganizujesz sprawy:

- swoje
- rodzinne
- firmowe

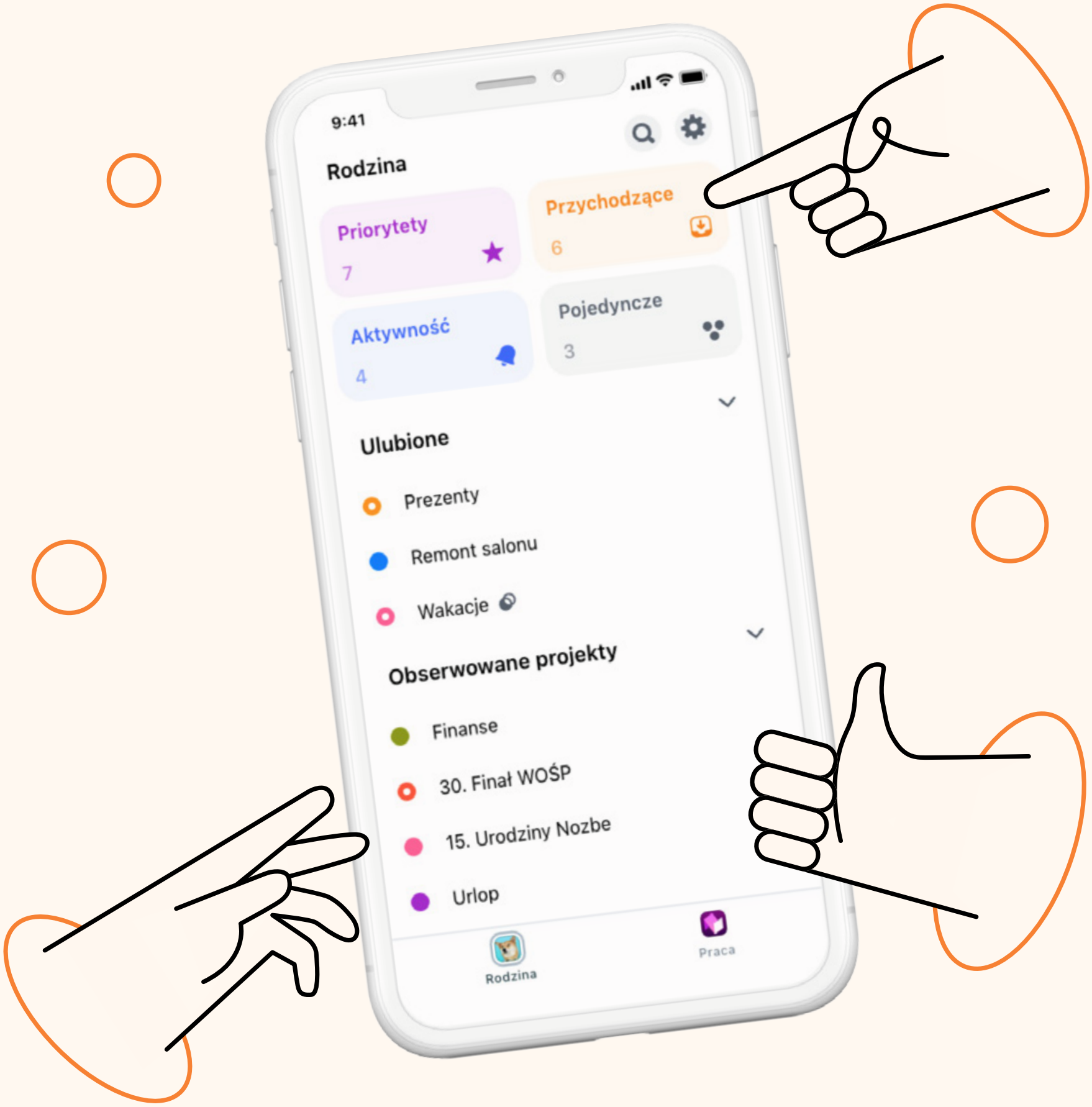

nozbe.com

PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Devialet Gemini II – to da się lepiej?

Niezwykle cenię Devialet za ich podejście do tworzenia sprzętu audio. Do moich uszu trafiły ostatnio słuchawki Gemini II tej francuskiej firmy i z miejsca stały się moimi ulubionymi dokanałówkami.

Miałem niemałą przyjemność testować poprzednią generację Devialet Gemini kilka lat temu. Te wyglądające bardzo niepozornie słuchawki oferowały brzmienie tak wysokiej jakości, że trudno spodziewać się go było po tego typu sprzęcie. Gdy tylko dowiedziałem się o kolejnej generacji, musiałem ją sprawdzić. Gemini II przypominają poprzedni model, choć są zauważalnie mniejsze i bardziej przykuwają wzrok detalami. Obudowa ma wciąż prosty kształt, ale ma teraz wyraźniejsze, błyszczące elementy, logo też mocniej rzuca się w oczy. Wciąż jednak projekt ma w sobie sporo surowości, a całość wypada bardzo elegancko. Podobnie jest z etui, które zrobiono z matowego oraz błyszczącego plastiku (przez co niestety wszystkie odciski palców są na nim bardzo wyraźne). Wyposażono je zarówno w port USB-C, jak i wsparcie ładowania bezprzewodowego Qi. Do parowania słuchawek służy niewielki przycisk z tyłu etui, z przodu znalazła się

natomiast dioda sygnalizująca stan połączenia i poziom naładowania baterii. Słuchawki wraz z etui mogą działać do 22 godzin bez ładowania, co jest bardzo poprawnym wynikiem.

Obudowy uszczelniono do stopnia IPX4, mogą więc być lekko zmoczone. Ich konstrukcja nie wskazuje jednak na dostosowanie ich do sportu, podczas intensywnego ruchu nie trzymają się wystarczająco dobrze, by nie musieć ich stale poprawiać – to ewidentnie sprzęt do odsłuchu w spokojniejszych warunkach i delektowania się muzyką. Niemniej, na spacer są w sam raz, niemal nie czuć ich w uchu dzięki bardzo wysokiej jakości gumowym nakładkom (w komplecie dostajemy cztery pary), jak i niskiej wadze (każda ze słuchawek waży 6 gramów). Do sterowania służą powierzchnie dotykowe na zewnętrznej obudowie pchełek. Rozpoznają pojedyncze i podwójne dotknięcie, a także przytrzymanie palca oraz stuknięcie i przytrzymanie. Ten ostatni gest nie jest konfigurowalny i służy do zmiany głośności, do pozostałych można natomiast przypisać przełączanie między utworami, wstrzymywanie i wznawianie odtwarzania, wywołanie asystenta głosowego czy przechodzenie między ANC i pass-through. Da się też całkowicie wyłączyć sterowanie dotykowe. Opcji jest więc sporo i bardzo mi to odpowiada, bo mogłem ustawić je dokładnie tak, jak używane przeze mnie

na co dzień inne słuchawki. Aplikacja Devialet Gemini, w której można to zrobić, pozwala też ustawić korektę dźwięku (korektor ma sześć suwaków i opcję zapisania presetu bądź wczytania gotowego), zmienić balans stereo czy włączyć automatyczną pauzę muzyki po wyjęciu słuchawki z ucha. Na głównym ekranie możemy natomiast podejrzeć poziom naładowania każdej ze słuchawek oraz przejść między ANC i pass-through, nie da się jednak wyłączyć obu tych trybów.

Devialet Gemini II wyposażono w Bluetooth 5.2, umożliwiające połączenie z dwoma źródłami jednocześnie. Prócz tego mają też funkcję Active Wind Reduction (AWR), która dzięki mikrofonom słuchawek pozwala niwelować hałas wiatru zarówno podczas odtwarzania, jak i prowadzenia rozmowy. Obecna pogoda pozwala sprawdzać ją nieustannie i jestem zadowolony z tego, jak działa. Co prawda nie wycisza wszystkiego, ale efekt jest słyszalny. Podobnie jest zresztą z ANC, które świetnie radzi sobie z wysokimi tonami i tylko niewiele mocniej przebija się z otoczenia środek i dół. Nie zabrakło pass-through, choć brakuje mi możliwości regulacji poziomu tego trybu, z zewnątrz słychać bowiem zbyt mało, by komfortowo prowadzić rozmowę.

Słuchawki wyposażono w 10-milimetrowe przetworniki, do komunikacji wykorzystują natomiast kodek AAC lub aptX. Od samego początku ich

brzmienie zasypywało detalami w każdym paśmie, ze szczególnym uwzględnieniem wysokich tonów. Nie było ich za dużo, natomiast to, jak wiele można usłyszeć na Devialet Gemini II, jest wręcz niesamowite. Separacja instrumentów jest niezwykła we wszystkich pasmach, a dzięki świetnej dynamice żaden dźwięk, nawet ten najcichszy, nie ginie. Środek wypada wybornie, pozwala delektować się zarówno instrumentami, jak i wokalem. Na dole też dzieje się bardzo dużo, tu panuje pełna kontrola. Na Gemini II kupiła mnie przede wszystkim muzyka poważna, fortepianowe utwory Stephana Moccio wręcz oczarowywały swoją lekkością i ciepłem. Jednocześnie świetnie słuchało mi się rapu, elektroniki czy popu – z każdym gatunkiem Gemini II dawały sobie radę równie dobrze.

Nie zawiodłem się – Devialet ponownie opracował słuchawki, które nie tylko oferują bardzo dużą wygodę, ale też brzmią wręcz nieadekwatnie do swoich rozmiarów. Dzięki AWR i ANC można bardzo skutecznie odciąć się od otoczenia, szkoda jedynie, że pass-through trochę zawodzi – wystarczyłoby dodanie suwaka regulacji, by funkcja ta była zdecydowanie bardziej przydatna. Pomimo tego Devialet Gemini II to bez wątpienia jedne z najlepszych słuchawek true wireless na rynku, pod względem brzmienia nie miałem okazji nigdy słuchać żadnych, które byłyby od nich lepsze.

Devialet Gemini II ★★★★★★

- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 5,5/6

+ Plusy:
- fenomenalny dźwięk
- bardzo wygodne
- prosta, ale oferująca wiele aplikacja

— Minusy:
- pass-through mogłoby być lepsze
- brudzące się etui

Cena: 1799 PLN

Dostępne w Top Hi-Fi & Video Design

Sharp XL-B514 Tokyo FM Hi-Fi Micro System – nie wyrzucaj płyt CD

DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

Dziś bardzo wielu z nas konsumuje treści muzyczne przede wszystkim za pomocą słuchawek. Sam zresztą zaliczam się do tej grupy. Kiedy jednak dotarł do mnie niewielki zestaw Sharpa, moje uszy mają lżej. Dosłownie.

Jedną rzecz trzeba wyjaśnić już na wstępie: to nie jest żaden zestaw Hi-Fi (mimo obecności tej frazy w nazwie), żadne super premium audio. To nie jest Bowers & Wilkins, Devialet, Sennheiser czy Bang & Olufsen. Jednak zgrabna i funkcjonalna mikrowieża Sharpa z miejsca skradła mi serducho. Moja poprzeczka oczekiwań nie była zawieszona wysoko, bo też trudno było ją tak ustawiać, mając na uwadze, że sprzęt, o którym Wam tu opowiem, kosztuje niemal 3 razy mniej niż nowe AirPodsy Pro. Czym właściwie jest?

Sharp XL-B514 Tokyo FM to jedna z najnowszych propozycji japońskiej marki w segmencie budżetowych, prostych systemów audio 2.0. Mamy tu zwykłe stereo, żadnych Dolby Atmos, żadnego otaczającego dźwięku obiektowego i innych bajerów, które mają wywołać ciary podczas odsłuchu. Jednak jeżeli Twoje uszy są już nadwerężone wielogodzinnymi, dzień w dzień, sesjami ze słuchawkami, a nie lubisz pracować w ciszy i lepiej myśli Ci się, gdy w tle słyszysz ulubioną playlistę, to sprzęt Sharpa może być znacznie lepszą propozycją od zwykłych niewielkich głośników stereo podpinanych np. do komputera czy laptopa.

Zaletą mikrozestawu Sharpa jest funkcjonalność. Sprzęt pozwala słuchać radia FM (nie ma jednak cyfrowego DAB+), źródeł analogowych podłączanych do gniazda AUX (przez klasyczny mini Jack 3,5 mm stereo), a także

muzyki w formacie MP3 zgromadzonej na nośnikach USB (jest stosowne złącze; klasyczne gniazdko USB-A) czy przesyłanej bezprzewodowo via Bluetooth (urządzenie obsługuje BT 5.0). Odtwarzacz CD to już dziś coraz rzadsze wyposażenie domowych, niedrogich zestawów audio. Doceniam jednak Sharpa, że mu się chciało, bo dzięki temu zgromadzone przez nas przez lata płyty CD mogą dostać drugie życie. Odtwarzać możemy zresztą nie tylko klasyczne CD Audio, ale również nagrywalne płyty CD i to nie tylko z nieskompresowanym dźwiękiem, ale też z muzyką zapisaną w formacie MP3.

Pod względem wzornictwa projektanci też odrobili lekcje, szczególnie jeżeli lubicie klasyczne formy. Proste, zaokrąglone prostopadłościany jednostki głównej i pary głośników, wykonane z miłego w dotyku, matowego, bardzo ciemnego tworzywa to udany przykład minimalistycznego, przyjemnego w odbiorze wzornictwa. Na zdjęciach może wydawać się, że zestaw jest czarny. W istocie kolor zarówno głośników, odtwarzacza z radiem, jak i pilota dołączonego do zestawu, to bardzo ciemna szarość. Jedynie ramka okalająca prosty wyświetlacz LCD jest w kolorze piano black. Panel kontrolny to także proste, klikalne przyciski w kształcie kółek, zlicowane z powierzchnią urządzenia. Gabaryty? Niewielkie. Jednostka główna

ma wymiary zaledwie 122 mm wysokości, 185 mm szerokości i 205 mm głębokości, a każdy z głośników ma szerokość 135 mm, jest głęboki na 163 mm i wysoki na 205 mm. W efekcie sprzęt wpasuje się np. do regału z książkami, na niewielką półkę nad biurkiem czy w wiele innych miejsc, których w domu na pewno nie brakuje.

Instalacja i konfiguracja są bardzo proste. Podpinamy dołączony kabelek pełniący funkcję anteny radiowej, podłączamy głośniki, zasilanie i tyle. Oznaczenia klasycznych gniazd i kabli głośnikowych z wtykami RCA (cinch) kolorem nie pozostawiają wątpliwości, do którego gniazda podłączyć dany głośnik. Przełączanie trybów pracy (np. z radia FM na Bluetooth, CD, AUX itp.) to kwestia jednego przycisku, Waszej wygodzie pozostawiono wybór, czy skorzystać z panelu na obudowie urządzenia, czy z pilota zdalnego sterowania. Parowanie Bluetooth jest również proste. Po aktywacji trybu bezprzewodowego trzeba jedynie odblokować znajdowanie urządzeń w smartfonie i po kilku sekundach sprzęt Sharpa jest odnajdywany. Nie miałem też najmniejszych problemów ze sparowaniem laptopa z mikrowieżą Tokyo FM, dzięki czemu sprzęt też pełnić rolę głośników do komputera. Tutaj ciekawostka: opóźnienia są minimalne. Bezpiecznie można wykorzystać ten zestaw jako nagłośnienie oglądanych na komputerze filmów czy gier.

Jakość dźwięku? Producent nie obiecuje złotych gór i wrażeń audio wbijających w fotel, ale też trudno oczekiwać takich na półce cenowej, na której umieszczono ten sprzęt. Niemniej mały zestaw Sharpa gra zaskakująco przyjemnie, klarownie i ciepło. Osobiście lubię ciepłe brzmienie, więc moja subiektywna ocena może być tu nieco zawyżona, ale nie zmienia to faktu, że dla miłośników spokojnej i raczej cicho słuchanej muzyki testowany sprzęt będzie udanym rozwiązaniem. Na ton i brzmienie możemy wpływać na różne sposoby: wybierać spośród dziewięciu predefiniowanych nastawów equalizera, jak również samodzielnie sterować poziomem tonów niskich czy wysokich z dziesięciostopniową swobodą dla każdego pasma, własne nastawy można zapisać jako kolejny z predefiniowanych nastawów, dzięki czemu nie trzeba po zmianie ustawień ponownie dokonywać korekt ręcznie.

Podsumowując, mikrosystem 2.0 Sharp XL-B514 Tokyo FM to bardzo ciekawa, przystępna cenowo propozycja dla osób, które nie chcą już w domu nadwyrężać uszu stale noszonymi słuchawkami. Udany produkt dla tych, którzy chcą odkurzyć stare płyty CD czy nośniki z plikami MP3, poszukują rozwiązania prostego w obsłudze, o szerokiej funkcjonalności, a przy tym mogącego stanowić ozdobę pomieszczenia, w którym ustawimy ten sprzęt. Cena? 99 euro, czyli ok. 430 zł.

WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

Najdroższy MacBook Pro 16” z M3 Max (16-core CPU / 40-core GPU) ze 128 GB RAM i 8 TB SSD – wyjmujemy z pudełka

Przede mną na biurku właśnie stoi 42 199 zł w postaci najnowszego MacBooka Pro 16”, więc wyjmijmy go z pudełka...

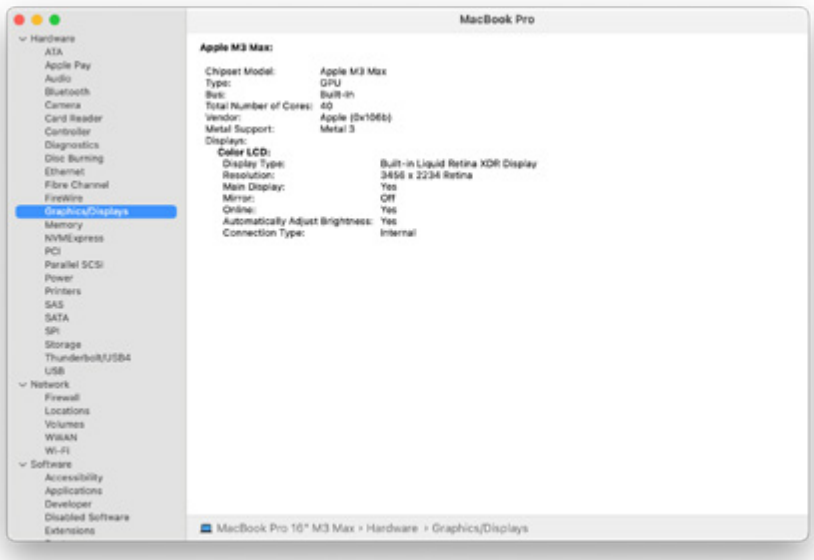

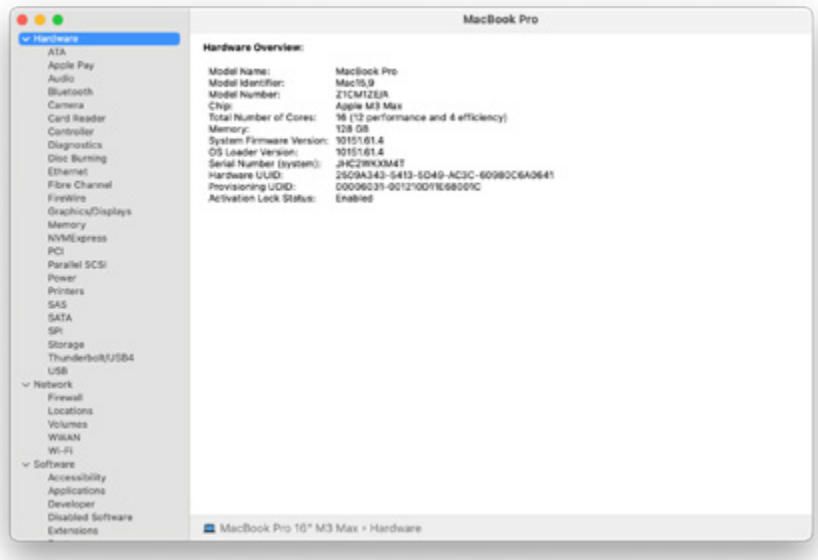

Specyfikacja techniczna

Do naszej dyspozycji mamy absolutnie topową wersją MacBooka Pro. Jest to model 16-calowy, który oferuje dokładnie takie same parametry techniczne na papierze jak model 14-calowy, ale ze względu na jego ambitniejsze możliwości termiczne oferuje nieznacznie większą wydajność od swojego mniejszego brata. Pełna specyfikacja prezentuje się następująco:

- MacBook Pro 16”
- Apple M3 Max | 16-core CPU | 40-core GPU | 16-core Neural Engine
- 128 GB RAM LPDDR5
- 8 TB SSD

Rozpoczęcie testów

W najbliższych dniach i tygodniach **na łamach iMagazine.pl** i być może **naszego kanału na YouTubie**, znajdziecie testy i recenzję tego najnowszego wydania MacBooka Pro.

Jeśli macie jakieś pytania, to zapraszam do kontaktu.

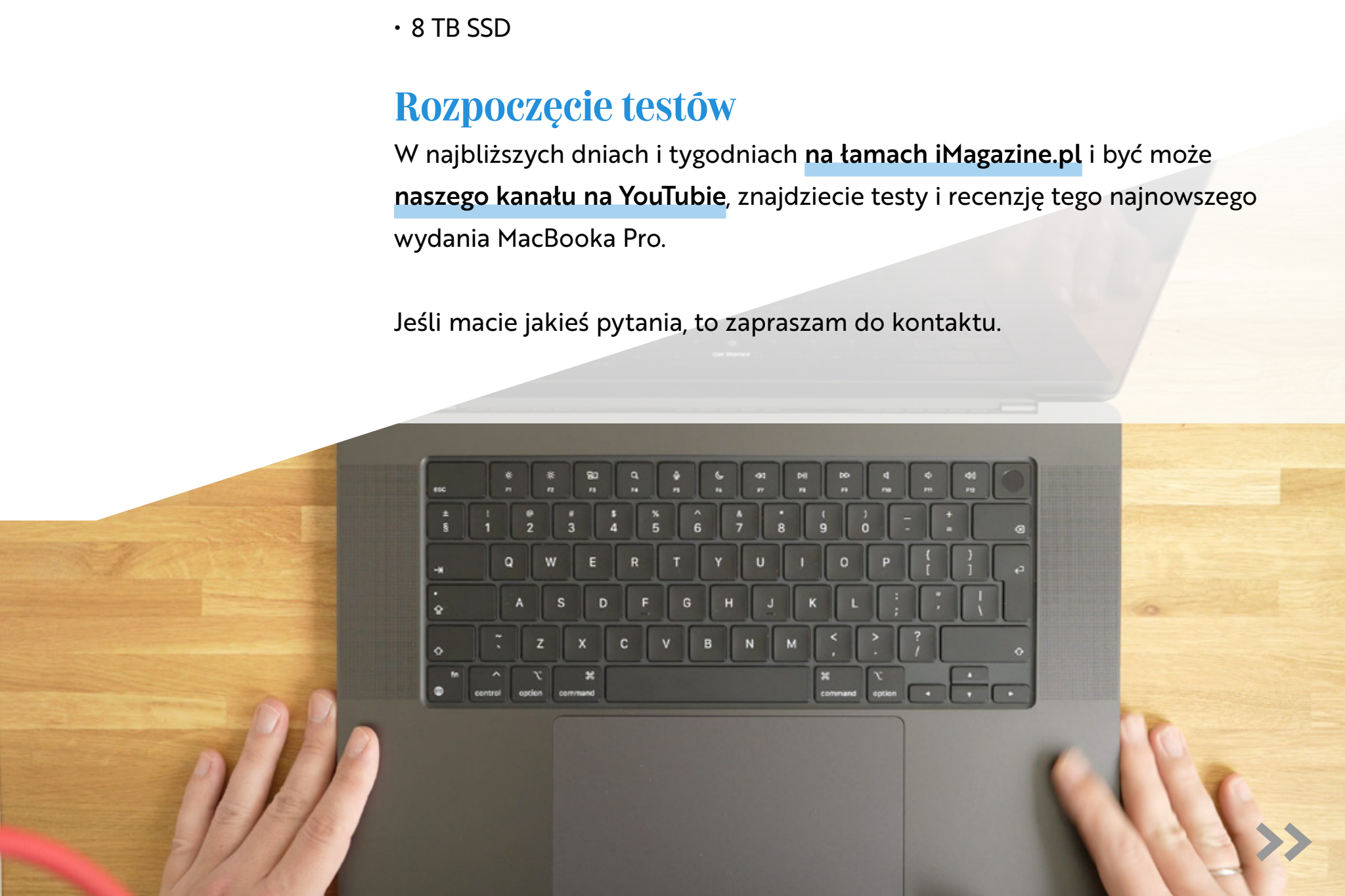

WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

Pierwsze wrażenia z Meta Ray-Ban Wayfarer – rób zdjęcia, wideo lub livestreamuj

To zdają się być pierwsze sensowne okulary przeciwsłoneczne, z możliwością wstawienia szkieł korekcyjnych, które mają wbudowane aparaty, a więc potrafiące robić zdjęcia, nagrywać filmy lub robić livestreamy. Są przy tym tak cichociemne, że nikt nie ma pojęcia, że to robimy...

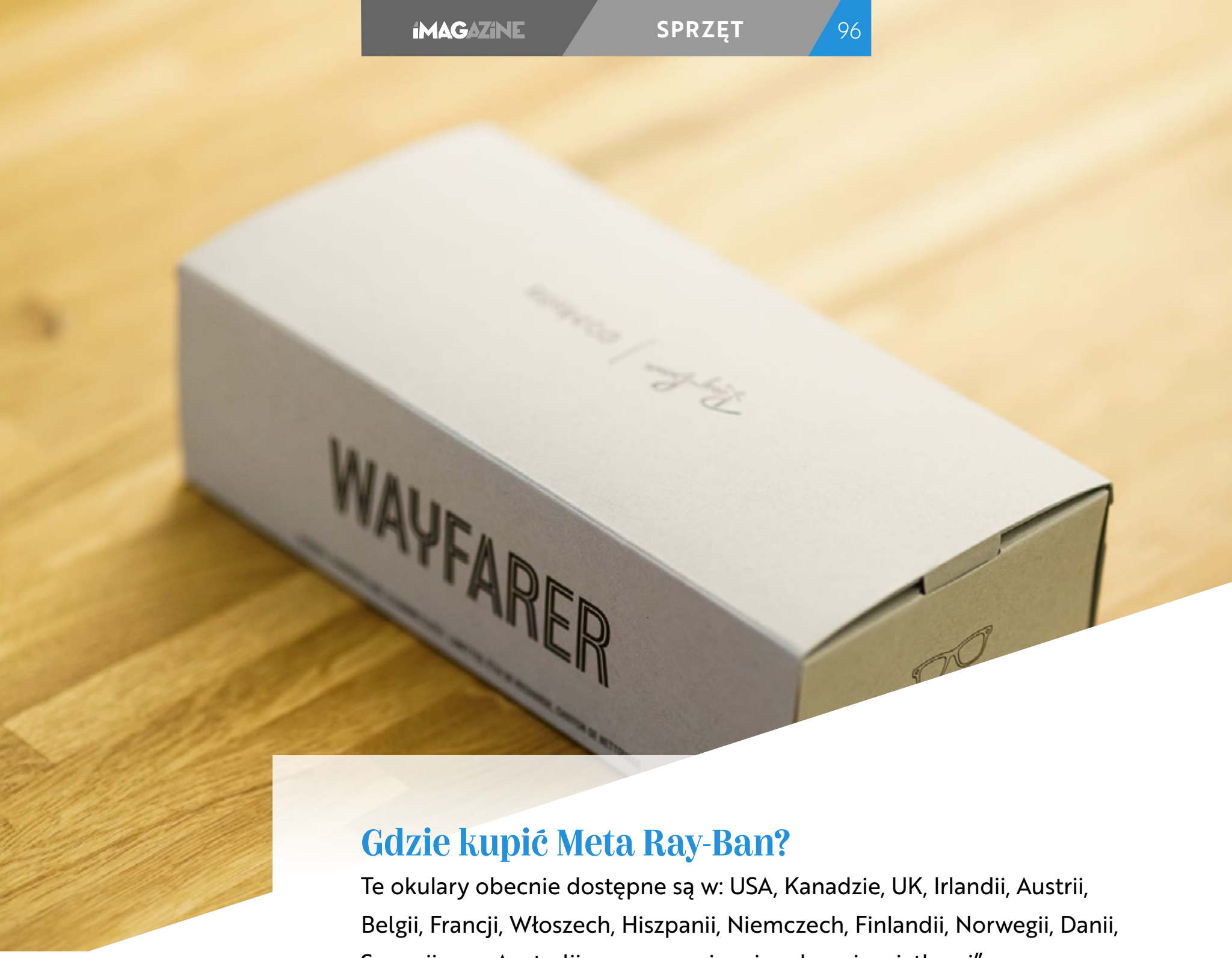

Gdzie kupić Meta Ray-Ban?

Te okulary obecnie dostępne są w: USA, Kanadzie, UK, Irlandii, Austrii, Belgii, Francji, Włoszech, Hiszpanii, Niemczech, Finlandii, Norwegii, Danii, Szwecji oraz Australii, „z pewnymi regionalnymi wyjątkami".

Wiem, że można je zamówić do Polski ze sklepów z innych krajów UE – koledze udało się to zrobić ze sklepu z Włoch, ale jeszcze na nie czeka. Najłatwiej je sobie po prostu przywieźć i tutaj chciałbym podziękować **Pawłowi Bieleckiemu**, który bezinteresownie mi je przywiózł z Hiszpanii. Zrobiłem **krótką relację z wypadku do Katowic po odbiór Ray-Banów** na swoim Instagramie – materiał po odbiorze jest już z Ray-Banów, a wcześniejszy z iPhone'a.

Jaki rozmiar wybrać?

Ray-Ban obecnie sprzedaje ten produkt w dwóch wersjach i dwóch rozmiarach – **Wayfarer** oraz **Headliner**, w rozmiarze L i XXL. Ten pierwszy będzie pasował większości, a XXL, jak sama nazwa wskazuje, dla osób z ponadprzeciętnymi wymiarami twarzy. Firma **na swojej stronie** tłumaczy wymiary obu tych rozmiarów.

Czy Meta Ray-Ban działają w Polsce?

Okulary Meta Ray-Ban nie są oficjalnie dostępne w Polsce, podobnie jak i aplikacja, która jest wymagana do ich działania. Aby zainstalować ją na z App Store dla iOS lub Play Store dla Androida, wymagane jest konto z kraju, w którym są dostępne, tj. Stany Zjednoczone, Kanada, Zjednoczone Królestwo, Irlandia, Austria, Belgia, Francja, Włochy, Hiszpania, Niemcy, Finlandia, Norwegia, Dania, Szwecja lub Australia.

W przypadku iOS-a wystarczy wejść do aplikacji App Store, na swój profil i wylogować się z aktualnego konta App Store (nie mylić z Apple ID do konta iCloud!). Potem należy stworzyć nowe konto (np. przez www, aby było szybciej) przykładowo w USA, zalogować się do niego, **zainstalować Meta View app** i potem możemy wrócić do konta polskiego.

Aplikacja **Meta View** jest konieczna do prawidłowego działania okularów.

Co potrafią Meta Ray-Ban, do czego służą, ile trzyma bateria i jak się je ładuje?

Te okulary są wielofunkcyjne i potrafią m.in.:

- odtwarzać muzykę, podcasty czy inne źródła audio do naszych uszu z głośników w zausznikach, tak jak każde inne słuchawki Bluetooth,

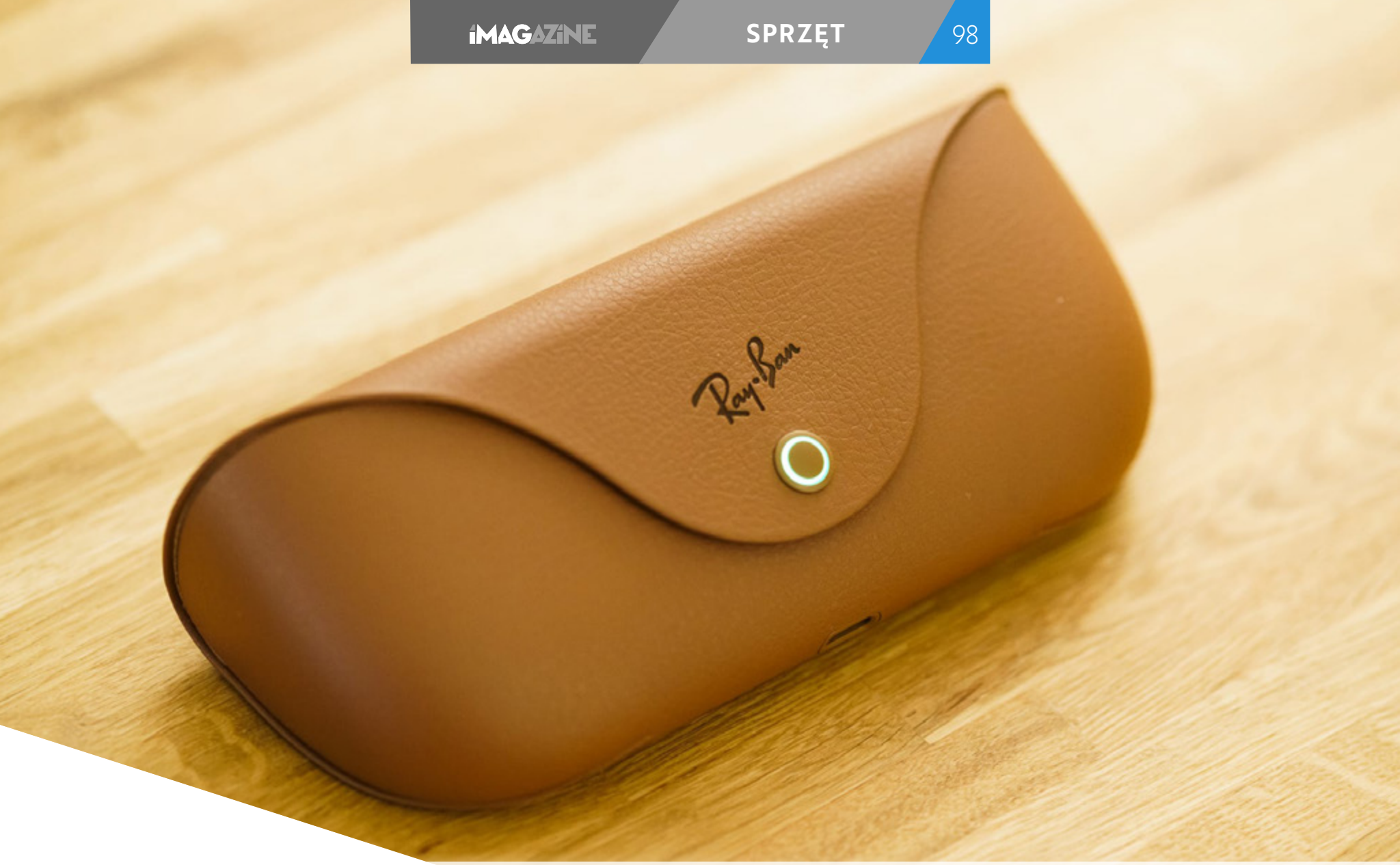

- robić zdjęcia,
- nagrywać wideo (do 60 sekund),
- służyć jako kamera do livestreamingu na Instagrama,
- służyć jako zestaw głośnomówiący do rozmów telefonicznych lub innych,
- odpowiadać na pytania za pomocą głosowego asystenta AI od Meta,
- po prostu funkcjonować jako zwykłe analogowe okulary przeciwsłoneczne;

Okulary ładują się indukcyjnie w etui, które ma złącze USB-C. W komplecie nie ma ładowarki. Jedno ładowanie, według relacji innych, wystarcza średnio na 3-4 godziny robienia zdjęć i nagrywania wideo. Etui zapewnia dodatkowe 32 godziny pracy, a więc osiem ładowań. W sumie mamy 36 godzin, jeśli okulary są w pełni naładowane.

W jakich wersjach są dostępne i ile kosztują?

Te „smart" Ray-Bany dostępne są w **wydaniu Wayfarer** – chyba ich najbardziej popularny design oprawek – oraz **jako Headliner**. Wszystkie warianty możecie sobie przejrzeć na ich stronie. Pilnujcie opisów, bo różnią się nie tylko oprawkami, ale również szkłami – są wersje bez polaryzacji,

z polaryzacją oraz fotochromami, czyli szkłami, które się automatycznie ściemniają na słońcu i rozjaśniają w ciemności, np. w domu.

Zależnie od konfiguracji, ceny zaczynają się w EU od 329 EUR za model bez polaryzacji, przez 359 EUR za model z polaryzacją, aż po 409 EUR z model transitions, czyli fotochromami. Biorąc pod uwagę, że same Ray-Bany kosztują średnio w rejonie 200 EUR, to nie jest to moim zdaniem wygórowana cena.

Pierwsze wrażenia

Okulary wyposażono w aparat 12 MP do robienia zdjęć oraz nagrywania wideo (1440×1920 px). Te pierwsze są zaskakująco przyzwoite, a wideo nadaje się do wykorzystania również, gdy nagrywamy go nocą w trudnych warunkach. Nie będzie to jakość iPhone'a czy innych smartfonów, nawet tych nie-topowych, ale jakość jest wystarczająca.

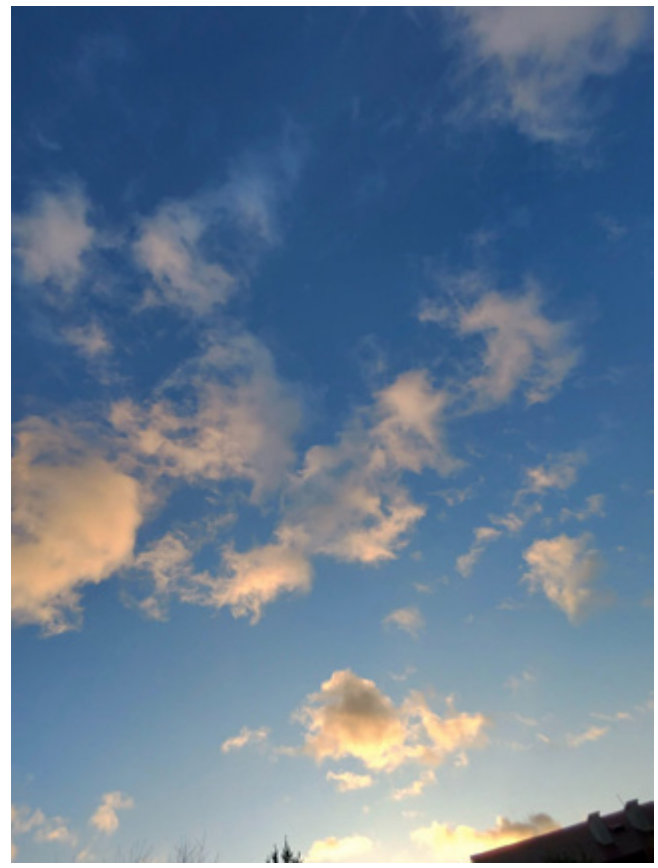

Dwa powyższe zdjęcia zrobiłem już po zachodzie słońca, pierwsze z nich jest w ruchu, i jak widzicie, tragedii nie ma. Są prosto z aparatu, bez edycji. Nocne również są do zaakceptowania, podobnie jak wideo. Zapraszam do obejrzenia zmontowanego na szybko, za pomocą wbudowanych narzędzi w Instagrama, **reelu składającego się z przygotowań do Świąt**.

Konfigurując Ray-Bany, mamy szereg opcji, na które możemy się zgodzić lub nie. Meta tutaj przyłożyła się bardzo mocno, co mnie zaskoczyło, w przypadku aplikacji dla iOS-a oraz próśb o dostęp do poszczególnych funkcji. Pytania padają wtedy, gdy coś uruchamiamy i są dobrze opisane, np. jeśli chcemy dodawania lokalizacji do zdjęć, to musimy aplikacji dać dostęp do GPS-a. Meta domyślnie ma wiele rzeczy wyłączone, co jest super-szokujące i dopiero odkryłem je w ustawieniach okularów, np. asystent głosowy (którego nie włączyłem, bo nie ufam im aż tak). Można też nie włączać dzielenia się dodatkowymi informacjami z Metą, zwiększając naszą prywatność (jeśli wierzymy w to, co piszą).

Dla mnie, na razie, to okulary z wbudowanym aparatem oraz kamerą wideo, bez asystenta głosowego czy dostępu do Siri. Kolejne funkcje będę sukcesywnie testował. Największą wadą to brak możliwości nagrywania dłuższych klipów wideo niż 60 sekund, a największą zaletą dodatkową to możliwości słuchania muzyki, audiobooków czy podcastów. Zdanie na

temat tego wszystkiego mogę jeszcze zmienić – potrzebuję po prostu więcej czasu na ich lepsze poznanie.

Meta wyposażyła Ray-Bany w białe światełko, abyśmy wiedzieli, że ktoś nas nagrywa lub robi zdjęcia. Niestety, nikt tego absolutnie nie widzi. To powinno zostać poprawione. To druga w kolejności wada, potencjalnie najważniejsza od strony etycznej.

Do sterowania całością służy przycisk na prawym zauszniku, który domyślnie naciskamy krótko, aby zrobić zdjęcia lub długo, aby rozpocząć nagrywanie wideo. W tym ostatnim przypadku, jeśli chcemy zakończyć nagrywanie, to ponownie naciskamy przycisk (ale krótko tym razem).

Okulary wykrywają, gdy je zakładamy na twarz po wyjęciu z etui, ale możemy je wyłączyć suwakiem na zawiasie lewego zausznika, aby nie marnować baterii. Wtedy funkcjonują po prostu jako zwykłe okulary.

Prawy zausznik służy również jako powierzchnia dotykowa, która rozpoznaje dotyk do trzech palców. Dzięki temu możemy wykonywać gesty, aby zmieniać głośność, przewijać utwory, itd. Aplikacja Meta View przy pierwszej konfiguracji okularów ma krótki tutorial, jak prawidłowo obsługiwać okluary. Zachowanie przycisku i powierzchni dotykowej możemy dodatkowo modyfikować w ustawieniach w Meta View app.

Zaskoczony byłem jak sprawnie działają głośniki, które pozwoliły mi na spędzenie czasu z audiobookiem, którego obecnie słucham. Głośność miałem ustawioną w iPhonie na maksa, ale słyszałem wszystko w centrum handlowym pomimo obecności tłumu ludzi. Mikrofonu jeszcze nie testowałem.

Meta View app jest konieczna do pobierania zdjęć i wideo na smartfona.

W przypadku iPhone'a automatycznie dodaje je do Biblioteki Zdjęć iCloud / iCloud Photo Library, co ułatwia życie. Można skonfigurować app tak, aby pobierał te treści automatycznie, ale trzeba okularom dać dostęp do danej sieci Wi-Fi i działa to tylko w zasięgu skonfigurowanych sieci Wi-Fi.

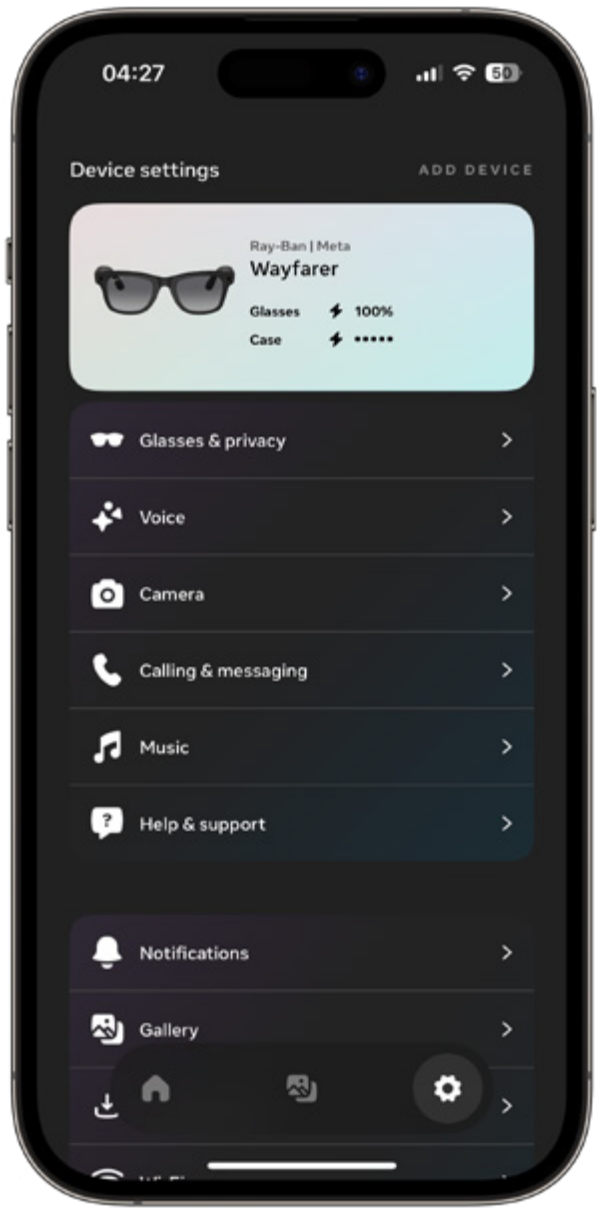

Na koniec

Z Meta Ray-Banami spędziłem dosłownie jeden dzień i małym hakiem, więc nie mam jeszcze wyrobionego zdania, ale wstępnie przypadły mi do gustu, szczególnie dla osób korzystających z Instagrama. Chciałbym zobaczyć możliwość nagrywania wideo w 1920×1920 px zamiast obecnych 1440×1920 px, co pozwoliłoby na wykorzystanie poziomego wideo przy Full HD po cropie, a tymczasem jeśli chcemy wideo z tych okularów wykorzystać do poziomego wideo, to natywna rozdzielczość to będzie 1440×800 px przy zachowaniu 16:9. Może w następnej wersji. Tak czy siak, zapowiada się na bardzo ciekawy produkt i pozostają tylko dwa pytania: czy i kiedy trafią oficjalnie do Polski?

Jeśli macie jakieś pytania, to tradycyjnie zapraszam do kontaktu.

PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Samsung Galaxy S23 FE – fani wiedzą, co dobre

Od kilku lat Samsung wypuszcza obok swoich flagowych urządzeń ich wersje FE, czyli Fan Edition. Nie inaczej jest teraz, gdy w sklepach debiutuje Samsung Galaxy S23 FE. Gdyby tylko producent nie zdecydował się na jeden widoczny kompromis, ten smartfon mógłby z powodzeniem uchodzić za flagowca.

Wzornictwo smartfonów Samsung jest coraz dojrzalsze i zmierza ku eleganckiemu minimalizmowi. Dostałem go w absolutnie najbardziej rzucającej się w oczy wersji kolorystycznej, czyli dostępnej wyłącznie bezpośrednio na stronie producenta mandarynkowej obudowie (tak samo wygląda dostępność wariantu indygo). Tylny szklany panel jest błyszczący i płaski, wystają z niego jedynie trzy obiektywy. Front również jest całkowicie płaski, co w połączeniu z matową, srebrną ramką robi bardzo dobre wrażenie (a zaokrąglone narożniki przypominają mi ekran i ramkę mojego Apple Watcha Ultra). Boki są lekko wypukłe, przez co sprzęt świetnie leży w dłoni. Spasowanie elementów jest perfekcyjne, nawet boczne przyciski głośności i zasilania nie mają zauważalnego luzu. Na dolnej krawędzi znajdziemy standardowy port USB-C oraz jeden z dwóch głośników stereo, drugi ukryto pomiędzy górną krawędzią ekranu i ramką. Na górze znalazło się natomiast gniazdo SIM, nie znajdziemy tu jednak gniazda micro SD do rozbudowy pamięci. Urządzenie oferowane jest jednak w dwóch pojemnościach, czyli 128 oraz 256 GB – jak na 2024 rok, wydaje się to być już trochę mało i zdecydowanie przydałaby się jeszcze opcja 512 GB. Telefon nosi się świetnie, nie lubią go jedynie dość obcisłe spodnie, które mogą być przetarte przez ostre krawędzie. Obudowa ma IP68 – cieszę się, że Samsung postanowił na

tym nie oszczędzać, wszak daje to ogromny komfort psychiczny (i możliwość umycia telefonu pod kranem).

Elementem, który odpowiada za jakość komunikacji z urządzeniem, jest bez wątpienia ekran. Ten w Galaxy S23 FE jest świetny, i to z kilku względów. Odwzorowanie kolorów nie pozostawia nic do życzenia, mamy tu pełne pokrycie palety DCI-P3. Ponadto obsługiwane jest odświeżanie adaptacyjne do 120 Hz, co potęguje wrażenie korzystania z urządzenia klasy premium. Maksymalna jasność jest spora, wynosi 1450 nitów. Wyświetlacz ma ponadto bardzo rozsądny rozmiar, jego przekątna to 6,4 cala. Plasuje go to pomiędzy S23 a S23+, czyniąc bardzo praktycznym urządzeniem. Na co dzień używam telefonu z ekranem o przekątnej 6,1 cala i ta odrobinę większa obudowa mi nie przeszkadzała, za to miałem zawsze trochę więcej przestrzeni do wykorzystania. Jedynym elementem, który pozycjonuje Galaxy S23 FE poniżej modeli S23 i S23+, jest spora ramka ekranu, która na dodatek na dolnej krawędzi jest szersza niż pozostałe. Podejrzewam, że gdyby miała równą grubość na całym obwodzie, zdecydowanie mniej rzucałaby się w oczy. Trudno jednak uznać to za wadę, to bowiem kompromis wpływający jedynie na wrażenia wizualne, ale nieodbierający smartfonowi nic z funkcjonalności.

> Spasowanie elementów jest perfekcyjne, nawet boczne przyciski głośności i zasilania nie mają zauważalnego luzu.

Niemniej istotnym elementem i wyróżnikiem flagowców jest zestaw oferowanych aparatów. Ten w Galaxy S23 FE jest więcej niż przyzwoity i podejrzewam, że zaspokoi potrzeby zdecydowanej większości osób. Podstawowym aparatem jest ten o obiektywie szerokokątnym o f/1.8 i matrycy o rozdzielczości 50 MP. To dzięki niemu możemy wykonać zdjęcie nawet w pełnej rozdzielczości matrycy, choć standardowo są one mniejsze. Drugi jest obiektyw ultraszerokokątny o polu widzenia 123 stopnie, f/2.2 i działający z matrycą o rozdzielczości 12 MP. Ostatni to

teleobiektyw o f/2.4, matrycy 8 MP i oferujący 3-krotny zoom optyczny. Maksymalnie możemy uzyskać nawet 30-krotne powiększenie cyfrowe, ale jego użyteczność jest dyskusyjna. Osobiście uważam, że 10-krotny zoom wygląda jeszcze dobrze i bez wahania można go używać, zwłaszcza gdy oglądamy zdjęcia na ekranie smartfona. Zdjęcia i filmy nagrywane przez Galaxy S23 FE są świetnej jakości. W wideo na uznanie zasługuje stabilizacja obrazu, w przypadku zdjęć mamy natomiast bardzo dobrze działający tryb automatyczny, włączający na przykład zdjęcia nocne w odpowiednim momencie, nie zabrakło jednak trybu portretowego czy manualnego. Przedni aparat o matrycy 10 MP też daje radę, nie tylko robi szczegółowe zdjęcia, ale też dobrze odwzorowuje kolory, nieźle radzi sobie też z głębią.

Wspominałem już, że Samsung Galaxy S23 FE momentami jedynie subtelnie różni się od flagowych modeli. Oprogramowanie urządzenia i jego funkcje nie są tu wyjątkiem. Telefon ma Androida 14 oraz nakładkę One UI 6.0, będącą moim ulubionym interfejsem tego systemu (producent podaje wcześniejsze wersje oprogramowania, więc zakładam, że egzemplarz recenzencki był już aktualizowany). W smartfonie nie zabrakło niezwykle przydatnego DeX (a więc możliwości podłączenia telefonu

do zewnętrznego ekranu i pracy w trybie desktop), bocznej szuflady z aplikacjami (pozwalającej zapisać rozmieszczenie dwóch programów na jednym ekranie) czy szerokich możliwości personalizacji. Co więcej, telefon ma też doskonałą haptykę, stojącą na poziomie niektórych flagowców (a to tylko dlatego, że nie wszystkie oferują ją na tak wysokim poziomie). Jedynym elementem, który wyraźnie zawodzi, jest skaner odcisku palca. Umieszczono go w wyświetlaczu, podobnie jak w mnóstwie innych telefonów, jednak działa on wyjątkowo słabo. Nie tylko nie jest za szybki, ale też bardzo rzadko rozpoznawał mój palec. Zeskanowałem go zgodnie z wytycznymi producenta i dokładnie tak, jak to robiłem już wiele razy w przypadku innych smartfonów. Niestety, częściej odblokowywałem telefon pinem. Skaner odcisku palca to zdecydowania najsłabszy element tego urządzenia. Samsung nie chwali się przesadnie tym, jakiego procesora używa w Galaxy S23 FE. Exynos 2200 nie należy do czołówki podzespołów, niemniej nie można odmówić mu mocy. Bez najmniejszego trudu radzi sobie z codzienną pracą na wielu aplikacjach, da się na nim też komfortowo grać. Jedynym dyskomfortem jest wyraźne nagrzewanie się obudowy pod dużym obciążeniem. Nie jest na tyle mocne, by nie

dało się korzystać z urządzenia, ale nie sposób go nie odczuć. Bateria jest niezła – ma 4500 mAh pojemności i realnie pozwala na jeden dzień wytężonej pracy. Da się ją ładować zarówno przewodowo (50% osiąga już po 25 minutach), jak i bezprzewodowo, w standardzie Qi. Samsung Galaxy S23 FE obsługuje również ładowanie zwrotne, co pozwala zasilić zarówno mniejsze akcesoria, jak i inne smartfony.

Niezmiernie podoba mi się linia produktów Fan Edition Samsunga. Koncepcja ta pozwala mieć urządzenie z niemal tymi samymi funkcjami i designem, co flagowce za zauważalnie mniejsze pieniądze. W przypadku Galaxy S23 FE to również ma miejsce i gdyby tylko zastosowano w nim lepszy skaner odcisku palca, a ekran miałby symetryczne ramki, trudno byłoby zauważyć, że nie mamy do czynienia z topowym modelem.

Samsung Galaxy S23 FE

- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 6/6
- Oprogramowanie: 5,5/6
- Wydajność: 5,5/6

Plusy:
- świetny design i kolory obudów
- bardzo dobry wyświetlacz
- nie odbiega znacząco od flagowców

Minusy:
- zawodny skaner odcisku palca
- tylko dwa warianty pojemności

Ceny:
- Wersja 128 GB ROM / 8 GB RAM – około 3200 PLN
- Wersja 256 GB ROM / 8 GB RAM – około 3500 PLN

PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Garmin Venu 3 – to więcej, niż się wydaje

Minęło kilka lat, odkąd na moim nadgarstku zagościł Garmin. Zegarki sportowe tej firmy zawsze prezentowały wysoką jakość i oferowały olbrzymią liczbę funkcji. Venu 3 na pierwszy rzut oka nie wygląda jak tak zaawansowany sprzęt, niemniej to tylko pozory.

Wzornictwo Venu 3 jest bardzo... codzienne? Tak, to chyba najlepsze określenie. Zgrabna, nie za duża i stosunkowo płaska koperta z matowego plastiku. Ekran jest płaski, ale szkło, które go przykrywa, zaokrąglono na krawędziach, dodatkowo otoczono je bezelem ze stali nierdzewnej. W testowanej przeze mnie wersji białej w rozmiarze 45 mm zegarek prezentuje się elegancko, nawet mimo tego, że zastosowano w nim silikonowy pasek z klasycznym zapięciem. Dostępna jest też mniejsza wersja, z kopertą w rozmiarze 41 mm, da się także kupić ten zegarek z paskiem skórzanym. Na prawym boku umieszczono trzy srebrne przyciski sterujące, na spodzie koperty, prócz czujników, znalazł się natomiast port ładowania. Szkoda, że zegarek nie obsługuje standardu Qi i musimy korzystać z dedykowanego kabla, na dodatek zakończonego z jednej strony wtyczką USB-A. Design Venu 3 bardzo przypadł mi do gustu, wszystkie topowe zegarki Garmin są raczej spore, tu natomiast, pomimo bardzo zgrabnej i niemal minimalistycznej obudowy, dostajemy dostęp do ogromu funkcji sportowych, zdrowotnych i smart.

Zanim przejdę do funkcji sprzętu, muszę wspomnieć o aplikacji Garmin Connect na smartfona. Jej głównym zadaniem jest podsumowywanie zbieranych przez zegarek danych – te wyświetlane są w postaci widżetów, które rozwijają się do znacznie obszerniejszych statystyk. Ponadto mamy tu też

zestawienie wyzwań, w których bierzemy udział, kalendarz wraz z zaplanowanymi i odbytymi treningami, ekran z aktywnością znajomych i obszerne opcje konfiguracji, pozwalające zmienić długość kroku na własną, ustalić domyślne objętości wypijanej wody, śledzić zużycie butów czy dostosować ustawienia zegarka. Mimo ogromu funkcji interfejs jest przejrzysty i nie sposób się w nim pogubić, ponadto aplikacja prowadzi użytkownika przez konfigurację nowego urządzenia krok po kroku. Dawno nie używałem Garmin Connect, niemniej widzę, że program rozwinął się mocno, a przy tym jedynie zyskał na czytelności. Z uwagi na rozwój funkcji smart, sklep z aplikacjami został wyodrębniony do osobnej aplikacji, nazwanej Connect IQ. Nie przepadam za takimi rozwiązaniami, ale w tym przypadku uważam to za uzasadnione, Garmin Connect ma zupełnie inne zastosowania niż Connect IQ. Sklep oferuje głównie tarcze i komplikacje do nich, ale znajdziemy tu też nowe tryby treningów (jak na przykład skakanka), małe aplikacje (kalkulator, mapy czy zdalne otwieranie bramy) czy programy odczytujące dane z kompatybilnych aplikacji, choćby ze Stravy. Venu 3 pozwala zainstalować maksymalnie 32 aplikacje, ich liczba jest widoczna w Connect IQ wraz z podziałem na rodzaje programów. Jest jeszcze Face It, czyli możliwość stworzenia własnej tarczy na smartfonie i przesłania jej do zegarka, możemy użyć w niej własnego zdjęcia, wybrać

jeden z 13 układów ekranu, dodać komplikacje i dostosować wygląd cyfr. Bardzo mi się to podoba – w ten sposób można szybko odświeżyć wygląd zegarka, ponadto efekty naszej pracy wyglądają dobrze.

Venu 3 towarzyszył mi na co dzień, mierzyłem nim treningi (kardio, siłowe oraz biegowe, średnio 30 minut dziennie), korzystałem też z powiadomień oraz monitorowania zdrowia. Nie włączyłem jedynie always-on display, natomiast stale uruchomione było Wi-Fi, a pomiar tętna ustawiłem na inteligentny (a nie co sekundę). Przy takiej eksploatacji bateria wytrzymywała około 9 dni, co uważam za świetny wynik. Jest tym lepszy, że

Venu 3 ma dotykowy ekran AMOLED o przekątnej 1,4", który zachęca do korzystania z niego. Interfejs opracowano bowiem tak, by był równie intuicyjny, co aplikacja Garmin Connect. Przesuwając na tarczy w górę i w dół, przeglądamy widżety z podsumowaniem naszego zdrowia, powiadomieniami czy kalendarzem. Do przesunięcia w prawo możemy przypisać dowolny skrót, natomiast przyciski pozwalają przejść do ustawień, aplikacji oraz trybów treningu bądź listy ostatnio używanych rzeczy. Tarcze zegarka można dość swobodnie konfigurować, szkoda jednak, że wyświetlane komplikacje nie są interaktywne i nie pozwalają przejść do odpowiedniej aplikacji po dotknięciu ich.

Mam też drobne zastrzeżenie co do płynności animacji, która czasem spada na tyle, że jest to zauważalne (ogólnie zresztą widać, że odświeżanie oscyluje bliżej 30 niż 60 klatek, choć trudno to zmierzyć).

Przez lata Garmin skupiał się na sporcie, natomiast pomiary zdrowia były na pokładzie, ale nie stanowiły kluczowych funkcji urządzenia. Obecnie firma zmieniła balans i monitorowanie stanu zdrowia jest znacznie ważniejsze. Znalazłem tu funkcje, jakie znam z konkurencyjnych sprzętów, ale jest tu też kilka zupełnie unikalnych rzeczy. Z bardziej standardowych funkcji znajdziemy asystenta snu, monitorowanie tętna (w tym jego zmienności), stresu, oddechu, natlenienia krwi oraz cyklu miesiączkowego, rejestrowanie nawodnienia czy wykonywanie sesji medytacyjnych i oddechowych. Moją uwagę zwróciło Body Battery, czyli dość zaawansowana funkcja, wskazująca nasz poziom energii w ciągu całego dnia, z uwzględnieniem wpływających na niego czynników, takich jak stres czy ruch. Gorsze samopoczucie nie zawsze musi wynikać z choroby, a jednocześnie możemy też nie być świadomi, jak duży wpływ ma na nas odczuwany stres. Drugą rzucającą się w oczy funkcją jest Jet Lag, czyli aplikacja dająca wskazówki podczas podróży, by jak najłagodniej przejść zmianę strefy czasowej. Podróż trzeba oczywiście wcześniej zaplanować

w aplikacji Connect na smartfonie, ale jest to bardzo proste. Dla osób, które często podróżują, ta funkcja może okazać się niezwykle przydatna.

W przypadku aplikacji sportowych pominę tak klasyczne rzeczy jak możliwość edycji ekranów danych, dodawania nowych treningów czy tworzenie własnych treningów oraz interwałów ćwiczeń. Szybkość łapania fixa GPS jest dobra, trwa to zazwyczaj kilkanaście sekund, a stabilność połączenia nie pozostawia nic do życzenia. To wszystko Garmin robi po prostu świetnie i nie sposób znaleźć tu czegoś, co nie działa, ponadto trzy fizyczne przyciski skutecznie poprawiają komfort obsługi, gdy na przykład trenujemy w rękawiczkach. Jedyną dużą zmianą jest wizualizacja treningów siłowych. Wybierając jeden z nich, możemy wyświetlić animacje aktualnego ćwiczenia. Korzystam z tego na co dzień w aplikacji SmartGym na Apple Watchu, tu działa to bardzo podobnie. Nie lubię zabierać telefonu na siłownię, więc możliwość wykonania treningu, i to ze wskazówkami, jedynie za pomocą zegarka, uważam za niezwykle przydatną rzecz. Wykonywane ćwiczenia pozwalają określić pułap tlenowy czy moc podczas jazdy rowerem, ponadto zegarek wskaże też wiek sprawnościowy oraz zmierzy czas intensywnej aktywności. Oczywiście nie zabrakło asystenta regeneracji po treningu, da się też samodzielnie wprowadzić to, jak bardzo się zmęczyliśmy. Garmin wprowadził treningi i monitorowanie zdrowia osób poruszających się na wózkach inwalidzkich – uważam, że to bardzo ważny i potrzebny ruch. Wśród funkcji Venu 3 nie zabrakło Garmin Coach, a więc treningów biegowych nastawionych na konkretny cel (czyli na przykład półmaraton) i dostosowanych do naszej kondycji i stylu życia.

> Mimo ogromu funkcji interfejs jest przejrzysty i nie sposób się w nim pogubić.

W zegarkach Garmin zawsze brakowało mi funkcji smart – owszem, były, ale nigdy nie było ich dużo. Venu 3 również nie stawia ich na pierwszym miejscu, ale nie sposób nie zauważyć, jak mocno je rozbudowano. Wbudowany głośnik i mikrofon pozwalają rozmawiać za pośrednictwem zegarka, da się też odpisywać na SMS za pomocą ekranowej klawiatury, choć działa to tylko po sparowaniu ze smartfonem na Androidzie. Zegarek wyświetla też inne powiadomienia, ale nie pozwala na żadną interakcję z nimi. Daje za to możliwość odtwarzania muzyki przez Deezer, Spotify czy Amazon Music, każdą z tych aplikacji można pobrać z Connect IQ. Pozwala też oczywiście powiązać ze

sobą słuchawki Bluetooth. Rano wyświetlany jest raport z podstawowymi informacjami, jak choćby pogoda – to też się przydaje. Garmin Pay umożliwia natomiast płacenie zegarkiem, to jedna z funkcji, z której w każdym smartwatchu korzystam najczęściej. Dodanie karty (w moim przypadku z mBanku) było banalne i zajęło minutę. Producent wprowadził wykrywanie wypadku – gdy tak się stanie, urządzenie wyśle informacje o położeniu na podany numer. Funkcje smart wciąż nie są mocną stroną tego urządzenia, niemniej dobrze, że firma zrobiła tu postęp i postanowiła je rozszerzyć.

Jeszcze kilka lat temu zegarki Garmin wymagały przyzwyczajenia do interfejsu czy ogólnej logiki działania. Venu 3 jest dużo bardziej przyjazny, a przy tym wciąż oferuje potężną liczbę funkcji, sprawdzając się świetnie zarówno podczas uprawiania sportu, jak i na co dzień. Fakt, opcje smart są nadal jedynie podstawowe, niemniej stanowią one dodatek do treningów i monitorowania aktywności – oba te obszary rozbudowano tak, że trudno wskazać tu jakiekolwiek braki.

Garmin Venu 3

- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 4,5/6
- Oprogramowanie: 5,5/6
- Wydajność: 5,5/6

Plusy:
- ogrom funkcji prozdrowotnych
- bardzo intuicyjny interfejs treningów
- możliwość śledzenia niemal dowolnej aktywności

Minusy:
- ograniczone funkcje smart

Cena: od około 2300 PLN

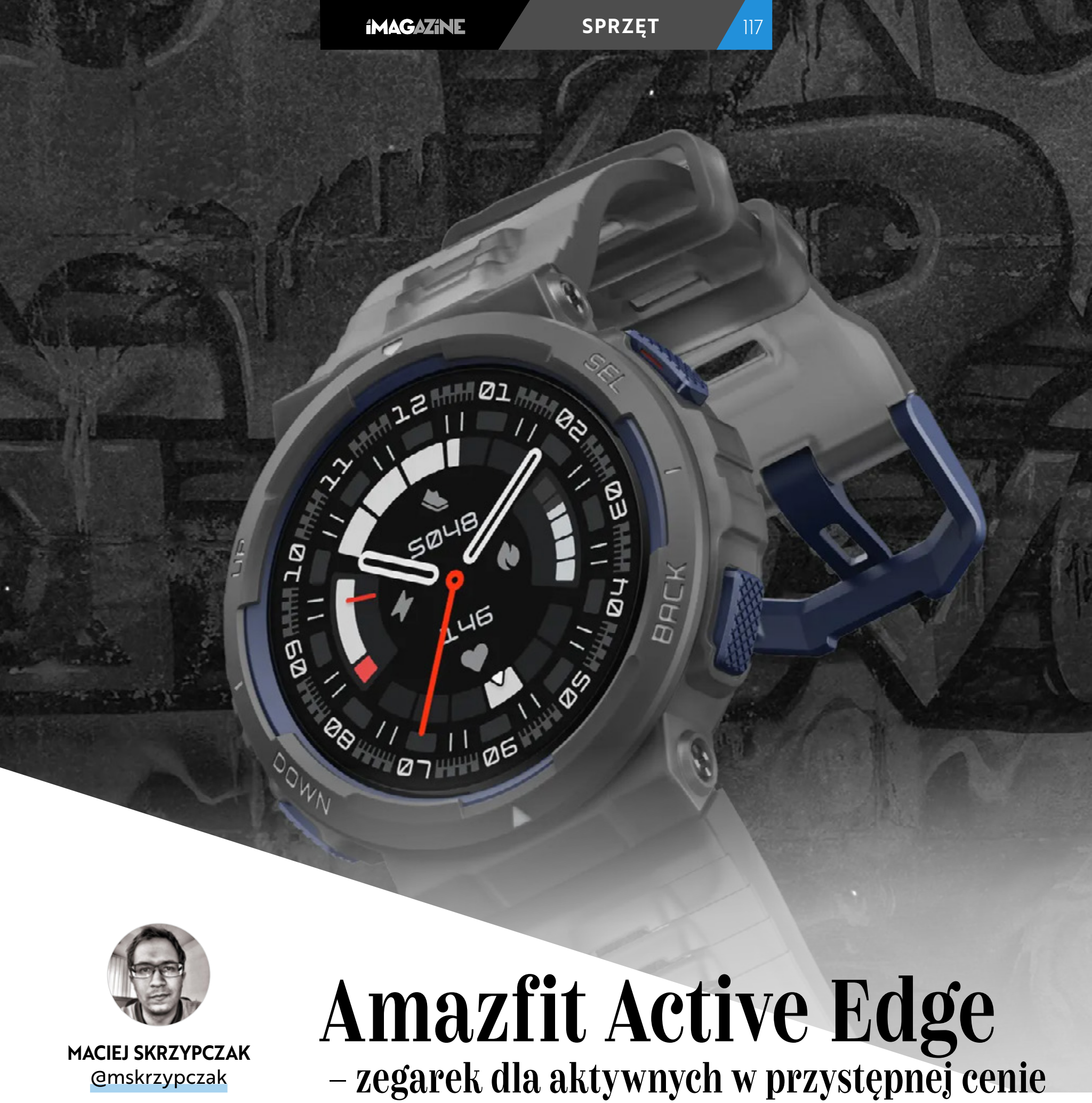

MACIEJ SKRZYPCZAK
@mskrzypczak

Amazfit Active Edge

– zegarek dla aktywnych w przystępnej cenie

Bycie fit jest nadal na fali. I to jeden z lepszych trendów, bo potrafi pozytywnie wpłynąć na nasze zdrowie. W utrzymaniu zdrowej kondycji pomocne są różnego rodzaju akcesoria, wśród których prym wiodą smartzegarki i opaski.

Najtańsze z nich to opaski. Z kolei zegarki kojarzą się raczej z dużo wyższymi cenami. Nie jest to jednak regułą, czego przykładem jest najnowszy produkt firmy Amazfit – Active Edge.

Smartzegarek firmy Amazfit wyglądem przypomina standardowe sportowe zegarki. Spora, okrągła tarcza kryje pod warstwą szkła 1,3-calowy ciekłokrystaliczny dotykowy wyświetlacz w technologii TFT. Koperta ma niecałe 47 mm średnicy i waży 34 gramy. Wbudowana bateria ma pojemność 370 mAh. Wszystko obudowane jest wysokiej jakości plastikiem. Po bokach umieszczone są cztery fizyczne przyciski – po dwa na każdą stronę, które pozwalają na sterowanie zegarkiem całkowicie bez dotykania ekranu. Na spodzie umieszczone zostały czujniki pomiaru tętna i saturacji.

Wróćmy jeszcze na chwilę do baterii. Choć z pozoru mała, zapewnia wiele dni działania bez konieczności ładowania – od 10 przy intensywnym używaniu do ponad 20 przy oszczędzaniu baterii. Wynik iście imponujący.

Taka bateria jest szczególnie ważna, biorąc pod uwagę fakt, do kogo Amazfit Active Edge jest skierowany – do aktywnych ruchowo użytkowników. Świadczy o tym ogólna budowa systemu zawiadującego zegarkiem – Zepp OS 2. Na pierwszym miejscu, zawsze

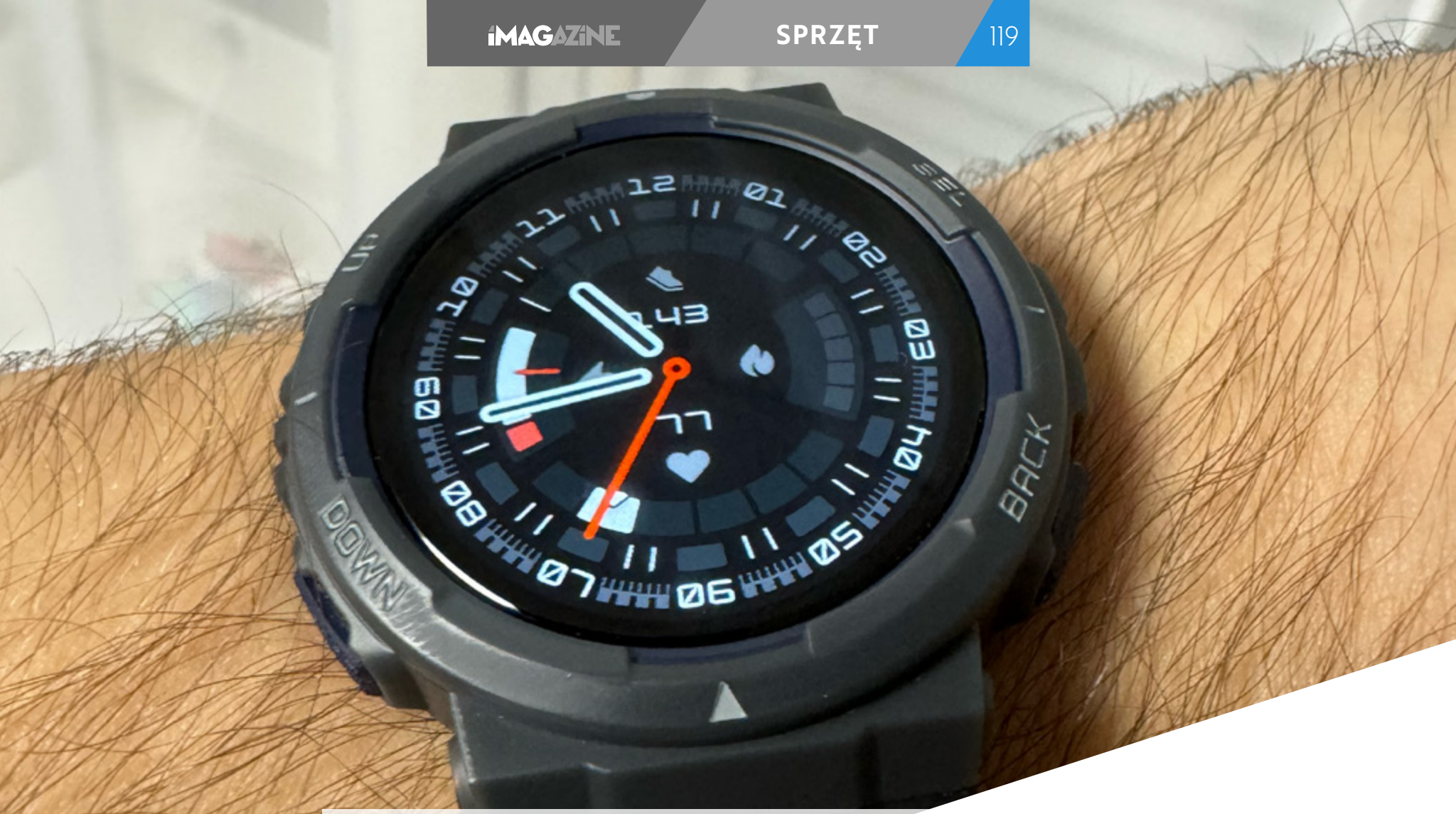

pod ręką mamy dostęp do rozpoczęcia treningów, ich ustawień itp. Jeśli uprawiamy najpopularniejsze aktywności, jak spacery, biegi czy jazda na rowerze – urządzenie samo wykryje taką aktywność i zacznie ją monitorować. A jeśli robimy coś innego? No cóż... Do wyboru mamy ponad 130 różnych sportów, wśród których znajdziemy między innymi wodne aktywności (z zegarka można korzystać do głębokości 100 m), a nawet gry planszowe, jak szachy lub warcaby, dzięki czemu sprawdzimy wreszcie, jak wielkie emocje w nas wyzwalają.

Jeśli jednak wolicie pokonywać trasy na zewnątrz, na różne sposoby, to za dokładność ich odwzorowania na mapie odpowiada możliwość łączenia się z pięcioma systemami satelitarnymi GPS. To zresztą oczywiście nie jedyne dane, jakie otrzymamy po zakończonej aktywności. Oprócz standardowych informacji o spalonych kaloriach, tętnie itp., przy pomocy aplikacji zarządzającej z poziomu telefonu – Zepp App (dostępnej zarówno na systemy iOS, jak i Android) – możemy także otrzymać informacje o tym, jakie partie mięśni angażowaliśmy w trakcie danych ćwiczeń.

Dane z treningów możemy oczywiście synchronizować nie tylko z innymi popularnymi aplikacjami typu Strava, ale także z systemowymi – Zdrowiem od Apple oraz Google Fit.

Oczywiście, prócz całej tej aktywnościowej otoczki Active Edge oferuje także wiele standardowych funkcji, cechujących tego typu urządzenia. Otrzymamy powiadomienia z różnych aplikacji, a jeśli zegarek mamy sparowany z telefonem działającym pod kontrolą Androida, będziemy mogli na część z tych powiadomień odpowiedzieć. Z poziomu zegarka możemy także sterować muzyką odtwarzaną ze smartfona. Do tego mamy standardowe aplikacje, jak choćby alarm, pogodę itp. We wszystkich tych zadaniach Amazfit sprawdzi się naprawdę dobrze. A przy tym działa cały czas płynnie.

Amazfit Active Edge to smartzegarek o sportowym wyglądzie, wykonany solidnie i z wysokiej jakości materiałów. Dzięki długo trzymającej baterii jest wszechstronnym urządzeniem skierowanym głównie do aktywnych osób – głównie ze względu na mnogość monitorowanych sportów. A do tego wszystkiego jest w miarę przystępnej cenie – około 700 złotych.

Producent: Amazfit

Cena: 699 złotych

Ocena iMagazine

MACIEJ SKRZYPCZAK
@mskrzypczak

Mujjo Full Leather Case dla iPhone'a 15 Pro Max – najlepsze etui, jakie do tej pory miałem

Wraz z premierą iPhone'ów 15. serii Apple zapowiedziało koniec produkcji skórzanych etui. Oczywiście to nie jedyna firma sprzedająca takie produkty.

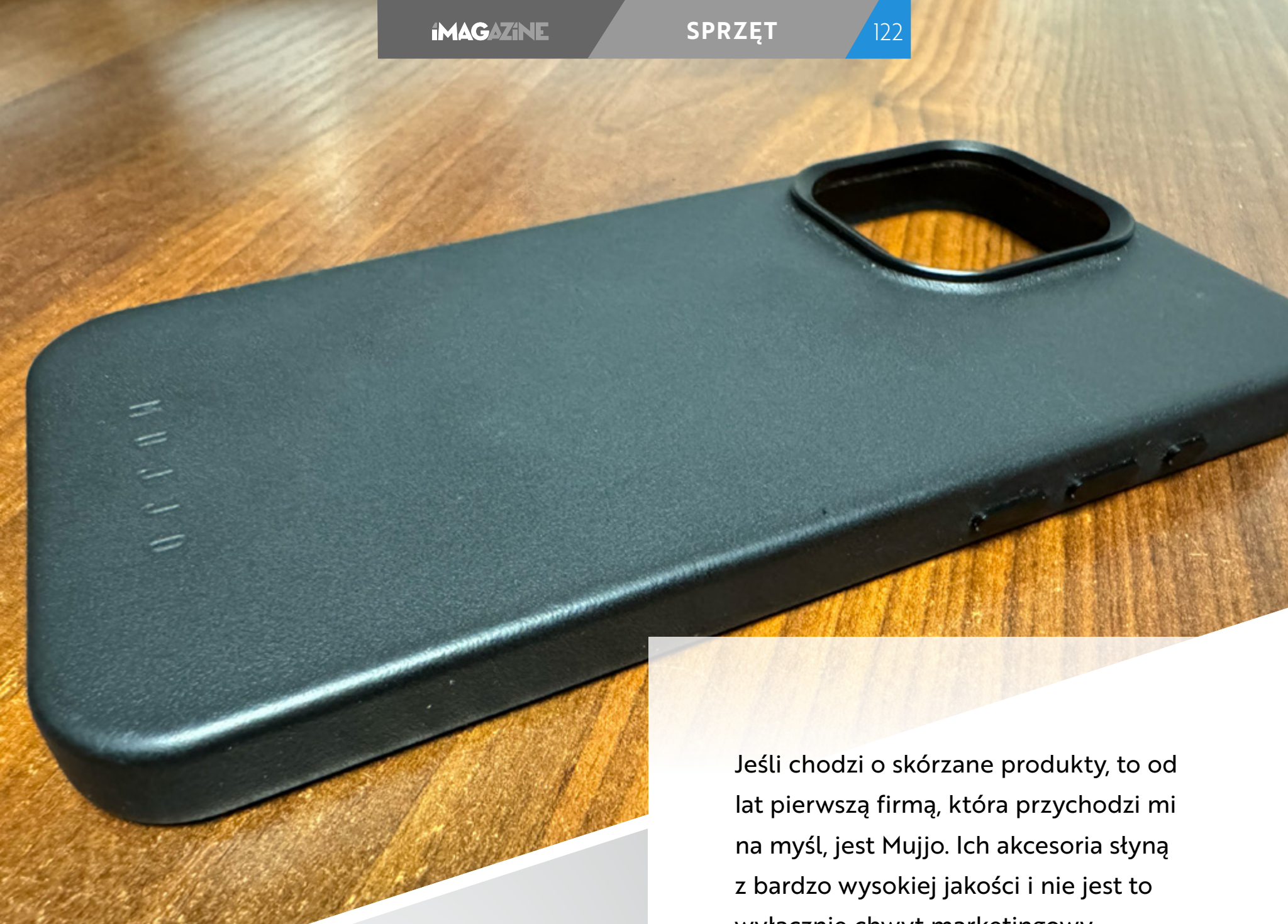

Jeśli chodzi o skórzane produkty, to od lat pierwszą firmą, która przychodzi mi na myśl, jest Mujjo. Ich akcesoria słyną z bardzo wysokiej jakości i nie jest to wyłącznie chwyt marketingowy...

W tym roku wymieniałem telefon i wiedziałem, że będę chciał go nosić w jakimś etui. Wcześniej korzystałem z wielu rodzajów tego typu ochrony – głównie plastikowych, ale także silikonowych, a nawet bambusowych. Nie miałem jeszcze jednak skórzanego. Jakiś tydzień przed zamówieniem iPhone'a, odezwała się do mnie firma Mujjo, czy nie chciałbym przetestować ich najnowszego produktu – Full Leather Case. Oczywiście się zgodziłem. A ponieważ nie wiedziałem jeszcze do końca, jaki kolor iPhone'a wybiorę (padło w końcu na niebieski tytan), postawiłem na klasyczne, czarne etui.

Główny materiał zewnętrzny, jak nazwa tego akcesorium wskazuje – stanowi skóra. Oprócz niej, od środka etui wyłożone jest mikrofibrą. Przyciski oraz obręcz wokół wyspy z kamerami wykonano z metalu z recyklingu zabarwionego w kolorze danego produktu. Wszystkie te elementy i materiały łączy ze sobą poliwęglanowa konstrukcja. Dzięki temu jest ona trwała i lekka – waży zaledwie 37 gramów. Produkt ten jest także w pełni kompatybilny z MagSafe. Podłączane w ten sposób akcesoria trzymają się bardzo porządnie.

Z Full Leather Case od Mujjo korzystam już jakieś dwa miesiące, co daje całkiem niezły obraz tego, jak się sprawdziło.

Przede wszystkim należy pamiętać, że obudowy tego typu mają chronić przed lekkimi uszkodzeniami. Nie są pancerne. Jeśli telefon spadnie Wam z wysoka, to takie akcesorium może Wam nie pomóc. Niemniej jednak w codziennej, normalnej ochronie sprawdzi się bardzo dobrze. Jak wspomniałem już wcześniej, z tyłu, wokół wyspy z obiektywami umieszczona jest metalowa ramka wystająca ponad szkło. Bez obaw

można więc kłaść telefon na każdej powierzchni. Przód telefonu jest odsłonięty całkowicie, aczkolwiek wyścielane skórą ranty wystają nieco ponad, dając również ochronę z tej strony.

Cała tylna powierzchnia wyścielana w skórze dużo bardziej zwiększa komfort uchwytu. Telefon bardzo dobrze leży w dłoni i się z niej nie wyślizguje. Etui nie ma również tendencji do brudzenia się. Myślałem, że będzie „łapało" odciski palców, ale nie.

A jak z jakością skóry? Choć staram się szanować sprzęty, to nie robię tego jakoś nadmiernie. Po prostu normalnie używam sprzętu na co dzień, starając się na przykład, żeby nie chować telefonu do kieszeni z innymi przedmiotami, choćby z kluczami. Jestem pod wrażeniem, jak dobrze wszystko nadal wygląda. Owszem, powstało kilka małych zadzior, ale nie rozdzierają się dalej, a materiał powoli się ładnie „starzeje".

Przy korzystaniu z takich etui należy także mieć w pamięci, że choć mają wycięcie na kabel do ładowania, to niektóre akcesoria, jak choćby pamięci ze złączem USB-C, będą zbyt szerokie, by dać się podłączyć. W takich wypadkach trzeba niestety zdjąć etui.

Dla pewnych osób minusem może być także widoczność logo producenta – Mujjo wytłoczone nie tylko od wewnątrz, ale także na zewnątrz u dołu. Mnie to jednak w zupełności nie przeszkadza. Tłoczenie jest naprawdę subtelne.

Podsumowując, Mujjo Full Leather Case to najlepsze etui, z jakiego do tej pory przyszło mi korzystać. Jest miłe dla oka, nie powiększa zbytnio całej bryły, jest świetnie wykonane i bardzo dobrze się zużywa. Jeśli szukacie ochrony dla Waszego iPhone'a i cenicie powyższe cechy, to warto zerknąć ku produktom Mujjo.

Producent: Mujjo
Cena: 283 PLN

Ocena iMagazine

DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

Mio MiVue J756DS Oczy z każdej strony

Wideorejestratory w Polsce to dość popularny sprzęt. Tego typu urządzenia pozwalają udowodnić swoje racje podczas kolizji drogowej, ale nie tylko. Co potrafi Mio MiVue J756DS?

Nie zamierzam nikogo przekonywać do zakupu wideorejestratora. Osobiście uważam tego typu sprzęt za użyteczne rozwiązanie, przede wszystkim tych bardziej odpowiedzialnych kierowców, którzy chcą jeździć bezpiecznie i faktycznie tak starają się jeździć. Gdy już decydujemy się na wideorejestrator do własnego auta, warto poszukiwać rozwiązania kompletnego. Mio MiVue J756DS jest właśnie takim produktem.

Zacznijmy od tego, że wideorejestratorów na rynku jest bardzo wiele. Tego typu sprzęt jest chętnie montowany przez wielu kierowców. Jednak większość dostępnych na rynku urządzeń rejestruje tylko jeden obraz: ten widoczny przed przednią maską auta. To oczywiście wynika z miejsca zamocowania urządzenia. Widerejestratory mocujemy wszak najczęściej na przedniej szybie pojazdu. Mio MiVue J756DS pozwala jednak na więcej. Przede wszystkim zaletą jest kompletne wyposażenie. W zgrabnym, niewielkim opakowaniu produktu znalazłem bowiem nie jeden, a dwa wideorejestratory. Jeden do tradycyjnego zamontowania z przodu auta, przeznaczony do rejestrowania sytuacji drogowej przed pojazdem. Drugi natomiast pełni rolę kamery tylnej. Mamy zatem do czynienia z zestawem, który pełni rolę rejestratora dwukanałowego, co oznacza, że możemy jednocześnie rejestrować obraz przed i za samochodem.

Oprócz tego w opakowaniu znalazłem kabel zasilający do podłączenia z jednej strony do gniazdka mini USB obecnego w obudowie kamery głównej (przedniej), a z drugiej do klasycznego gniazda 12 V samochodowej instalacji. Jest też kabel połączeniowy (bardzo długi) pozwalający spiąć ze sobą kamerę tylną i przednią. Oprócz tego w pudełku znajdowała się również niewielka, elastyczna, gumowa tuleja z nalepkami, z jednej strony łączona z główną kamerą, z drugiej – dotykająca podsufitki, w której można ukryć kable. W efekcie zestaw ten można zainstalować w aucie w bardzo dyskretny sposób. Główna kamera jest na tyle mała, że mieści się bezpośrednio na przedniej szybie przed lusterkiem wstecznym, a dzięki wspomnianej tulei kable wystające z kamery głównej są niewidoczne. Oczywiście z racji niedużych gabarytów obu kamer, żadna z nich nie ma wbudowanego wyświetlacza. To jednak nie jest problem, bo podgląd rejestrowanego obrazu możemy uzyskać, parując bezprzewodowo opisywany wideorejestrator ze smartfonem i zainstalowaną na telefonie aplikacją MiVue Pro (jest dostępna zarówno na Androida, jak i na iPhone'a).

To wciąż nie wszystko, bo w zestawie jest też akcesorium, które jest bardzo rzadko obecne już w standardowym zestawie z wideorejestratorem. Otóż firma Mio dokłada w standardzie również specjalny zasilacz do trybu parkingowego Mio SmartBox III. Mio MiVue J756DS jako pierwszy produkt Mio jest sprzedawany w zestawie z tego typu zasilaczem. Po co ten zasilacz? Już wyjaśniam. Wielu producentów wideorejestratorów obiecuje również tzw. tryb parkingowy, czyli zdolność danego urządzenia do rejestracji obrazu także gdy auto jest wyłączone i zaparkowane. Niestety, w praktyce najczęściej wymaga to dokupienia specjalnego zasilacza, który będzie bezpośrednio podłączony do magistrali zasilania danego pojazdu, bo przecież gniazdka 12 V czy USB po wyłączeniu silnika i zamknięciu pojazdu najczęściej są odłączane, a wbudowane w dostępne wideorejestratory baterie lub kondensatory (obie metody awaryjnego zasilania są wykorzystywane w różnych produktach) zapewniają zbyt mało energii, by wystarczyła ona na działanie trybu parkingowego. W przypadku opisywanego zestawu Mio MiVue J756DS tego problemu nie ma, bo specjalny zasilacz omijający odłączane przez elektronikę pojazdu gniazdka 12 V czy USB otrzymujemy w pakiecie, co pozwala w pełni korzystać z tzw. inteligentnego trybu parkingowego bez konieczności dokupowania jakichkolwiek akcesoriów (oczywiście poza kartą pamięci, by mieć na czym przechowywać nagrania). Ów inteligentny tryb parkingowy w Mio MiVue J756DS uruchamia się automatycznie każdorazowo po wyłączeniu silnika i rejestruje obraz w stanie ciągłym, zapisując zdarzenia na podstawie detekcji ruchu.

Jakiej jakości jest ten obraz? Przyznam szczerze, że sprzęt mile mnie zaskoczył. Gdy spojrzałem w specyfikację i zobaczyłem, że urządzenie rejestruje obraz maksymalnie w 30 fps i rozdzielczości Full HD (dotyczy to obu kamer, przedniej i tylnej), byłem trochę rozczarowany. Przecież na rynku można już spotkać wideorejestratory rejestrujące nawet obraz w rozdzielczości 4K (co akurat uważam za przesadę), a wiele urządzeń może nagrywać w rozdzielczości wyższej niż Full HD. Niemniej doskonale wiemy, że same cyferki to nie wszystko. Wszak iPhone też nie ma matrycy 200 MP, jak niektóre smartfony, a kompetencji fotograficznych smartfonom Apple'a trudno odmówić. Również Mio zastosowało solidne komponenty. Szklana optyka z jasnym obiektywem f/1.8 oraz sensor Sony Starvis to obietnica, że obraz, choć nie najwyższej możliwej rozdzielczości na rynku, powinien być jednak wysokiej jakości. Dodam, że obietnica ta jest spełniona. Zarejestrowany obraz jest na tyle czytelny, że pozwala bardzo często na rozpoznanie i odczyt tablic rejestracyjnych innych wozów i to w różnych warunkach oświetleniowych. Także na parkingach podziemnych, w pochmurny dzień, czy nawet nocą, choć raczej przy świetle ulicznych

latarni, a nie na jakimś pozbawionym jakichkolwiek zewnętrznych świateł pustkowiu, ale w tak skrajnych warunkach odczytu tablic nie zapewni żaden wideorejestrator. Zdolność do podbicia jasności przy słabych warunkach oświetleniowych to funkcja, którą chwali się producent, czyli Mio Night Vision. Nie jest to żadna noktowizja czy termowizja, lecz raczej efekt podbicia czytelności słabiej oświetlonych obiektów, ale efekty działania tej funkcji są zaskakująco dobre. Dodam jeszcze, że mimo szerokich kątów widzenia (140° dla przedniej kamery i 130° dla tylnej) rejestrowany obraz nie jest zniekształcony w żadnym punkcie kadru.

Wideorejestrator Mio MiVue J756DS jest wyposażony w sensor GPS z wieloma korzyściami wynikającymi z tego faktu. Nie chodzi tylko o możliwość nakładania na rejestrowany obraz danych lokalizacyjnych (koordynaty GPS) czy prędkości pojazdu, z którego odbywa się rejestracja obrazu, ale również o dodatkowe funkcje, takie jak np. Mio Smart Alert. O czym mowa? To rozwiązanie może alarmować kierowcę o przekroczeniu dozwolonej prędkości na danym obszarze, jak również ostrzegać o fotoradarach czy odcinkowych pomiarach prędkości. W tym momencie możecie zadać pytanie, w jaki sposób kierowca otrzymuje ostrzeżenie, skoro nie ma w tym urządzeniu żadnego wyświetlacza? To proste: głosowo. Otrzymujemy po prostu powiadomienia o zbliżającym się odcinku z pomiarem prędkości,

średniej prędkości przejazdu i pozostałym dystansie. Na dodatek komunikaty te mogą być w języku polskim. Ponieważ sprzęt wyposażono również w moduł Wi-Fi, język polski można wgrać do urządzenia poprzez wspomnianą aplikację mobilną MiVue Pro. Połączenie zestawu ze smartfonem użytkownika i aplikacją można również wykorzystywać do przesyłania publikowanych co jakiś czas przez producenta aktualizacji, np. baz danych lokalizacji fotoradarów i odcinkowych pomiarów prędkości.

Podsumowując: Mio MiVue J756DS to kompletny, dyskretny zestaw dwóch kamer, pozwalających rejestrować łącznie aż 270° otoczenia i to zarówno podczas jazdy, jak i na parkingu, dzięki dołączanemu w zestawie zasilaczowi spinanemu bezpośrednio z instalacją pojazdu. Wysokiej jakości sensor, niezła optyka, prosta obsługa i łatwe w użyciu oprogramowanie. Ile za całość? W oficjalnym sklepie Mio znalazłem ten zestaw za 949 zł. Na koniec jeszcze rada: choć kamerę faktycznie da się bardzo dyskretnie zamontować, to jeżeli planujecie wyjazd na narty do Austrii, nie używajcie jej. Nawet jej nie zabierajcie ze sobą. Za samo posiadanie tego typu sprzętu w Austrii grozi kara do 10 tys. euro. W Polsce i w wielu innych krajach korzystanie z wideorejestratorów jest w pełni legalne.

ADALBERT FREEMAN
@FreemanAdalbert

Dron – moje nowe spojrzenie

Właściwie u mnie, jak zawsze, zaczęło się od roweru. Chciałem mieć fajne ujęcia podczas jazdy. Wymyśliłem drona. Teraz zupełnie inaczej już patrzę na świat, przez gogle FPV.

Czym są drony? Dla mnie? Gdy byłem nastolatkiem, chodziłem na modelarnię. Byłem wielokrotnym mistrzem Polski w modelarstwie sportowym. Jednak moim marzeniem było startować w kategorii modeli zdalnie sterownych. Tym dla mnie właśnie były drony do niedawna. Nowoczesną formą tych modeli, które znałem 30 lat temu. Teoretycznie nic się nie zmieniło. Jednak zmieniło się wszystko, minęło, jak wspomniałem, 30 lat i nagle drony, w dużej mierze dzięki firmie DJI (taki Apple w dronach), są obecne w naszym życiu.

Czym są drony? Za Wikipedią: dron – statek powietrzny, który nie wymaga do lotu załogi obecnej na pokładzie oraz nie ma możliwości zabierania pasażerów, pilotowany zdalnie lub wykonujący lot autonomicznie.

Czego potrzebujemy, by latać? Oczywiście drona. Na każdej platformie aukcyjnej są setki ofert. W każdym markecie jest przynajmniej kilka pozycji z dronami. Jednak jeśli nie chcesz się rozczarować, wybór jest tylko jeden: DJI. Dron sam nie wystartuje i nie poleci, potrzebujemy aparatury sterującej. W podstawowej wersji, tak było właśnie 30 lat temu, mieliśmy tylko aparaturę sterującą. Radio w rękach pilota i urządzenie odbiorcze w dronie, samolocie. Rozwój technologiczny pozwolił nam jednak na więcej, na przesył obrazu. Możliwość instalacji kamer i urządzeń rejestrujących.

Dodano więc do radia sterującego możliwość podłączenia telefonu, tabletu lub dodatkowego ekranu. Niektóre aparatury mają wbudowane ekrany. W ekstremalnym przypadku mamy gogle RC FPV (z ang. Remote Controlled First Person View). W tym przypadku pilot nie ogląda lotu na ekranie. Poprzez widok bezpośrednio w trybie rzeczywistym, z niewielkim opóźnieniem około 20–30 ms, mamy wrażenie, że sami lecimy.

Drony to nie tylko zabawa. Jednak tu zaczęli modelarze. Od nich zaczyna się cała historia. Od modeli szybowców, w które włożono silnik. Na początku spalinowy, potem elektryczny. Bardzo szybko wojsko zainteresowało się tematem. W mojej opinii pierwsze rakiety niemieckie V1 i V2 były namiastkami dronów i pokazywały, że będzie to droga ku przyszłości. Drony wykorzystywać zaczęły armie świata. Predator, słynny dron armii USA, powstał już w 1994 roku. Na pierwsze strony gazet zaczynały wchodzić informację o użyciu dronów czy to do obserwacji, gdzie mogły być w powietrzu dziesiątki godzin, czy jako maszyny bojowe. Obecny konflikt w Ukrainie to w dużej mierze wojna dronów. Świat dronów, takich jak Bayraktar TB2. Jednak szybko te drogie maszyny zastąpiły drony cywilne. W cenie około 1–2 tys. dolarów wyparły skomplikowane i kosmicznie drogie dedykowane statki powietrzne. Przejęły w pierwszej fazie konfliktu zadania

obserwacyjne. Tu prym wiodą właśnie drony firmy DJI. Dużo łatwiej na obserwację z góry wysłać małego drona niż kilku żołnierzy. Dron widzi też więcej. Ma, z racji zainstalowanych dobrych kamer oraz pułapu, z jakiego może wykonywać zdjęcia czy przesyłać obraz, większą wartość niż oczy zwiadowcy. Od jakiegoś czasu jednak zaczęto wykorzystywać drony FPV składane samemu i to są w dużej części drony bojowe.

Drony to nie tylko wojsko, to również inne służby mundurowe. Takie jak straż pożarna, która jest w stanie monitorować obszary zagrożone. To także służba w policji, nie tylko dając nam mandaty na drogach, ale np. w celu poszukiwania zaginionych osób. Wszystkie służby ratownicze wykorzystują drony. Te małe statki powietrzne służą kartografom, geodetom czy firmom budowalnym, nawet kominiarzom czy służbom technicznym w wieżowcach. Cały czas słyszymy o testach dronów, które mają dostarczać przesyłki. Zakres prac, do których drony mają być używane, ciągle się powiększa.

Wspomniałem o dronach DJI z kategorii FPV. Czym one są? Drony DJI to bardzo dopracowane modele dronów, od malutkich, które z baterią ważą poniżej 250 g, do dużych konstrukcji. Są to przeważnie komplety z aparaturami. Po wyciągnięciu z pudełka i przeczytaniu instrukcji będziemy mogli

go uruchomić i odbyć swój pierwszy lot. Spora liczba predefiniowanych scenariuszy zaszytych w nadajnik pozwala obecnie np. w dronach DJI z serii Mini na ciekawe filmowe ujęcia i publikacje bezpośrednio na media społecznościowe. Kamera 4K z 3-osiowym gimbalem zapewnia świetny stabilizowany obraz. Dron sam się poziomuje, a gdy puścimy drążki sterujące, zastygnie w miejscu. Ma wbudowany system GPS i w przypadku zakłóceń czy przekroczenia granicy odległości gwarantującej bezpieczny powrót sam jest w stanie wznieść się na wysokość bezpieczną i wybrać drogę do miejsca startu, gdzie bezpiecznie i delikatnie wyląduje. Najnowsze konstrukcje dronów DJI mają wbudowane czujniki, które monitorują przestrzeń wokół drona. Zaszyty algorytm jest w stanie omijać przeszkody na jego drodze.

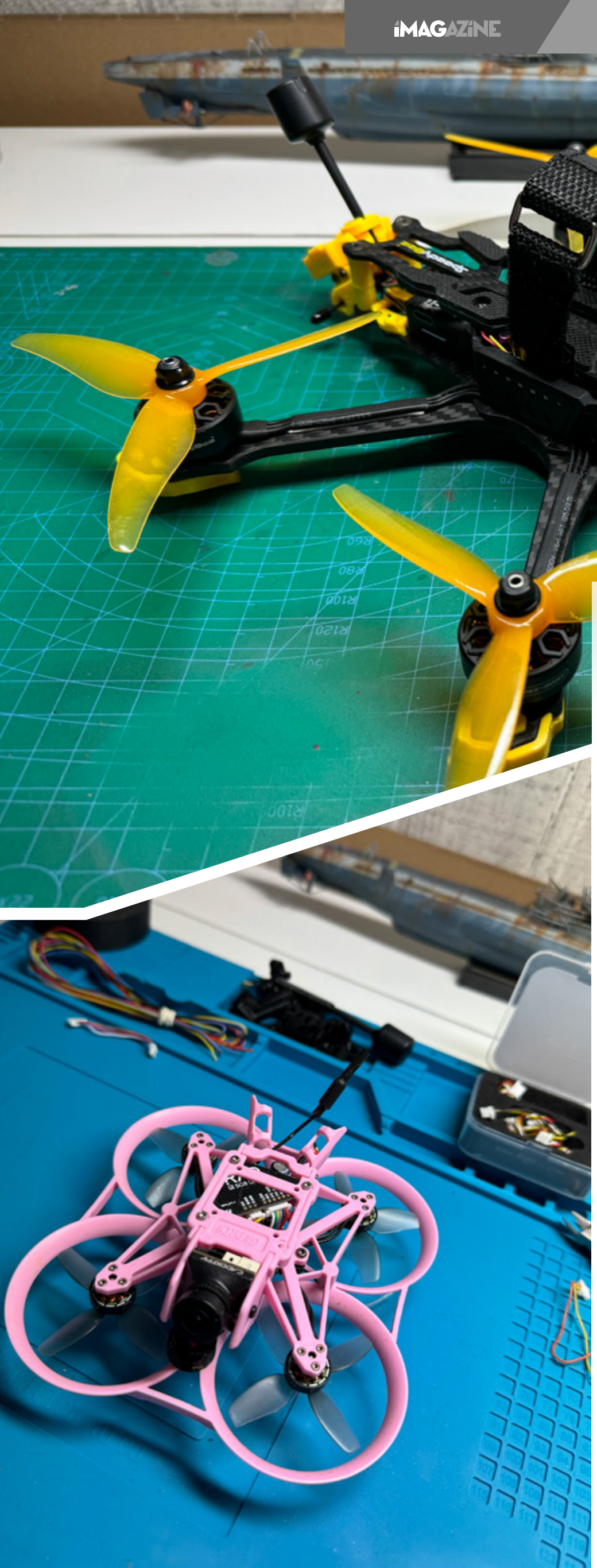

Właśnie dlatego wybrałem DJI Mini 3 Pro (jest już nowszy, Mini 4 Pro), który ma tryb śledzenia obiektów oraz czujniki. Dzięki temu nie muszę się obawiać, że zawiśnie na drzewie, które mijam na rowerze. W najgorszym przypadku stanie w miejscu, miałem taką sytuację przed mostem, pod którym przejechałem.

DJI FPV i DJI Avata – to odpowiedź giganta na drony FPV. W tych modelach DJI dodał tryb Acro – całkowicie wyłączył systemy wspomagające lot. Do zestawów dodał gogle cyfrowe. W pierwszym modelu jest jeszcze przedni czujnik, ale w Avacie już z niego zrezygnowano. Dron może wlecieć w drzewo. Tu zaczyna się zabawa: to drony budowane samodzielnie bez jakichkolwiek wspomagających systemów. Mogą latać jak oszalałe, nagle zmieniając kierunek, wykonując dziwne akrobacje. Drony FPV,

gdzie pilot ma gogle na głowie. Do niedawna system wideo przekazywany był analogowo, obarczony zakłóceniami i pozbawiony szczegółów. By go sobie wyobrazić, można przyjąć, że to obraz podobny do tego, jaki mieliśmy na telewizorach kineskopowych. Jego zaletą jest bardzo małe opóźnienie. Warto, bym wyjaśni, że drony sportowe FPV spokojnie latają ponad 100 km/h, mój najszybszy może lecieć około 150 km/h. Latając między drzewami, nie mogę wiec mieć opóźnienia, by moja rekcja na to, co widzę, nie była po fakcie. Muszę mieć możliwość rekcji na to, co jest przed dronem. Obecnie w świat dronów FPV weszła technologia cyfrowa. DJI oraz Walksnail i HDzero wprowadzili gogle i nadajniki cyfrowe. W DJI jest to kamera, nadajnik z rejestratorem oraz anteną o nazwie DJI o3 Air Unit. W goglach mam obraz 1080p w 100 Hz, zapis jest w rozdzielczości 4K i może być stabilizowany cyfrowo.

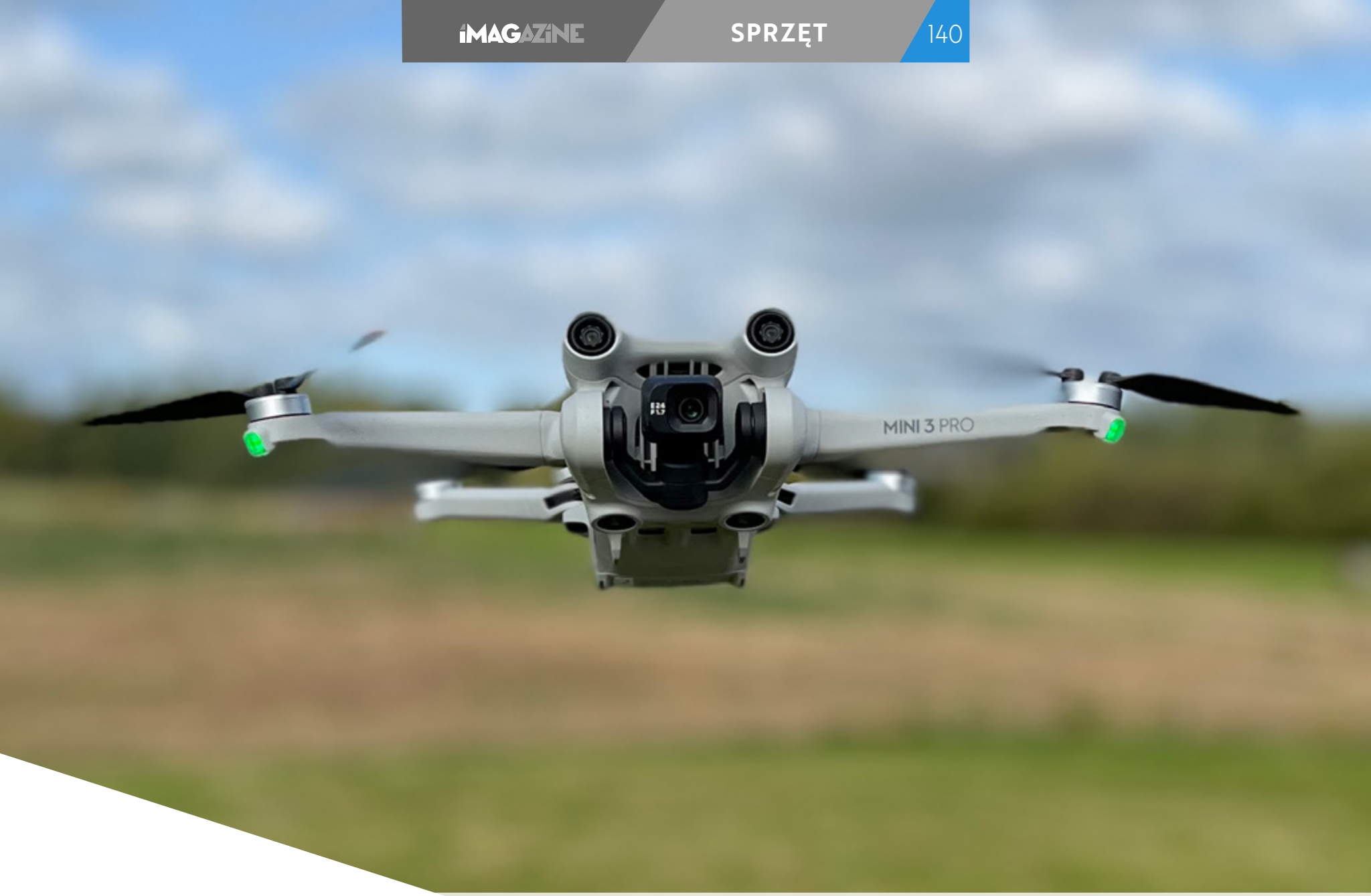

Drony FPV buduje się samemu, można też kupić już złożone konstrukcje, tu najważniejszymi firmami są: GepRC, SpeedyBy, iFlight, BetaFPV czy Diatone, ale oczywiście tych firm jest więcej. Drony FPV kupujemy w rozmiarach wyrażonych w calach. Taką „królewską" kategorią są drony 5". Są to silne, szybkie drony – mocne konstrukcje do akrobacji czy do latania z kamerą sportową. Większe jednostki, np. 7", to najczęściej drony FPV Long Range – specjalnie dostosowane do długich lotów z kamerami – większość zdjęć filmów z gór wykonana jest takimi dronami. Bardzo popularna jest grupa 3,5"i 3", to w dużej mierze drony już z osłonami śmigieł. Od tego rozmiaru raczej drony mają osłonięte śmigła i latamy nimi w mieście lub pomieszczeniach. DJI Avata jest dronem 3". Ja bardzo też lubię najmniejsze 2-calowe jednostki. Takie malutkie, lekkie komary, którymi mogę nawet latać po niewielkim mieszkaniu.

Latanie – przy dronach DJI nie potrzebujemy wiele się uczyć. Przychodzi to łatwo. Dron jest stabilny i bezpieczny. W przypadku FPV nie jest prosto. Ja pierwszego drona połamałem. Na szczęście rama jest dosyć tania, a naprawa szybka. Przy FPV poleca się inna drogę. Symulatory. Wszyscy mówią, że

około 20 godzin symulatora przed pierwszym lotem jest zalecane. To oczywiście zależy od indywidualnych predyspozycji. Ja kilka godzin latałem i średnio mi szło na początku, ale po jakimś czasie czułem już, na czym polega latanie. Zupełnie innym tematem są odczucia lotu, ja po pierwszym locie z goglami miałem zawroty głowy. Do tego też trzeba przyzwyczaić ciało. Na początku latałem, stojąc, teraz siedzę przeważnie w otwartym bagażniku samochodu.

Prawo. Jesteśmy w EU i od tego roku wchodzi nowe prawo unijne dotyczące lotów dronami. Napiszę o tym osobny tekst w następnym numerze iMagazine. Najprościej teraz latać małymi dronami, których masa startowa nie przekracza 250 g. Właśnie wspomnianym DJI Mini 4 czy 4 Pro. Możemy latać takim dronem bez uprawnień na wysokość nie większą niż 120 metrów i w zasięgu wzroku. W innych przypadkach musimy mieć uprawnienia.

Latanie dronami stało się moim nowym spojrzeniem na świat. To, o czym marzyłem, będąc małym chłopcem. Teraz, mając gogle i drona FPV, realizuję swoje marzenie. Chciałem latać. Teraz latam. Jest jeszcze jeden aspekt, który uwielbiam. Mogę, będąc fotografem, robić zdjęcia z innej perspektywy. To fajnie rozwija.

PAWEŁ OKOPIEŃ
@paweloko

Pogromca mandatów – Logitech G923

Gdzie najlepiej się ścigać? W domu lub na torze. Kierownica podpięta do konsoli w 2024 roku zapewnia naprawdę niezły realizm, świetne doświadczenia, zarówno naukę, jak i praktykę. Jeśli potrzebujesz zastrzyku adrenaliny, to pomyśl o takim dodatku.

Od ponad roku użytkuję Xbox Series X. I do tej pory sporadycznie zaglądałem najpierw do Forza Horizon, a w ostatnich miesiącach także Forza Motorsport 7. Głównie dlatego, że jazda na padzie ma niewiele wspólnego z jazdą... Więc częściej wygrywała FIFA. Jednocześnie grafika w nowej Forzie robi na mnie bardzo dobre wrażenie (tak, widziałem wideo z Gran Tourismo i porównanie grafik). No i przyszedł czas przetestować kierownicę.

Ostatni raz z kierownicą miałem do czynienia na początku lat zerowych, jako nastolatek. Nie pamiętam, jaki był to model, natomiast pamiętam udrękę z ustawieniami, brak realnych przełożeń i generalnie te doświadczenia były takie, że kierownica szybko zaczęła się kurzyć i na pewno nie nabyłem dzięki niej żadnych umiejętności przed rozpoczęciem jazdy samochodem.

20 lat później i jakieś 250 tys. kilometrów przejechanych za kierownicą różnych samochodów w świecie realnym przyszła pora jeszcze raz zasmakować kierownicy. Tylko w czasach gdy zamiast 15-calowego monitora gram na 65-calowym ekranie o jasności przekraczającej 1500 nitów z super HDR, na zupełnie innej kierownicy, jaką jest Logitech G923.

O tej kierownicy piszę jako laik, nie jestem ani graczem, ani też samochodowym maniakiem ścigającym się na torach. Raczej osobą, która lubi samochody (choć wierzy w elektromobilność), a gry traktuje jako dobrą rozrywkę od czasu do czasu. I z tej perspektywy G923 to skok w nadświetlną. Pierwsze wrażenie to: „o matko, ile tu kabli!". To zdecydowanie coś, co może odstraszać w dobie, gdy Xbox sobie leży wygodnie w szafce, pad ładuje się raz na kilka miesięcy. A tu potrzebne zasilanie, połączenie z konsolą i jeszcze kabel łączący pedały z kierownicą. Natomiast sama organizacja tych kabli pod spodem kierownicy jest dobrze rozwiązana. Tak jak i umocowanie kierownicy na blacie. I myślę, że to jest największe wyzwanie przy konsolowym graniu na kierownicy. Stolik kawowy i kanapa to nie jest dobry kompan. Od razu myślcie o tym, jak inaczej ulokować kierownicę lub o fotelu racingowym. Ja naprawdę zaczynam to rozważać, aby stworzyć klimat i rzeczywiście zintensyfikować tę rozgrywkę.

To, co za to mnie ucieszyło, to fakt, że jeden przycisk na kierownicy uruchomił konsolę, TV (HDMI CEC) i już po chwili w Forzie rozpocząłem treningi i wyścigi. Bez zbędnej konfiguracji, bez mapowania przycisków etc. Po prostu jedziesz i cieszysz się z doświadczenia. Muszę jeszcze spróbować pograć w gry, które obsługują w pełni Trueforce, czyli siłowe sprzężenie

zwrotne w pełni dopasowane do fizyki gry. I tak, uważam, że te doświadczenia z Logitech G923 na różnych samochodach w Forzie Motorsport, i Forzie Horizon są dla mnie czymś ożywczym. Ale to właśnie przesiadka z pada na kierownicę jest porównywalna z przesiadki z hulajnogi na samochód. Zupełne inne doświadczenia.

Mój tytuł tej recenzji/felietonu to przede wszystkim zachęta do zmiany pewnych nawyków, przyzwyczajeń i właśnie inwestycji w sprzęt, który pozwoli nam na fajne emocje i rozrywkę w domowym zaciszu. Pozwoli wyżyć się na wirtualnym torze, pościgać się, a gdy zasiądziemy za prawdziwym kółkiem, to zyskamy nieco doświadczenia przy wchodzeniu w zakręty, ale też będziemy mogli spuścić nogę z gazu, bo po co, skoro można to zrobić w warunkach znacznie bardziej kontrolowanych i bezpiecznych.

Współczesna kierownica gamingowa na poziomie takim jak Logitech G923, gdzie mamy fantastyczny feeling detali, to niezapomniane wrażenia. W połączeniu z grafiką w grach i możliwościami technicznymi dużych telewizorów to są emocje, to jest radość z jazdy.

PAWEŁ OKOPIEŃ
@paweloko

Mały biznes, wielkie technologie – Samsung Flipchart

Nowy rok, nowy cykl. Wiele rozwiązań od technologicznych gigantów zarezerwowana jest dla klienta korporacyjnego. Praca w dużej firmie wygląda zupełnie inaczej niż w mniejszym biznesie. Wiele firm chce się rozwijać, chce zmniejszać swój dług technologiczny, ale nie wie, od czego zacząć. W cyklu Mały biznes, wielkie technologie chcę przybliżać współczesne rozwiązania sprzętowe i software'owe okiem praktyka właśnie w MŚP. Na pierwszy ogień idzie Samsung Flipchart.

Samsung Flipchart to sprzęt stosunkowo leciwy. Wszak pierwszą generację koreański producent pokazywał jeszcze na targach CES w Las Vegas w 2018 roku. Już wtedy wzbudził moje zainteresowanie, chwilę później widziałem go na targach ISE w Amsterdamie, a później przede wszystkim na wydarzeniach producenta, typu szkolenie z nowości produktowych. Dopiero ostatnio znajomy zachwalał ten sprzęt w swojej firmie (choć znów mowa była tu o gałęzi szkoleniowej), więc postanowiłem go zaprzęgnąć do naszej firmy.

Czym jest owe urządzenie? To 55-calowy ekran interaktywny (jest też większa wersja), wyceniany na około 5 tysięcy złotych, do którego dokupić można też dedykowany stojak z kółkami ułatwiający przemieszczanie. Dostępne są też inne uchwyty czy opcja montażu na ścianie. Generalnie to 55-calowy ekran 4K z opcją podpięcia komputera, wyświetlania materiałów z pendrive'a, czy podłączenia telefonu lub komputera bezprzewodowo, także z poziomu Apple AirPlay. W przypadku podpięcia przewodowego otrzymujemy zewnętrzny monitor dotykowy.

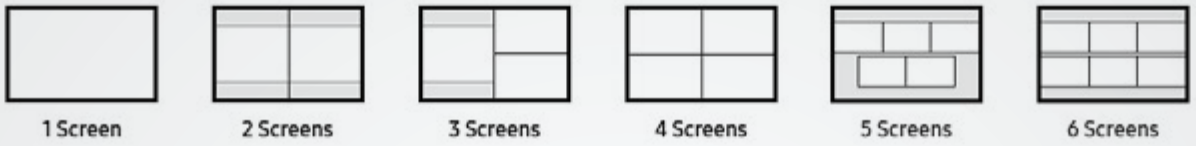

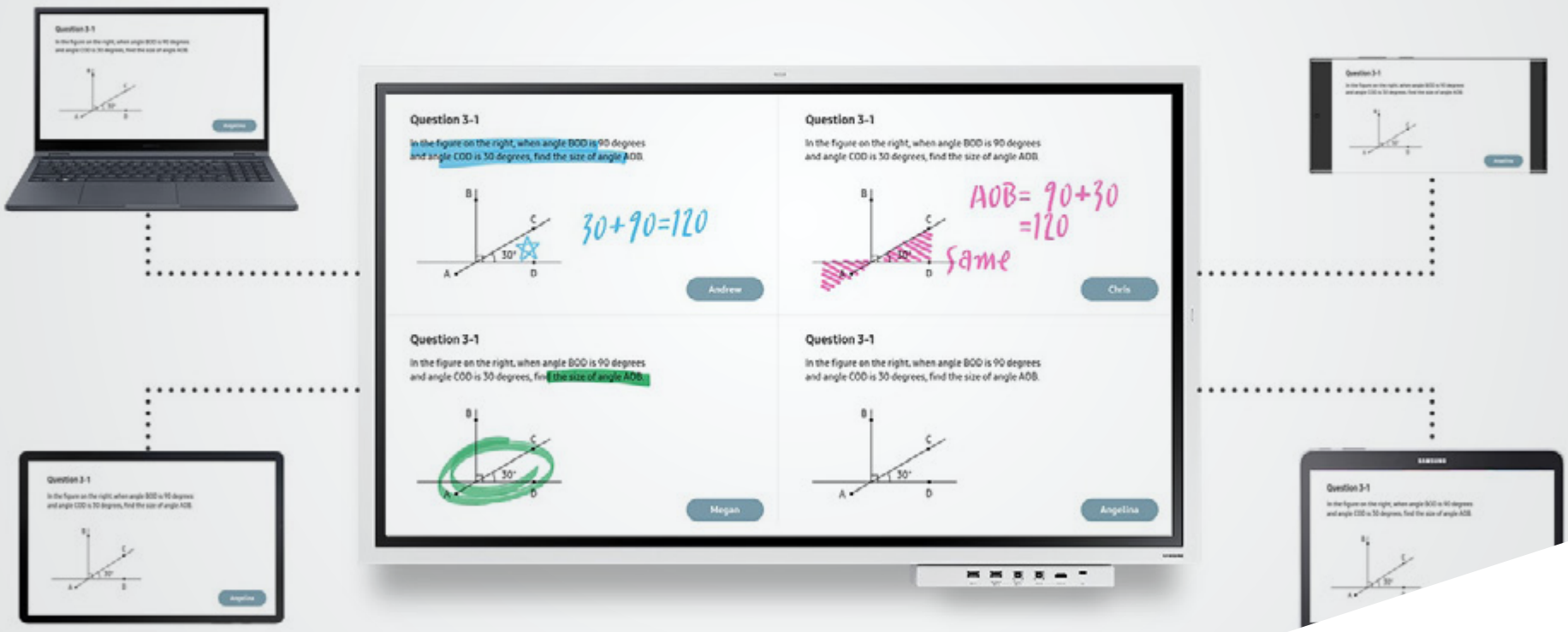

Podstawą jest tu jednak interaktywna tablica. Samsung Flip Pro (kiedyś Flip, ale po pojawieniu się telefonów Galaxy Flip nazywany też po prostu Flipchart) jest tablicą do pisania, nieograniczoną tablicą, gdzie wszystkie notatki można zapisywać najpierw w pamięci urządzenia, a później przerzucać na pendrive'a chociażby. To sprzęt, który ma rysik i który obsługuje multitooth. Jednocześnie swobodnie mogą pracować dwie osoby i notować coś na dwóch krańcach ekranu. Istnieje też tryb pędzla, gdzie normalnymi pędzlami możemy malować po wirtualnym płótnie, łącznie z mieszaniem kolorów czy opcją ich schnięcia. Generalnie Flip Pro działa pod kontrolą zmodyfikowanej wersji systemu Tizen znanego z telewizorów Samsung. Nie ma tu do dyspozycji aplikacji, a trochę szkoda, bo to by wzbogaciło jeszcze możliwości tego ekranu.

Teraz najważniejsze pytanie: po co? Czy rzeczywiście w firmie, zwłaszcza mniejszej, jest sens kupować sprzęt za kilka tysięcy do robienia sobie notatek? Prawidłowa odpowiedź brzmi: to zależy. Ja użytkując sprzęt przez kilka tygodni dostrzegłem istotne benefity w pracy z nim. Przede wszystkim to „miejsce twórczej koncepcji". Jeśli każdy ma swoje zadania, to taki ekran nie ma sensu. Natomiast omawianie działań, strategii, prace nad projektami, dyskusja przy wykorzystaniu takiego ekranu są dużo bardziej efektywne. 55" to znacząca różnica względem ekranu monitora, jest to też inny

obszar do działania niż projektor. Opcje przesuwania ekranu na kółkach w różne miejsca czy też obracanie go też są pomocne.

Flipchart w ciągu tych kilku tygodni potrafił stać przez długie godziny nieużywany, ale gdy już był odpalony, stał się miejscem, gdzie zapadały istotne decyzje co do działań w nowym roku. Pozwolił nam na lepsze rozrysowanie swoich koncepcji. Znów duży ekran ma znaczenie.

Komu bym polecił? To sprzęt dla firm, w których w biurze stacjonarnie pracują co najmniej 3–4 osoby. Komunikacja stacjonarna wymaga wspólnych spotkań, wizualizacji niektórych informacji. Jednocześnie Filpchart to po prostu narzędzie. I dużo zależy od tego, jak je wykorzystamy. Dla poprawy komunikacji i efektywniejszej pracy w stacjonarnym zespole może okazać się strzałem w dziesiątkę.

AGNIESZKA SERAFINOWICZ
@LifestyleAga

Sharp AF-GS552A – smacznie i bez tłuszczu

Beztłuszczowe frytkownice szturmem zdobywają nasze kuchnie. Do mojej trafił jeden z najnowszych produktów w tej kategorii: Sharp Air Fryer model AF-G2552A. Sprzęt łączy kompaktowe gabaryty z dużą pojemnością i jest banalnie prosty w obsłudze. A to nie jedyne jego zalety.

Trudno się dziwić rosnącej popularności beztłuszczowych frytkownic. Sprzęt pozwala pogodzić nasze upodobania do takich potraw jak frytki i inne smażone produkty z zalecaną przez dietetyków eliminacją nadmiernych ilości tłuszczu. Frytkownica beztłuszczowa Sharp Air Fryer AF-GS552A to jedno z najnowocześniejszych na rynku urządzeń z tej kategorii. Pozwoli na przygotowanie znacznie szerszego spektrum potraw niż frytki.

Pierwsza myśl po wyjęciu urządzenia z estetycznego opakowania produktu? Urządzenie jest po prostu ładnie wykonane: zaokrąglony prostopadłościan z dominującą matową czernią, zaakcentowany srebrną, również matową rączką wyciąganej misy z umieszczonym w niej, wyjmowalnym koszem

do beztłuszczowego smażenia. Zarówno misa, jak i kosz, są pokryte powłoką, która skutecznie zapobiega przywieraniu do nich przyrządzanych potraw. Dodatkową zaletą jest fakt, że producent jasno deklaruje, że misę i kosz można myć w zmywarce.

Wierzchnia część frytkownicy marki Sharp to gładka, błyszcząca, czarna tafla ładnego tworzywa z intuicyjnym panelem kontrolnym z dotykowymi przyciskami i niewidocznym, dopóki nie włączymy sprzętu, prostym i czytelnym wyświetlaczem LCD (duże cyfry). Początkowo miałam obawy, czy ta błyszcząca czerń nie będzie się zbyt szybko brudzić, ale po kilkudniowym korzystaniu ze sprzętu okazały się one bezzasadne. Nawet gdy na panelu kontrolnym pozostawimy jakieś odciski palca, to fakt, że przyciski są dotykowe i stanowią jedną gładką powierzchnię na górnej części urządzenia, upraszcza czyszczenie. Jedno przetarcie miękką ściereczką z mikrofibry i sprzęt znowu wygląda jak nowy. Projektanci wykonali swoje zadanie jak należy i Sharp AF-GS552A nie zepsuje wystroju Waszej kuchni.

To, co mnie zaskoczyło, to fakt, że przy sporej pojemności urządzenia (wg danych producenta wysuwany kosz ma pojemność 5,5 litra), sam sprzęt nie jest przesadnie duży. Jego głębokość to 395 mm, wysokość – 318 mm, a szerokość – 313 mm. Takie wymiary oznaczają, że sprzęt zmieści się na

każdym kuchennym blacie nawet przy obowiązkowym zachowaniu co najmniej 10-centymetrowej przestrzeni dookoła urządzenia ze względów bezpieczeństwa. Z drugiej strony spora pojemność pozwala przygotować porcje dla 4–6 osób, zależnie od przygotowywanego dania.

Obsługa tego sprzętu jest banalnie prosta. Czytelny panel kontrolny podzielony jest na trzy zasadnicze sekcje. Na samej górze mamy 8 dotykowych przycisków, z których każdy uaktywnia wbudowany w urządzenie program przyrządzania konkretnego typu potraw. Chcesz frytki? Wsypujesz frytki do kosza, zamykasz go, dotykasz przycisk Fries (tak, podpisy pod przyciskami są po angielsku, ale dzięki piktogramom i tak wiesz, jaki program uruchomić). Urządzenie wyświetla temperaturę 180°C i czas 18 minut. Po 10 minutach frytkownica przypomni o obróceniu potrawy. W przypadku frytek po prostu należy wyciągnąć kosz i nimi potrząsnąć. Przy okazji, uchwyt kosza się nie nagrzewa i ma zawsze bezpieczną temperaturę. Nawet osoby, które nie wykazują się umiejętnościami w kuchni, poradzą sobie z obsługą tego sprzętu bez najmniejszych problemów. Predefiniowane programy pozwalają szybko przyrządzić nie

tylko frytki, ale też kurczaka, wołowinę, pieczone warzywa, rybę, ziemniaki czy pizzę. Różne są też gramatury, przyrządzasz tyle, ile potrzebujesz, nie zawsze muszą to być duże porcje.

To jednak zaledwie część funkcji zapewnianych przez sprzęt Sharpa. Kolejne przyciski rozmieszczone wokół wyświetlacza LCD pomogą w podgrzaniu urządzenia do żądanej temperatury lub odgrzaniu wcześniej przygotowanych potraw (Pre-Heat/Reheat), ułatwią rozmrożenie produktu wyjętego z zamrażarki lub utrzymanie ciepła już gotowej potrawy (Frozen/Keep Warm). Za pomocą frytkownicy możliwe jest również bezpośrednie przyrządzenie zamrożonych potraw, w takim sensie że nie potrzebujemy ich wcześniej rozmrażać. Uda się to w programach Fries (frytki), Veg (warzywa) i Pizza (wiadomo co).

Bardziej doświadczeni użytkownicy mogą również ręcznie regulować temperaturę (przycisk Temp) w zakresie od 80 do 200°C, a także ustawiać czas pracy (przycisk Time; maks. 60 minut). Dolna część to przyciski do zmiany wartości (np. czasu czy temperatury) oraz włącznik i wyłącznik. Przy czym tutaj ciekawostka: pojedyncze wciśnięcie przycisku Stop/

Cancel jedynie wstrzymuje proces, dopiero podwójne jego naciśnięcie anuluje operację i wyłącza sprzęt. To o tyle dobre, że jeżeli np. szykujecie obiad dla bliskiej osoby i otrzymujecie właśnie wiadomość, że dotrze ona do domu kilka minut później, proces można wstrzymać na ten czas bez szkody dla smaku i efektu.

Zaletą często pomijaną przez konsumentów, a mającą dziś coraz większe znaczenie, jest przewaga beztłuszczowej frytkownicy nad klasycznym, elektrycznym piekarnikiem. Szeroki zakres funkcji testowanego przeze mnie urządzenia pozwala w istocie zastąpić nim piekarnik w wielu zadaniach, a przy tym zaoszczędzić energię. Maksymalna moc frytkownicy Sharp AF-GS552A, z jakiej miałam okazję korzystać. to 1650 W. Producent deklaruje, że korzystanie z tej beztłuszczowej frytkownicy pozwala zaoszczędzić nawet do 50% energii w porównaniu ze zwykłym piekarnikiem o mocy 1600 W.

Ten sprzęt można już kupić. Jest on dostępny w wielu sklepach w cenie ok. 600 zł. Biorąc pod uwagę funkcjonalność, dużą pojemność i elastyczność w doborze rozmiarów porcji, banalnie prostą obsługę i łatwość w doprowadzaniu sprzętu do czystości, nie widzę najmniejszego sensu rozważać droższych frytkownic.

PAWEŁ OKOPIEŃ
@paweloko

Sharp 55GP6260E
– 2399 PLN za feerię kolorów

Ponad 110 lat, właściwie to już 112 lat tradycji. Oczywiście ponad wiek temu Sharp nie robił telewizorów, a dziś japońska firma zasilana jest kapitałem Foxconnu, a ekrany wychodzą z fabryki w Łysomicach pod Toruniem. Jedno jest pewne, tradycja będzie trwać. Telewizory Sharp znów cieszą oko i mogą dostać moją osobistą rekomendację. Sharp 55GP6260E to budżetowy QLED, na który warto zwrócić uwagę.

Perspektywa ma znaczenie, także przy wyborze sprzętu. Sharp to jedna z kultowych japońskich marek. Marek, które w ostatnich latach naprawdę miały pod górkę. Japończycy najpierw wpadli w sidła dominacji Koreańczyków, później Chińczyków. I właściwie tylko Sony udało się jakoś z tego wszystkiego wybrnąć bez większego szwanku, w dużej mierze ze względu na PlayStation, ale też na inne produkty. Panasonic wybronił się dzięki B2B. Wiele innych marek rozmieniło się na drobne, sprzedało swoje licencje itd. Po długiej podróży Sharp wraca na ścieżkę, na której telewizory tego producenta są godne rekomendacji i warte zainteresowania. A naprawdę w ostatnich latach było to nie takie oczywiste. Jednocześnie obecne portfolio produktowe Sharpa w Europie staje się na tyle ciekawe i różnorodne, że firma może budować dalej swoją renomę, adresując produkty do szerokiego grona odbiorców, zwłaszcza na średniej półce cenowej. Aspiracje aspiracjami, ale jakość trzeba dowozić i właśnie to się udaje. Przetestowałem dla Was GP6260E – tani telewizor QLED z najnowszej gamy modelowej Sharpa i jest to sprzęt, który absolutnie nie zawodzi.

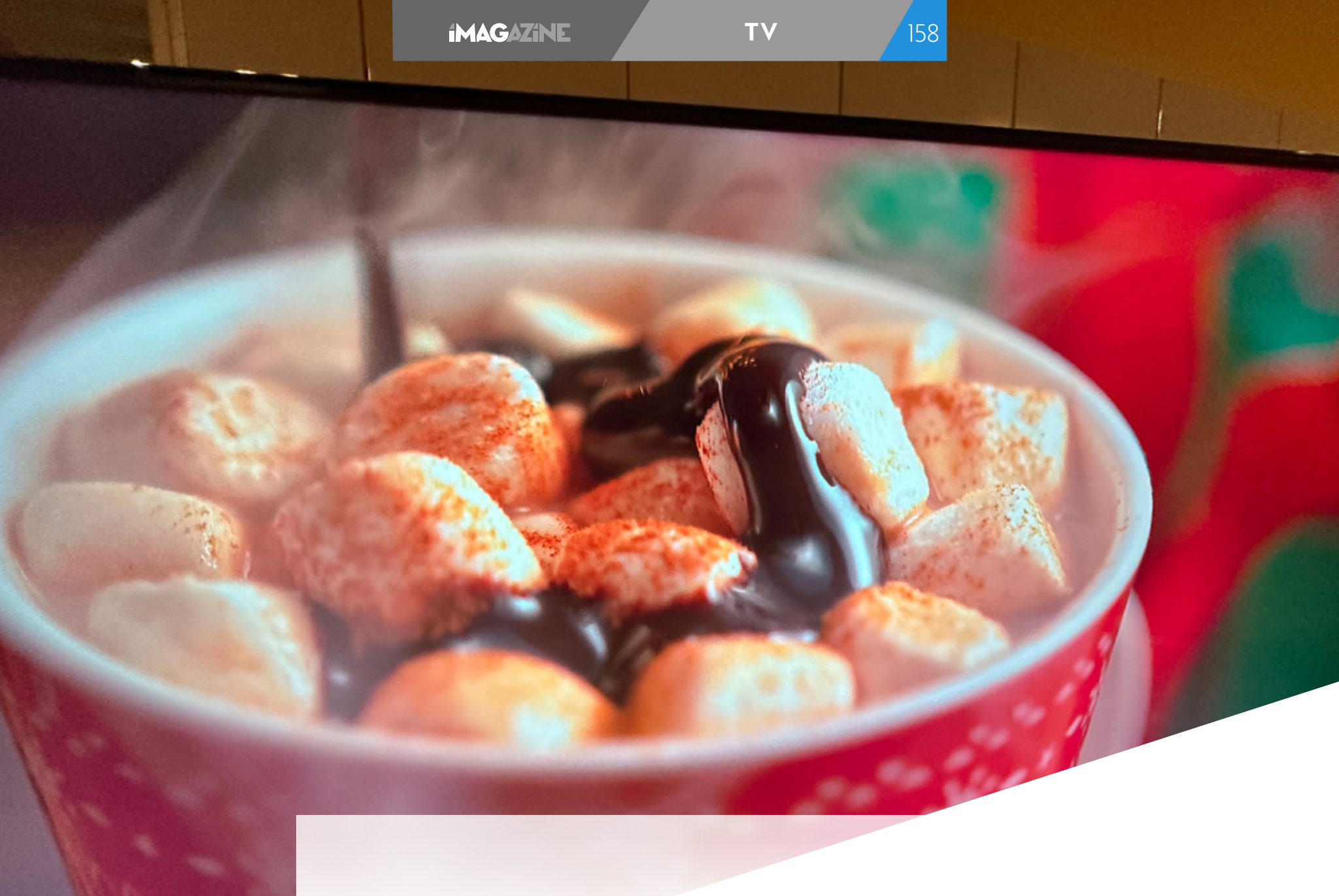

Ekran ten w momencie premiery wyceniany jest na 2399 PLN, czyli porównywalnie do już obecnych od ponad pół roku na rynku chińskich konkurentów oraz znacząco mniej od głównego rywala z Korei. Sharp GP6260E to telewizor z matrycą VA QLED (czyli warstwą kropek kwantowych), z odświeżaniem 60 Hz. Na pokładzie znalazł się system Google TV, czyli już nie Android TV w wersji 11. Jest wsparcie dla Dolby Vision, Dolby Atmos czy kodeka AV1.

Interesujący jest sam design telewizora, który jest nad wyraz przyzwoity, elegancki i minimalistyczny – wąski srebrny pasek na dole, niewielkie ramki na pozostałych krawędziach urządzenia i maleńkie nóżki. Osobiście trochę żałuję, że producent nie postawił na ich szybki, bezśrubowy montaż. Generalnie mam wrażenie, że proces konfekcji (tj. pakowania wszelkich akcesoriów) jeszcze wymaga w Sharpie w Łysomicach dopracowania, tak aby doświadczenia z pierwszego kontaktu ze sprzętem były ciut lepsze. Z drugiej strony telewizor to nie jest wyjmowanie smartfona czy innego osobistego urządzenia, coraz częściej decydujemy się na usługi, gdzie sami nawet tego nie robimy, tylko telewizor trafia na szafkę, ścianę i dopiero wtedy zaczynamy przygodę z nim.

Przygodę, którą rozpoczyna parowanie pilota i to też jest taki punkt, który wymaga jeszcze dopracowania. Sam pilot za to zasługuje na pochwałę. Choć nie jestem fanem klasycznych pilotów, to ta konstrukcja jest przemyślana i jak na budżetowy pilot – estetyczna, próbująca być nieco premium i za to należą się pochwały. W dobie tanich pilotów do drogich TV taki pilot, który dobrze wygląda w niedrogim TV, jest dużą zaletą. W końcu to nasz bezpośredni punkt styku z telewizorem.

Dalej mamy już konfigurację Google TV. System ten ma jedną dużą zaletę – można ustawić go w wariancie kompletnym, z usługami Google, Google Play itd., lub też ograniczonym – z YT, Netflix i Prime Video. To fajna opcja, zarówno dla osób starszych, jak i tych, które chcą korzystać z urządzeń zewnętrznych typu Apple TV. Google TV w Sharpie pozbawiony jest rozwiązań Apple. Nie jest też demonem prędkości, jak topowe modele konkurencji, ale absolutnie nie można powiedzieć, że jest wolny. Działa sprawnie, stabilnie i jest też lepiej przetłumaczony,

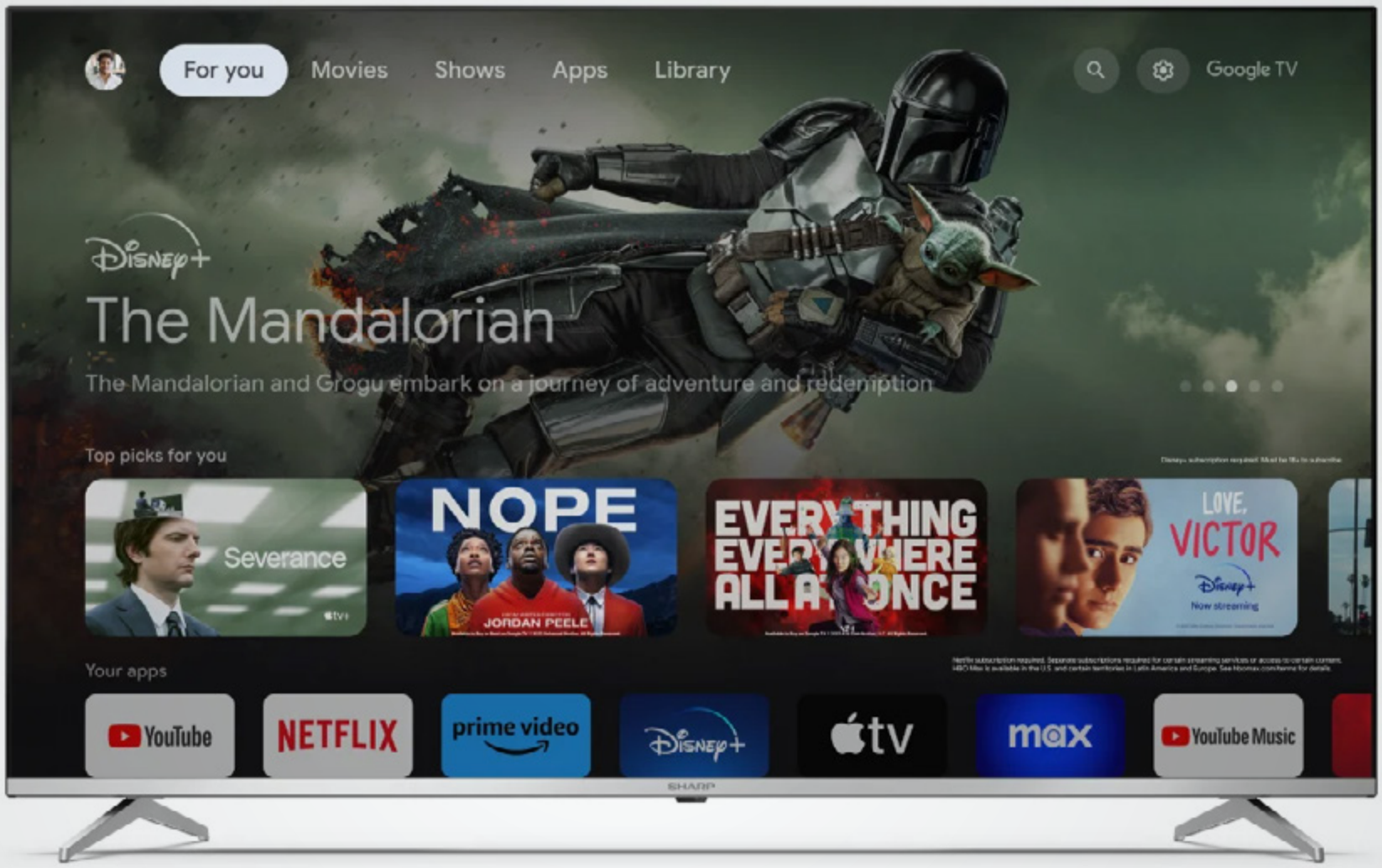

z czytelniejszym dostępem do ustawień niż w rozwiązaniach konkurencji. Za to należy się plus dla Sharpa.

Kluczowym punktem oceny każdego telewizora jest jakość obrazu. I tu Sharp mnie zaskoczył bardzo pozytywnie odwzorowaniem i nasyceniem kolorów. Ewidentnie. Firma postawiła też na algorytmy mające poprawić jakość obrazu z gorszych źródeł, a także autorski upłynniacz obrazu, co przy 60 Hz matrycy też jest istotne. Co prawda producent w komunikacji chwali się HDMI 2.1, ale pamiętajmy, że to telewizor tylko z 60 Hz matrycą, więc możemy tu liczyć po prostu na eARC (przesyłanie pełnego Dolby Atmos po HDMI np. do soundbara) czy też zmienną częstotliwość klatek do 60 kl/s przy gamingu – nie jest to 120 Hz! Podpowiem, że Sharp ma wreszcie w swojej ofercie teraz już także 120 Hz telewizory. Jakość obrazu jest tu moim zdaniem lepsza niż u głównego konkurenta z Państwa Środka i porównywalna z modelami 60 Hz, ale nieco droższymi od innych, znacznie lepiej prosperujących w ostatnich latach graczy.

To ma być uniwersalny, budżetowy model do oglądania telewizji czy

użytkowania VOD, a czasem zagrania, choćby na starszej konsoli. I pod tym względem Sharp GP6260E sprawdza się bardzo dobrze, także dźwiękowo. Dźwięk jest czysty, wszechstronny, i choć to dość górnolotne słowo – ponadprzeciętny (czytaj: lepszy niż można by zakładać w tej klasie TV). Czy są lepsze TV? Oczywiście, że tak. Natomiast wśród 55-calowych telewizorów do 2500 PLN jest to jeden z tych modeli, który może się podobać i zainteresować odbiorcę.

Dla mnie to kolejny krok naprzód w ofercie Sharpa, który z roku na rok robi coraz lepsze telewizory. Te z 2022 roku były ciekawe, te z 2023 są już naprawdę dobre w swojej klasie, a rok 2024 ma przynieść kolejne modele, w tym mini LED. Cieszy mnie to, trochę przez sentyment, trochę dlatego, że ta różnorodność na rynku jest wskazana. Bardzo interesuje mnie też, co Sharp pokaże w tym roku w AGD. Szukającym taniego TV, polecam Sharp 55GP6260E.

PAWEŁ OKOPIEŃ
@paweloko

Jakość mini LED w przystępnej wersji – Hisense U6

Mini LED kojarzy nam się z topowymi modelami. Hisense postawił jednak na demokratyzację tej technologii i przeniósł podświetlanie maleńkimi diodami do telewizora, który kosztuje mniej niż 3 tysiące złotych. Testowałem Hisense U6 i to może być zaskoczenie.

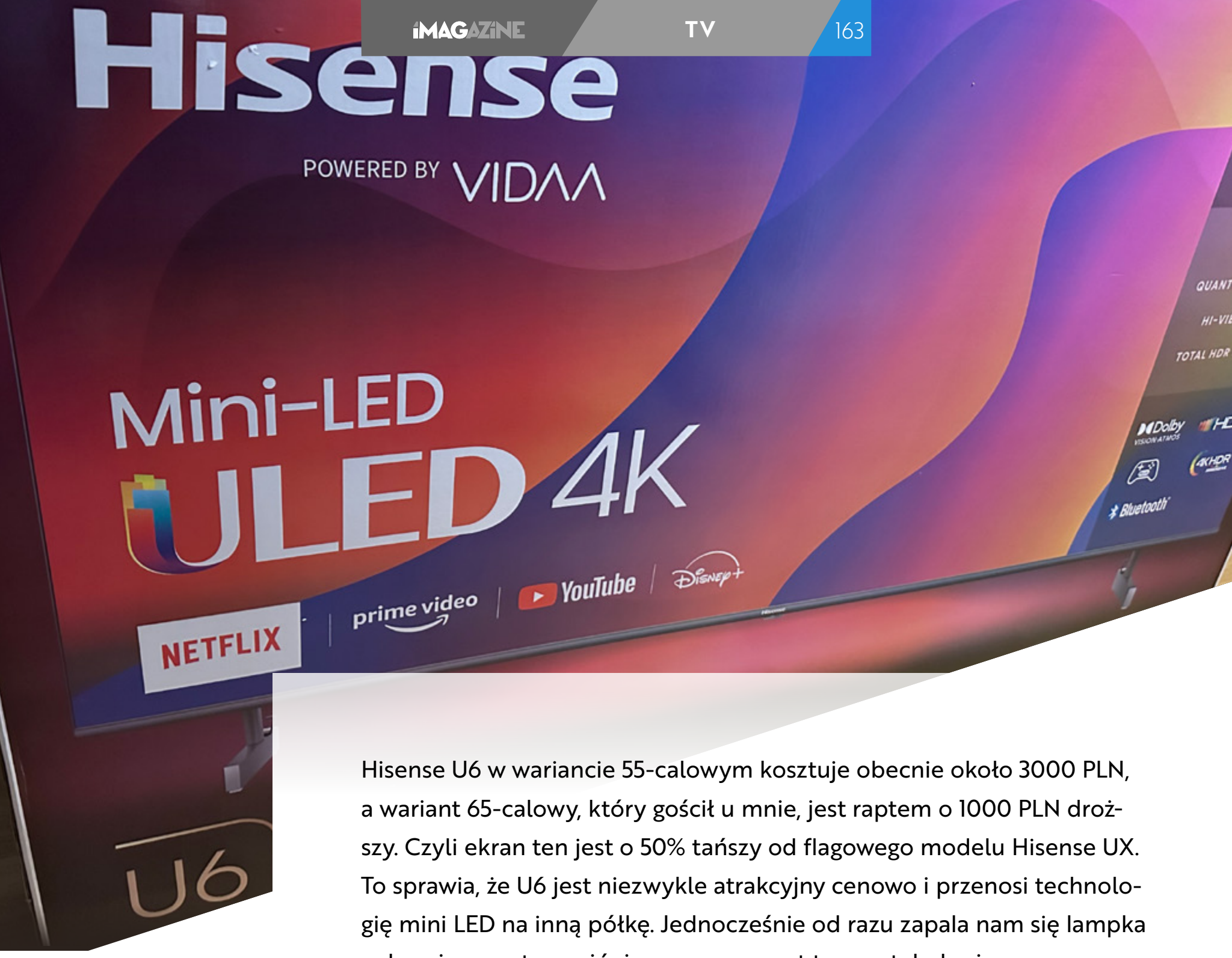

Hisense U6 w wariancie 55-calowym kosztuje obecnie około 3000 PLN, a wariant 65-calowy, który gościł u mnie, jest raptem o 1000 PLN droższy. Czyli ekran ten jest o 50% tańszy od flagowego modelu Hisense UX. To sprawia, że U6 jest niezwykle atrakcyjny cenowo i przenosi technologię mini LED na inną półkę. Jednocześnie od razu zapala nam się lampka nakazująca zastanowić się, z czego sprzęt ten został okrojony.

Na pewno Hisense nie postawił na obniżenie doświadczeń z pierwszego obcowania z telewizorem. Dość prosty montaż, widać oszczędności w obudowie, ale jednocześnie jest solidnie. Osobiście nie jestem wielkim fanem pilota dodawanego do telewizora, natomiast jest on bardzo czytelny i powinien szczególnie przypaść do gustu osobom starszym, mniej technicznym. Dwie nogi, szary design, zdecydowanie Hisense U6 jest sprzętem, który na pewno będzie estetycznie prezentował się w przestrzeni.

U6, podobnie jak inne telewizory Hisense, działa pod kontrolą systemu VIDAA i tu też nie ma mowy o kompromisach. Całość działa szybko, na tle wielu innych telewizorów na rynku – zawrotnie szybko. I gdyby nie brak playera i HBO Max, to nikt nie miałby prawa narzekać na ten system. Natomiast Hisense, podobnie jak i pewnie wiele osób, czeka

na 2024 rok i start usługi Max od Warnera. Nie brakuje jednak pozostałych serwisów, w tym Polsat Box, Canal+, Apple TV+, Netflix, Prime, Disney+ itd. W przypadku VIDAA największym atutem jest szybkość działania oraz czytelność. Dlatego ja przede wszystkim zachęcam do zakupu U6 (a może i wyższych modeli) osoby nieco starsze, chcące dopiero sięgać częściej po usługi streamingowe i robić to w sposób komfortowy. Hisense U6 jest też w pełni zgodny z Apple HomeKit i Apple AirPlay, co dla czytelników iMagazine zapewne też jest dodatkowym atutem.

Czas przejść jednak do pewnych ograniczeń Hisense U6, a raczej wskazania dlaczego to model entry level, chociaż można powiedzieć, że po części produkt premium w świecie modeli budżetowych. U6 to telewizor 60 Hz i na grudzień 2023 jest to jedyny na rynku ekran, który łączy w sobie podświetlanie mini LED i 60 Hz. W efekcie mamy do czynienia z wyświetlaczem bardziej do oglądania klasycznej telewizji, filmów, seriali, a mniej do zaawansowanego gamingu czy namiętnego oglądania sportu. Chociaż ta płynność ruchu jest tu niezła jak na tej klasy ekran, czy na liczne 60 Hz modele marek nienależących do topu w kwestii upłynniania.

Druga kwestia to liczba stref, czyli sposób rozmieszczenia i zagęszczenia diod mini LED. W wariancie 55-calowym mamy do dyspozycji 120 stref, a w ekranie 65" – 192 strefy. Co prawda jeszcze niedawno takie wartości były we flagowcach FALD, ale w świecie mini LED to skromny wynik. Niemniej jednak jest to zdecydowanie krok do przodu względem ekranów podświetlanych krawędziowo czy direct LED i to widać. Ekran ma niezłą jasność SDR, bardzo delikatny, ale wciąż widzialny podbłysk przy HDR (także w Dolby Vision i HDR10+). Natomiast tak kontrast, jak i czerń są tu na bardzo fajnym poziomie, który znów praktycznie nigdy nie był dostępny na takim poziomie cenowym. Tutaj ten telewizor kosztuje niemal połowę jakiegokolwiek telewizora z matrycą organiczną, a jest w stanie dać fajny kontrast i czerń, być uniwersalny do seansów w dzień i w nocy (matryca VA).

Jeśli chodzi o jakość obrazu, to odwzorowanie kolorów oraz procesor obrazu w tym modelu Hisense jest na świetnym poziomie, czyniąc ten telewizor naprawdę takim super ekranem basic. Kochasz kino, lubisz oglądać filmy i seriale w kinowych warunkach, a chcesz kupić tani telewizor i nie możesz sobie pozwolić na flagowca, to U6 będzie strzałem w dziesiątkę.

W U6 brakuje trochę potężnego dźwięku, jakiego doświadczyłem, testując model U8. Natomiast wydaje mi się, że tu też warto myśleć tak długodystansowo, najpierw kupujemy telewizor do filmów za rozsądną cenę, a później dokupujemy do niego soundbar tego samego producenta i uzyskujemy rzeczywiście efekty kina domowego w domu bez uszczerbku dla budżetu.

Dla mnie Hisense U6 to udany średniak z detalami, które podbijają telewizor do półki wyżej. A to sprawia, że jest wart uwagi i godny polecenia.

WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

VW Amarok

Na krętych, górskich, zaśnieżonych drogach i bezdrożach w okolicach Szczyrku miałem okazję zapoznać się – po raz pierwszy – z Amarokiem. I co to było za spotkanie!

Nowa odsłona tego Volkswagena dostępna będzie w trzech wersjach wyposażeniowych: Style, PanAmericana i Aventura. Wszystkie zostały wyposażone w 3-litrowy silnik V6 TDI o mocy 240 KM, posiadają napęd na cztery koła, automatyczną skrzynię biegów, możliwość blokady mostów oraz reduktor. Amarok oferuje standardowy napęd na wszystkie koła, który ma możliwość płynnej konfiguracji od napędu tylko na tylną oś (2H), napędu na dwa koła z automatycznie dołączaną drugą parą kół (4A), stałego napędu na cztery koła (4H) oraz napędu na cztery koła z reduktorem (4L). Kąty ataku, zjazdu i rampowe to odpowiednio 30°, 26° i 21°, zaś maksymalny prześwit wynosi 237 mm. W Polsce model ten dostępny jest jedynie w wersji z podwójną kabiną. Ceny rozpoczynają się od 229 tys. zł bez VAT lub 281 670 zł z VAT za wersję Style. Wersja PanAmericana, czyli posiadająca bogatsze wyposażenie

oraz zachowująca możliwości terenowe, głównie poprzez pozostawienie 18-calowy felg na wyposażeniu, zaczyna się od 249 tys. zł bez VAT (306 270 zł z VAT). Najbogatsza wersja Aventura, która na 21-calowych felgach oraz ze skórzanym wnętrzem lepiej będzie czuła się na drogach utwardzonych, zaczyna się od 269 tys. zł bez VAT (330 870 tys. zł z VAT). Różnic w wyposażeniu jest oczywiście więcej, podobnie jak w zewnętrznej stylistyce, ale każdy wariant sprzedawany w Polsce wyposażono w największy 12-calowy ekran dla infotainmentu, 12,3-calowy Digital Cockpit oraz CarPlay.

Dla tych, którzy nie wiedzą, podpowiem, że Volkswagen Amarok jest technicznie bratem Forda Rangera, co sprawia, że oba modele mają wiele wspólnych cech, ale również wiele różnic. Gdy wsiadłem jednak po raz pierwszy do kabiny Amaroka, to poczułem, że jestem w znajomym miejscu. Samochód zachował nie tylko charakter VW w środku, ale całość jest prosta i przejrzysta, co jest miłym akcentem w porównaniu ze stopniem skomplikowania niektórych konstrukcji kabin innych marek w dzisiejszych czasach. Jest też równie miłą odmianą do samochodów, które mają aż nadto uproszczoną architekturę wnętrza. Wszystko, co powinno mieć

przycisk, ma przycisk. Pałąki przy kierownicy są skonfigurowane tak, jak się tego spodziewamy i nie mają żadnych udziwnień. Ekrany, czy to ten dla cyfrowego kokpitu, czy pionowy ekran na środkowej konsoli, są szalenie intuicyjne. To wszystko jednak nie oznacza, że Amarok jest prostym samochodem, chociaż to często zaleta przy autach użytkowych. Zdecydowanie nie – na wyposażeniu znajdziemy praktycznie wszystko, od komfortowych elektrycznie regulowanych foteli w 10 kierunkach, przez najbardziej potrzebnych asystentów drogowych, aż po zaawansowany system sterowania napędem na cztery koła i oświetlenie LED. Jeśli miałbym się do czegoś przyczepić, to powiedziałbym, że brakuje jeszcze blokady centralnej i przedniej, do kompletu dla tylnej. Realnie jednak nie spodziewałbym się takich rzeczy w tej półce cenowej.

Poza szybkim zaznajomieniem się z kabiną, pozycja za kierownicą oraz widoczność przez szyby zapewniła mi znakomite wyczucie gabarytów Amaroka, a to nie jest przecież mały pojazd. Kolega z większym doświadczeniem podpowiedział mi jedynie, aby pilnować tyłu na zakrętach – zachodzi! To nie dziwi – auto ma 5,35 m długości i 2,2 m szerokości (z lutesterkami). Ważniejszą sprawą jest możliwość przewiezienia 1 europalety z opcją jej zamocowania na stosownych uchwytach. Jeśli natomiast chcecie nocować na dachu, to nie tutaj najmniejszego problemu

– wytrzymuje statyczne 350 kg (85 kg dynamiczne). Alternatywnie przyczepa może mieć do 3,5 t. Ciekawostką jest elektrycznie zamykana i otwierana roleta chroniąca przestrzeń ładunkową lub możliwość zabudowy „paki", aby uczynić z auta „kombi".

Zaledwie dwie godziny za kierownicą tego auta na zimowych oponach, na bezdrożach pokrytych błotem i śniegiem, z głębokimi koleinami oraz krótki dojazd po asfalcie, to za mało, aby wyrobić sobie konkretne zdanie. Wiem jednak, że prowadzi się go lekko, sprawia wrażenie znacznie mniejszego niż jest i podejrzewam, że nie zbliżyłem się nawet do jego rzeczywistych możliwości terenowych. Ciekawy jestem jednak granic tych możliwości...

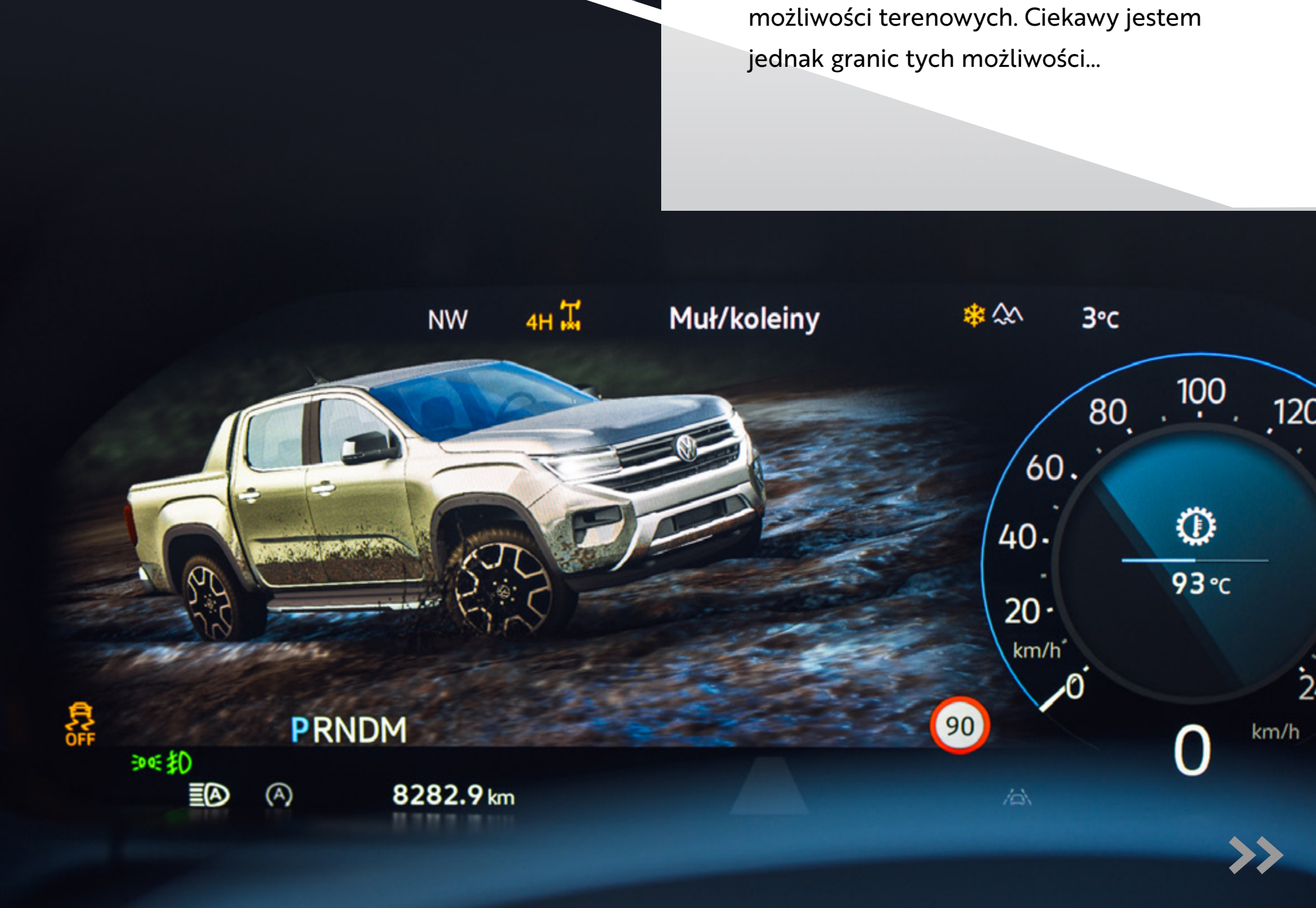

V6
EZD 3X99
PL

DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

Jeep Grand Cherokee 4xe Summit Reserve – Luksus po amerykańsku

Topowy SUV marki Jeep z europejskiej gamy modelowej to pojazd, który zdecydowanie można zaliczyć do segmentu premium. Samochód przestronny, bardzo komfortowy, luksusowy wręcz, szczególnie w topowej wersji wyposażeniowej Summit Reserve. Do tego ponadprzeciętne kompetencje terenowe i mocny napęd. Wady też znalazłem.

Auto prezentuje się jak prawdziwy, duży, amerykański SUV. Miłośnicy motoryzacji zza Atlantyku z całą pewnością pokochają ten styl. W swoim najnowszym wydaniu Jeep Grand Cherokee jest jednocześnie bardzo amerykański i zdecydowanie najelegantszy ze wszystkich dotychczasowych generacji tego modelu. Choć to nie jest największy Jeep w europejskiej gamie modelowej marki (opisywany przeze mnie w numerze iMagazine 08/2023 Jeep Gladiator jest większy), to z całą pewnością bardziej luksusowo wykończonego i przestronniejszego Jeepa nie znajdziecie. Zwłaszcza wybierając testowaną przeze mnie topową odmianę wyposażeniową Summit Reserve.

Jeep Grand Cherokee to kawał auta. Nadwozie tego SUV-a mierzy nieco ponad 4,9 metra. Owszem, auto jest minimalnie krótsze od np. Audi Q8, BMW X5, Land Rovera Discovery czy Mercedesa GLE, ale wszystkie te SUV-y mierzą powyżej 4,9 metra, a poniżej 5 metrów. Jeep jest za to najszerszy z nich, mierzy 2149 mm szerokości całkowitej, a przy wysokości 1858 mm jedynie Land Rover Discovery minimalnie go przewyższa. Montowane w testowanej, topowej wersji wyposażenia potężne, 21-calowe felgi ze stopów lekkich z oponami w rozmiarze 275/42 R21 wcale nie wyglądają na zbyt duże. Jednocześnie uspokajam, profil wcale nie jest za niski, o komfort resorowania dba tu pneumatyczne zawieszenie. Auto jest bezkonkurencyjne, jeśli chodzi o kąt natarcia: 35,5° to wynik lepszy nawet

od Land Rovera Discovery, który tak naprawdę wśród wymienionych modeli konkurencyjnych pozostaje jedynym, który Jeepowi dorównuje w offroadowych kompetencjach.

Jednak żebyśmy się dobrze zrozumieli... Jeep Grand Cherokee to przede wszystkim auto zapewniające ponadprzeciętny komfort podróży, a nie offroadowy wojownik. Fakt, że poza asfaltem auto potrafi wiele to bonus, niezmieniający zasadniczego charakteru tego pojazdu jako luksusowego SUV-a na płaskie i równe drogi.

Wystarczy otworzyć drzwi i umościć się w bardzo wygodnych, skórzanych, elegancko pikowanych, obszytych skórą,

ogrzewanych i wentylowanych fotelach. Te z przodu są oczywiście wyposażone w rozbudowany system masujący. To prawdziwe masaże, a nie udawany masaż jedną poduchą od lędźwi, jak w niektórych tańszych modelach. Również z tyłu skrajne siedziska są wentylowane i podgrzewane. Pasażerowie przepastnej kanapy w drugim rzędzie z regulacją nachylenia oparć mają też do dyspozycji własny panel kontrolny swoich dwóch stref klimatyzacji, cztery gniazdka USB (do wyboru USB-A i USB-C, a także klasyczne gniazdko 230 V zdolne do zasilania sprzętu o mocy do 150 W (na laptopa wystarczy). Jest też szeroki, miękki podłokietnik z dwoma miejscami na kubeczki, ale to oczywistość. W standardzie wersji Summit Reverse jest też duży, dwuczęściowy panoramiczny dach z elektrycznie sterowaną roletą przeciwsłoneczną. Auto w testowanym wariancie jest doposażone „po kokardę". W zasadzie jedynym elementem, jaki można wybrać w tym wydaniu jako opcja, jest zestaw ekranów multimedialnych dla pasażerów tylnej kanapy (kosztuje 12 500 zł). Ewentualnie lakier, ale ten widoczny na moich zdjęciach (przy okazji dziękuję Sony Polska za użyczenie Sony Alpha A7 III + szkło SEl24105G) lakier Velvet Red z czarnym dachem otrzymujemy bez dopłat.

Ergonomia kokpitu Grand Cherokee to udane połączenie klasycznych rozwiązań (dużo przycisków i pokręteł) z nowoczesnością. Ekranów jest tu naprawdę sporo, oprócz dwóch, które widzi kierowca (wirtualne zegary za

kierownicą i 10,1-calowy ekran multimediów w centralnej części deski rozdzielczej), jest jeszcze czytelny head-up display (obraz rzutowany na przednią szybę). To nie wszystko, bo również pasażer z przodu ma przed sobą ekran, który pozwala sterować multimediami, odtwarzać pliki z dwóch źródeł USB, a także ze źródła, które można podłączyć do auta przez obecne w konsoli centralnej gniazdo HDMI. Pasażer może też w trakcie jazdy uzyskać podgląd z kamer pojazdu (przedniej lub tylnej). Bajer? Owszem, ale czyż nie tak buduje się auta premium? Na uwagę zasługuje też 19-głośnikowy system premium audio McIntosh z 17-kanałowym wzmacniaczem o mocy 950 W. Osobiście preferuję brzmienie systemu Bowers & Wilkins, jaki znajdziemy np. w Volvo XC90, ale to wcale nie znaczy, że McIntosh gra źle. Oczywiście nie zabrakło również bezprzewodowego parowania dwóch smartfonów jednocześnie, Android Auto i Apple CarPlay (także bezprzewodowe) również są dostępne. System pokładowy w Jeepie to znany z niektórych marek Stellantis system Uconnect. Modułowa i w wysokim stopniu personalizowana przestrzeń informacyjna pozwala kierowcy dopasować zestaw informacji, jakie mają być widoczne na ekranach.

Co napędza tego giganta? Po otwarciu długiej maski (zawieszonej na teleskopach) amerykański sen niestety pryska. Żadnego V8, nawet V6, nie ma mowy o silnikach z serii Pentastar w Europie. Na Starym Kontynencie auto można zamówić tylko z jednym napędem. Po uniesieniu maski patrzyłem na czterocylindrową jednostkę o pojemności dwóch litrów. Teoretycznie to ta sama jednostka, którą znajdziemy np. w Alfie Romeo Stelvio GME 2.0 Turbo. Benzynowe turbo jest tu wspierane przez komponenty elektryczne, a sumaryczna moc tego napędu to konkretne 381 KM i aż 637 Nm momentu obrotowego. Dynamika jest? Jest. Rozbujanie tego 2,5-tonowego mastodonta do 100 km/h w trybie Sport zajmuje 6,3 sekundy. Owszem, 381-konny PHEV w Audi Q8 czy benzynowe, również 381-konne BMW X5 40i będą nieco

szybsze (niemiecka konkurencja schodzi poniżej 6 sekund), ale trudno mówić, że Jeepowi brakuje mocy.

Komponent spalinowy Grand Cherokee 4xe czerpie energię ze zbiornika paliwa o pojemności 72 litrów, natomiast zintegrowany z automatyczną skrzynią ZF o 8 przełożeniach silnik elektryczny zasilany jest akumulatorem trakcyjnym o pojemności użytecznej 17,3 kWh. Teoretycznie nie jest to mało, a producent deklaruje możliwość pokonania bezemisyjnie ok. 50 km. Niestety, w temperaturach zbliżonych do 0°C, testowanym egzemplarzem udało mi się pokonać 33 km w trybie wyłącznie elektrycznym, zanim układ napędowy nie przełączył się w domyślny po uruchomieniu tryb hybrydowy. Oczywiście akumulator nigdy nie jest rozładowywany do końca. Możemy również wzmocnić poziom rekuperacji, wciskając przycisk zwiększonego odzyskiwania energii umieszczony nad ekranem multimediów. Nie zmienia to jednej zasadniczej kwestii. Jeep Grand Cherokee 4xe po „rozładowaniu" baterii i przełączeniu w tryb hybrydowy oszczędnym autem nie jest. Szczególnie w mieście, a to przecież niby domena hybryd.

Nie tym razem. Kiedy pokonałem w warszawskich korkach (podkreślam, już po rozładowaniu akumulatora na tyle, że trybu elektrycznego nie dało się włączyć) nieco ponad 50 km, komputer pokładowy testowanego egzemplarza wyświetlił mi średnie zużycie paliwa wynoszące 18,2 l/100 km (!), przyznacie, sporo. I żeby było jasne, nie było żadnych szaleństw, normalna, spokojna, komfortowa jazda w mieście w domyślnie aktywnym trybie jazdy Auto. Trybu eco w tym pojeździe nie uświadczysz, ale przy takim spalaniu zakrawałby na kpinę.

Oczywiście zużycie paliwa można znacznie zredukować. Wystarczy po prostu podłączyć auto do ładowania. Z instalacji trójfazowej (maksymalna moc akceptowana przez pojazd to 7,4 kW) pojazd naładuje się w ok. 3 godziny do pełna i znów mamy te zapowiadane 50 km (w praktyce zimą bliżej 30 km) bezemisyjnego zasięgu. W trasie jest lepiej, bo na drogach krajowych, gdy nie przekraczamy przepisowych 90 km/h, można zejść nawet poniżej 9 l/100 km. Krótka trasa podmiejska z niższymi prędkościami (50–70 km/h) może skutkować nawet zużyciem z siódemką z przodu. Jednak na autostradzie czar pryska: nie masz co liczyć na zużycie niższe niż ok. 12 l/100 km.

Inna sprawa, że jeżeli stać Cię na ten samochód, to z całą pewnością stać Cię i na paliwo do niego. Jeep Grand Cherokee 4xe startuje w polskim cenniku marki od 405 000 zł za bazową wersję wyposażeniową Limited. Testowany wariant jest maksymalnie doposażony. Summit Reserve to nie tylko najbogatsze wyposażenie w gamie, ale też lepszy z dwóch dostępnych napęd 4x4 Quadra-Drive II, w którym oprócz reduktora (obecnego również w tańszym napędzie 4x4 Quadra-Trac II w wersji Limited) otrzymujemy dodatkowo elektronicznie sterowany mechanizm różnicowy o ograniczonym poślizgu. Cena? 487 500 zł. Owszem, bazowe wersje Mercedesa GLE, Audi Q8, BMW X5 czy Land Rover Discovery są tańsze, ale gdy wyposażymy je równie bogato, co testowanego Jeepa, cena będzie sporo wyższa..

Jeep Grand Cherokee 4xe Summit Reserve ★★★★☆☆

- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 3/6

Plusy:

- Rasowy design amerykańskiego SUV-a
- Komfortowo wykończone wnętrze
- Bardzo bogate wyposażenie i dobre wyciszenie
- Bogate multimedia i dobry system audio McIntosh
- Niezła dynamika, mimo tylko 4 cylindrów
- Zawieszenie dostosowane do europejskich gustów

Minusy:

- Niewielki zasięg na samym prądzie
- Po przejściu w tryb hybrydowy spalanie w mieście jest bardzo duże
- W trybie sportowym rozczarowujące brzmienie silnika

DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

Toyota Prius Plug-in Executive Jedna idea mnie urzekła

Z czym Wam się kojarzy Toyota Prius? Jeżeli mieszkacie w dużym mieście, to zapewne z licznymi usługami przewozu osób. Faktem jest, że Priusy starszych generacji to wyjątkowo popularne auto wśród taksówkarzy. Najnowszy Prius jest inny. A jeden pomysł w tym samochodzie szczególnie mi się spodobał, choć niektórzy go wyśmiewają. Niesłusznie.

Toyota Prius nigdy nie była samochodem, który wzbudzałby zachwyt wzornictwem. Znam wręcz wiele osób, które starsze generacje tego modelu uznają po prostu za brzydkie. Mimo to Prius wyważył w świecie motoryzacji wiele drzwi, nie oglądając się na konkurencję. Po dziś dzień pozostaje jednym z najoszczędniejszych aut spalinowych, które nie korzystają z silnika wysokoprężnego. Oczywiście to zasługa dopieszczanej już przez dziesięciolecia technologii hybrydowej Toyoty. Jednak najnowszy Prius pod wieloma względami zrywa ze swoimi poprzednikami. Wyraźnie widać, że Japończycy zdecydowali się na nowe otwarcie, chodzi nie tylko o wzornictwo, ale również o dostępny w Europie napęd. Niemniej od wzornictwa zacznijmy.

Nowy Prius jest po prostu ładny

Zresztą, użycie przymiotnika „ładny" w kontekście najnowszej, piątej już generacji Priusa to wyrażenie wręcz zbyt delikatne w stosunku do rewolucji stylistycznej, jaka się tu dokonała. Auto jest świetnie narysowane, bardzo nowocześnie. Nie jest też małe, mierzy blisko 4,6 metra, co jest wartością znacznie większą od wielu kompaktów. Nadwozie jest kapitalnie opływowe. Owszem, opływowe były również poprzednie generacje, bo efektywność energetyczna zawsze była oczkiem w głowie inżynierów i projektantów tego modelu, ale tu wreszcie udało się uzyskać kształty,

które nie tylko są miłe dla oka, ale wręcz skupiały spojrzenia przechodniów. Zresztą niejeden pstryknął testowanemu egzemplarzowi swoim smartfonem zdjęcie. Prius i carspotting? Nie uwierzyłbym, gdybym tego nie doświadczył. Jednak to tylko dowodzi, że stylistyka tego wozu jest bardzo udana. Uwagę przykuwa również musztardowy lakier testowanego egzemplarza. I żeby nie było, ta musztarda to nie mój wymysł. W oficjalnym konfiguratorze Toyoty lakier ten nazywa się 5C5 Mustard. Wąskie przednie reflektory o interesującym kształcie to oczywiście LED-y, na dodatek są to światła matrycowe z pełną automatyką (w nocy to bardzo przydatne). Użyczony wóz stał na 19-calowych, zgrabnych felgach, na których założono dość wąskie zimowe opony 195/50R19. Jednak jestem w stanie to zrozumieć: im węższa opona, tym mniejsze opory toczenia, czyli straty energii. Od razu uspokajam, problemów z trakcją, mimo sporej mocy, nowy Prius nie ma.

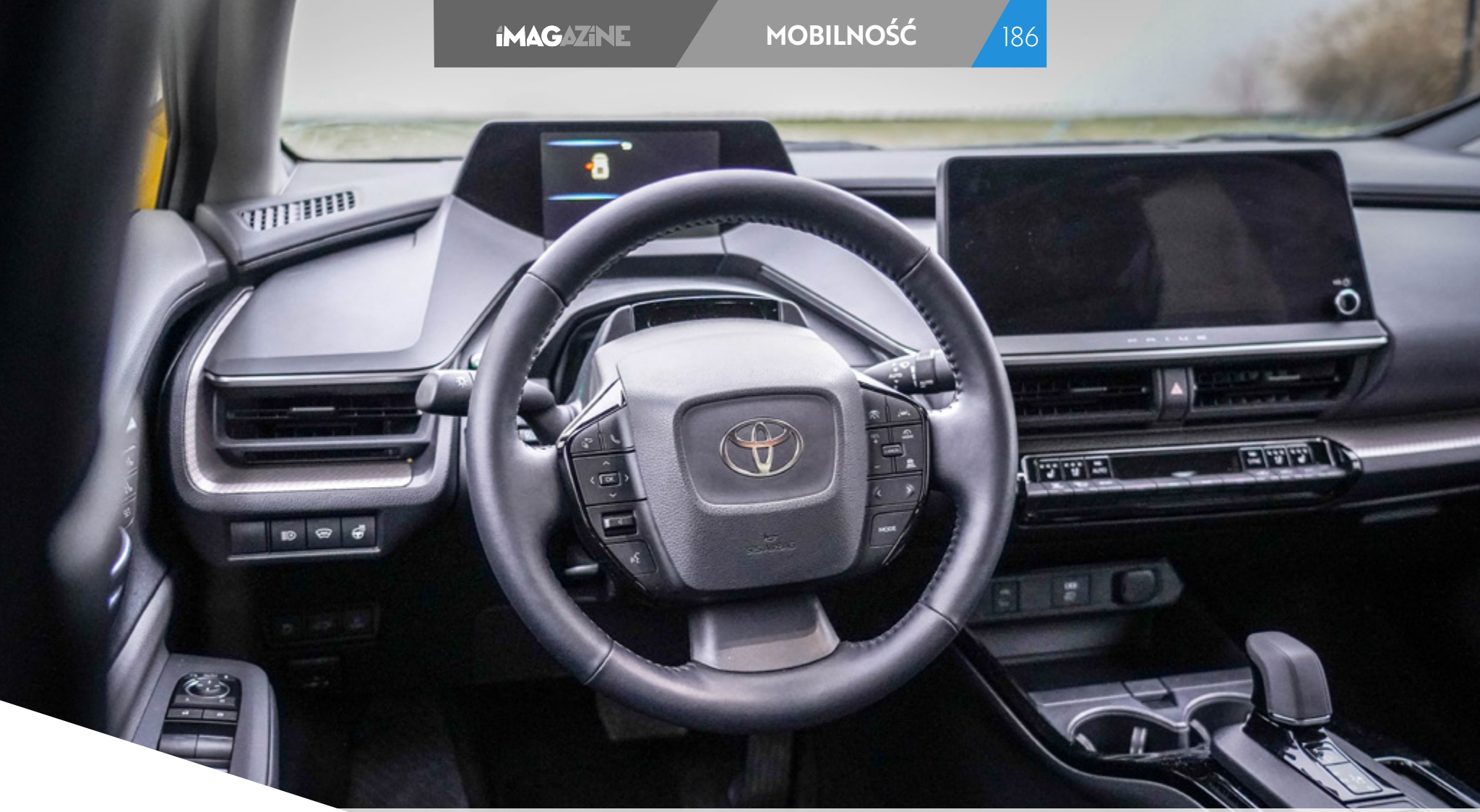

Wnętrze nie psuje dobrego wrażenia

Nowy Prius spodobał mi się również we wnętrzu: niewielka, dobrze leżąca w dłoni, wielofunkcyjna kierownica z wygodnymi w obsłudze fizycznymi przyciskami. Niewielki ekran kierowcy, na który patrzysz nad obręczą kierownicy (podobnie jest np. w nowych Peugeotach, a także – podobno, bo jeszcze nie sprawdzałem – w elektrycznych Toyotach). Do tego mamy znacznie większy, czytelny, 12,3-calowy, dotykowy ekran z płynnie działającym systemem Toyota Smart Connect (Apple CarPlay i Android Auto oczywiście działają, ale tylko Apple CarPlay jest bezprzewodowy) z pokładową nawigacją, kamerami 360° z rzutem 3D (a nie tylko z góry) i zdalną obsługą za pomocą aplikacji. Do tego minimalistycznie, ładnie zaprojektowane wnętrze z szerokim podłokietnikiem, gniazdkami USB, ładowarką indukcyjną i sprytnymi schowkami. Nic nie stuka, nie trzeszczy, do montażu nie mam najmniejszych zastrzeżeń.

Gdy przesiadłem się na tylną kanapę, miejsca na nogi miałem mnóstwo, jednak opadający dach sprawia, że nad głową wysokim osobom (powyżej 180 cm) może tej przestrzeni trochę brakować. Z tyłu również jest szeroki podłokietnik z dwoma uchwytami na napoje, są gniazdka USB, jedynie komfort termiczny będzie uzyskiwany trochę dłużej ze względu na brak wylotów wentylacji w tunelu centralnym. Jednak i tak najsłabszym

punktem Priusa w kontekście jego funkcjonalności w roli codziennego auta rodzinnego jest bagażnik. W aucie mierzącym 4,6 metra pojemność 284 litry to słaby wynik. Owszem, bagażnik jest szeroki, po złożeniu oparć kanapy mamy całkowicie płaską powierzchnię, ale opadająca linia dachu sprawia, że pod olbrzymią taflą szkła tylnej, elektrycznie sterowanej klapy zmieścimy niezbyt wysokie walizki. To też pokazuje, że projektanci Toyoty wyraźnie chcieli, by nie kojarzono już Priusa z taksówkami. Bo akurat do tego celu najnowsza generacja kiepsko się nadaje właśnie ze względu na niewielki bagażnik. Na plus dostępność gniazdka 230 V w bagażniku – energii do laptopa nawet w długiej podróży nie zabraknie.

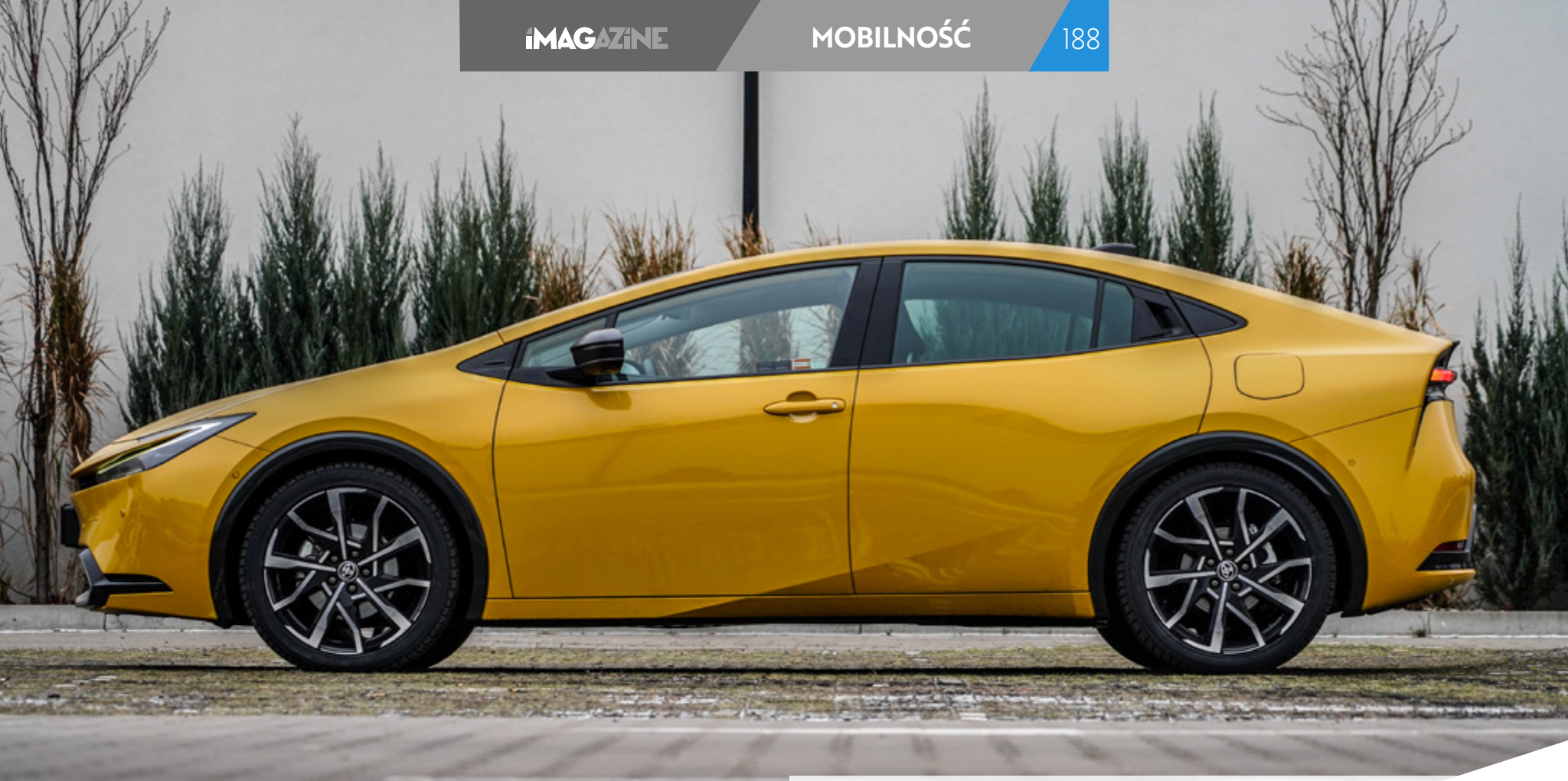

Dynamiki nie brakuje

Auto korzysta z jedynego dostępnego w Europie dla tego modelu typu napędu: jest hybrydą plug-in. Umieszczony pod maską 2-litrowy silnik benzynowy TNGA z bezpośrednim wtryskiem (kolejny antyargument dla taksówkarzy – tego silnika nie da się tak łatwo zagazować jak jednostki z pośrednim układem wtryskowym) wytwarza 152 KM, koła napędza też przedni silnik elektryczny o mocy 160 KM. Systemowa moc nowego Priusa PHEV to konkretne 223 KM. W stosunku do Priusa PHEV poprzedniej generacji (miał tylko 122 KM) to przepaść. Moc ta przenoszona jest na przednią oś oczywiście za pośrednictwem skrzyni e-CVT (w końcu to Toyota). Na brak dynamiki nie można narzekać, ten model jest w stanie uzyskać 100 km/h w czasie 6,7 sekundy. Dekadę temu byłby to wynik godny hothatcha. Choć trzeba mieć na

uwadze, że wdepnięcie pedału przyspieszenia w podłogę daje średnie (delikatnie rzecz ujmując) wrażenia akustyczne.

Nisko umieszczona bateria trakcyjna (pod tylną kanapą), usztywnione nadwozie i niski środek ciężkości sprawiają, że auto bardzo dobrze się prowadzi. Jest zwinne, zwrotne i chętne do współpracy. Żadnego myszkowania po pasie ruchu, żadnej niepewności. Pomaga w tym również optymalnie zestrojone pod względem sprężystości zawieszenie, dobrze radzące sobie z typowo drogowymi przeszkodami. Doceniam też fakt, że sensory umieszczone na kolumnie kierownicy analizują wzrok kierowcy. Gdy choć na kilka sekund odwrócisz wzrok od drogi, Prius optycznie i akustycznie wytrąci Cię z roztargnienia.

Czy jest oszczędny? Owszem, ale...

A jak z zużyciem energii i paliwa? Akumulator trakcyjny nowego Priusa ma użyteczną pojemność 13,6 kWh. Nie jest to dużo, choć sporo więcej niż w poprzedniej generacji Priusa PHEV, a ponadto zwiększono gęstość ogniw, dzięki czemu bateria mimo większej pojemności nie jest ani

specjalnie cięższa, ani większa niż u poprzednika. Jednak dziś na rynku można spotkać hybrydy plug-in z większą baterią. Niemniej opływowy kształt nadwozia, wysoka efektywność energetyczna napędu i przeprojektowanie układu napędowego w celu minimalizacji jakichkolwiek strat energetycznych poskutkowały imponującym zasięgiem w teście WLTP. W trybie elektrycznym auto jest w stanie pokonać (w laboratoryjnych warunkach testu WLTP) na prądzie dystans 86 km. W praktyce będzie gorzej, ale wynik przekraczający 50 km przy temperaturach ujemnych przy takiej pojemności baterii jest bardzo dobrym rezultatem. Jestem pewien, że latem zbliżyłbym się bez specjalnych trudności do 70 km na samym prądzie. Natomiast jeżeli chodzi o zużycie paliwa po rozładowaniu baterii, to mam dylemat. Z jednej strony 6 l/100 km w jeździe mieszanej dla auta o takiej mocy jest bardzo dobrym wynikiem. Z drugiej – jak na Priusa – bez rewelacji. Oczywiście należy pamiętać, że to hybryda plug-in, a nie klasyczna hybryda. Klasycznego HEV-a w Priusie najnowszej generacji Toyota w Europie nie oferuje (ale np. w USA – już tak).

Solary na dachu? Świetny pomysł

Model ten wyróżnia jeszcze jedno, unikatowe wręcz w masowej motoryzacji rozwiązanie: panele solarne na dachu. Spotkałem się wielokrotnie z opiniami, że to marketing, że to nic nie daje. Mam na ten temat

zupełnie inne zdanie. Owszem, panele w Priusie były już wcześniej, ale w najnowszej generacji mogą one dostarczać energię do akumulatora bezpośrednio (mniejsze straty). Dlaczego to nie jest tylko marketing? Trzeba wyjść poza schemat i spojrzeć na problem zużycia energii holistycznie.

Auto, którym dysponowałem, zostało zarejestrowane w lipcu 2023 roku. Gdy oddawałem je do parku prasowego Toyoty, łączny przebieg po mojej jeździe i wszystkich poprzednich testerach wynosił 11 669 km. Grudzień, jak wiemy, to raczej kiepski czas na fotowoltaikę. Nie dość, że pogoda przez cały tydzień użytkowania auta była fatalna (bardzo pochmurno, mróz, śnieg), to jeszcze dni najkrótsze w roku. Np. w dniu, w którym zwracałem Priusa, jego panele wygenerowały pozornie żałosną ilość energii, zaledwie 3 Wh. Od początku eksploatacji testowanego egzemplarza (komputer pokładowy wyświetla taką informację) solarny

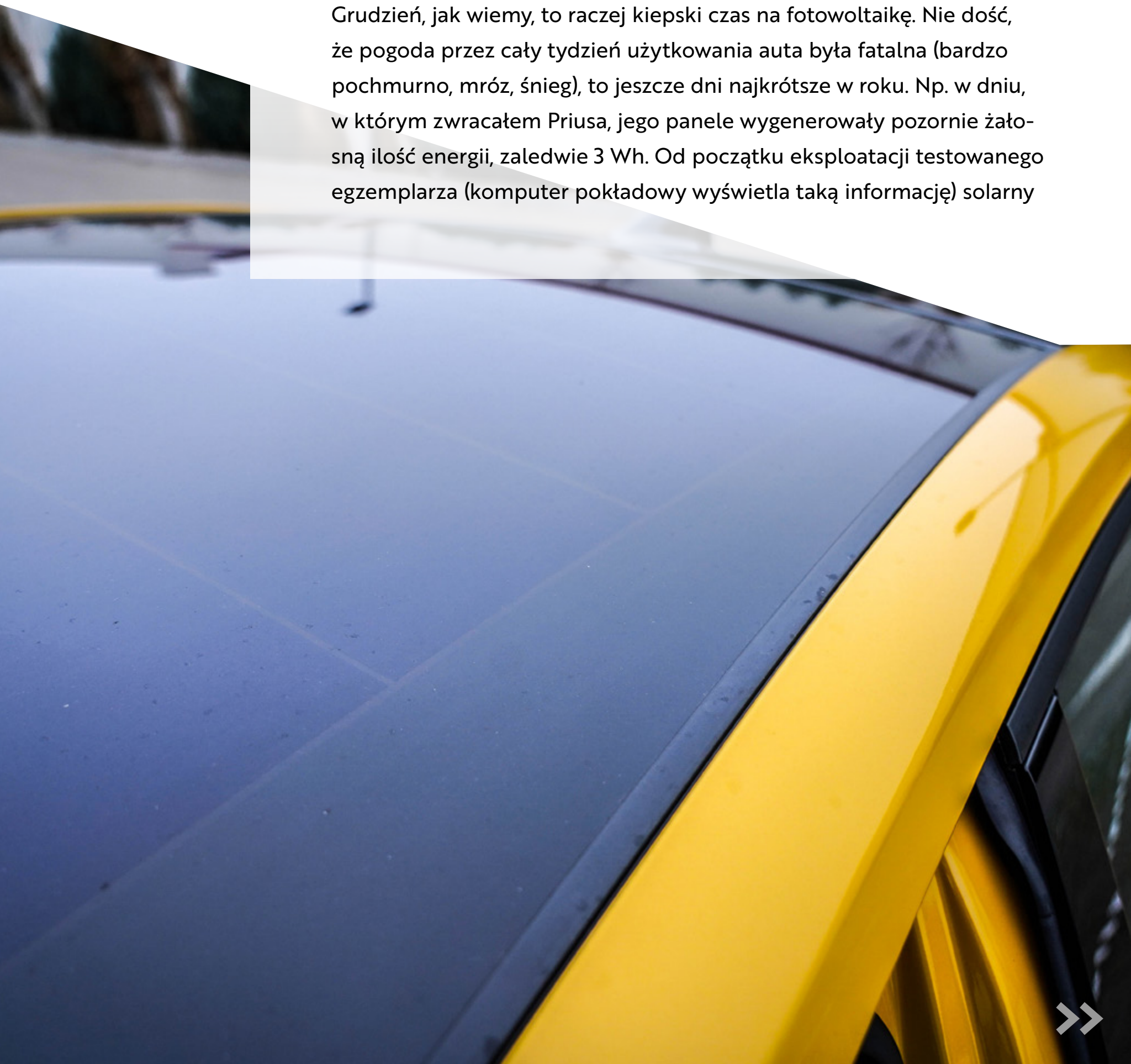

dach wyprodukował „tylko” 22,8 kWh. To nie starczyłoby nawet na dwukrotne naładowanie akumulatora trakcyjnego tego auta. Przez ponad pięć miesięcy! Kiepsko, prawda? Otóż nie, tylko trzeba zmienić myślenie.

Na świecie jest obecnie jakieś 1,2 miliarda (!) samochodów osobowych. Koszt niewielkich paneli na dachu jest relatywnie niewielki wobec ceny całego auta (fakt, Prius tani nie jest, ale do tego jeszcze wrócę). Testowany Prius w ciągu 5 miesięcy (z okładem) wyprodukował niecałe 23 kWh energii, co miesięcznie daje mniej niż 4,6 kWh. Mało, prawda? A teraz pomnóżcie to przez 1,2 miliarda aut. Pomogę: to ponad 5,5 TWh energii elektrycznej miesięcznie, czyli rocznie byłoby to hipotetycznie ponad 66 TWh. Dla porównania największy pojedynczy emitent CO2 świata, Elektrownia Bełchatów, zarazem największy pojedynczy zakład produkcji energii elektrycznej w Polsce i jeden z największych w Europie, produkuje rocznie ok. 28 TWh energii, zużywając do tego celu niemal 40 mln ton węgla brunatnego! Ile mniej emisyjnej energii zużyłby światowy transport, gdyby każdy pojazd miał takie rozwiązanie jak Prius?

Toyota Prius Plug-in Executive

- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 5/6

Plusy:
- Proporcje dalej są nietypowe, ale auto wygląda świetnie
- Znakomita efektywność energetyczna
- Niezła dynamika i precyzyjne prowadzenie
- Intuicyjna obsługa systemu i szerokie wsparcie kierowcy
- Nowoczesne, minimalistyczne wnętrze z bogatym wyposażeniem

Minusy:
- Niewielki bagażnik jak na gabaryty i segment
- Brzmienie silnika podczas dynamicznej jazdy

Podsumowując, Toyota przygotowała bardzo ciekawy pojazd. Nowoczesna, wpadająca w oko stylistyka, bogate wyposażenie, bardzo efektywny energetycznie napęd, prosta obsługa, niezła dynamika i prowadzenie. Ile kosztuje? W cenniku Toyoty nowy Prius, przypomnę, dostępny zawsze jako PHEV, startuje obecnie w promocyjnej ofercie wyprzedaży rocznika 2023 od 188 900 zł. Testowany przeze mnie egzemplarz to topowo wyposażona wersja Executive. Auto widoczne na moich zdjęciach (przy okazji dziękuję Sony Polska za użyczenie Sony Alpha A7 III + szkło SEl24105G) wycenione zostało na kwotę 242 400 zł. To nie jest mała kwota, czas pokaże też, czy klienci docenią znaczną poprawę stylu w imię poświęconej funkcjonalności (bagażnik). Ja doceniam odwagę i podejście do efektywności energetycznej.

DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

Cupra Formentor VZ5
¡Qué pasada!

Cupra Formentor to prawdziwie autorski model młodej, hiszpańskiej, celującej w sportowe gusta marki. Najładniejsze auto na platformie MQB Evo Grupy VW i najlepiej sprzedający się samochód Cupra. W wydaniu VZ5 Formentor jest też wyjątkowy.

Zacznijmy od tego, że Cupra Formentor VZ5 to w najmocniejsza i najbardziej ekskluzywna wersja kompaktowego crossovera hiszpańskiej marki. Jest to pierwszy i obecnie jeden z dwóch autorskich modeli w portfolio Cupry. Drugim jest w pełni elektryczna Cupra Born, o której miałem okazję wam opowiedzieć w numerze iMagazine 10/2023. Co wyróżnia topowego Formentora? Zacznijmy od najważniejszego.

Nazwa wersji VZ5 to połączenie hiszpańskiego słowa Veloz (co znaczy „szybko") i liczby 5, która ma tutaj szczególne znaczenie. Otóż pod maską pomalowanego na piękny, matowy lakier Petrol Blue testowanego crossovera, znajdowała się jednostka, która jeszcze przed rynkowym debiutem limitowanej wersji VZ5 trafiała tylko do jednej marki: Audi. To 2,5-litrowy, turbodoładowany, 5-cylindrowy silnik. Nie wiem, co musieli zrobić szefowie Cupry, by przekonać markę Audi do udostępnienia tej jednostki. A przypomnę, to silnik, który trafia m.in. do takich aut jak Audi RS3 (w obydwu wariantach nadwozi tego modelu), czy Audi Q3 RS. Nigdy wcześniej szefowie marki z Ingolstadt nie udostępnili tej jednostki innym producentom skupionym w Grupie Volkswagen.

A nie jest to byle jaki silnik. Turbodoładowana jednostka 2.5 TSI pracująca pod maską najszybszego Formentora oferuje kierowcy 390 KM mocy

maksymalnej, przekazywanej na obie osie za pośrednictwem ultraprecyzyjnej i bardzo szybkiej (w trybach sportowych) siedmiobiegowej dwusprzęgłówki. Owszem, to o 10 KM mniej niż w dysponującym tą samą jednostką Audi RS3, ale nie jest to różnica istotna, bo Formentor okazuje się być modelem znacznie bardziej uniwersalnym. W ekstremalnym trybie przy wykorzystaniu procedury Launch Control i dobrych warunkach drogowych auto jest w stanie uzyskać 100 km/h w czasie 4,2 sekundy, a to już konkretny wynik. Zresztą wielu użytkownikom udaje się go jeszcze poprawić o 0,2 sekundy bez jakichkolwiek modyfikacji fabrycznej jednostki. Mnie nie udało się uzyskać lepszego wyniku, ale zimowe warunki nie ułatwiały zadania. Absolutnie nie zmienia to zasadniczej cechy tego wozu: to diabelnie szybki crossover. Informacyjnie

tylko dodam, że prędkość maksymalna została tu elektronicznie ograniczona do 250 km/h. Jednak same cyfry nie oddają tego, jak różny charakter może mieć topowy Formentor. Z jednej strony ten crossover potrafi być wyjątkowo agresywny, zrywny, wręcz wyczynowy. Z drugiej, gdy korzystasz z trybu jazdy o nazwie Comfort, staje się bardzo przyjemnym, rodzinnym autem.

Słowo „rodzinnym" nie padło przypadkiem, bo Formentor w swoim segmencie oferuje naprawdę wiele wygód. Przy długości 4450 mm i rozstawie osi 2680 mm samochód ten okazuje się zaskakująco przestronny. Agresywna, sportowa sylwetka nie wyrugowała funkcjonalności. Gdy usiadłem sam za sobą (mam 177 cm wzrostu) przed moimi kolanami było sporo miejsca do gładkiego karbonu, którym wykończono tył doskonałych, kubełkowych, kapitalnie trzymających ciało foteli przednich obecnych w wersji VZ5. Miejsca nad głową również nie zabraknie i to sporo wyższym ode mnie. Pod otwieraną elektrycznie klapą bagażnika mamy do dyspozycji konkretne 420 litrów funkcjonalnej przestrzeni na bagaże. To znacznie więcej niż Audi RS3 (w obu wersjach nadwozia), choć nieco mniej niż Audi Q3 RS.

Oczywiście sama przestronność to nie wszystko, bo cechą wyróżniającą VZ5 jest również bardzo bogate wyposażenie już w standardzie. Na pokładzie VZ5 możemy liczyć m.in. na trójstrefową klimatyzację z filtrem AirCare

i czujnikiem jakości powietrza, zaskakująco dobrze grający system BeatsAudio o mocy 340 W z dziewięcioma głośnikami, subwooferem i dźwiękiem surround. Gniazdek USB (tylko USB-C) nie zabraknie nikomu, na pokładzie mamy też topowe multimedia Navi System+ z 12-calowym, dobrej jakości, ekranem dotykowym w konsoli centralnej. Znalazłem też ładowarkę indukcyjną. Oczywiście nie zabrakło bezprzewodowego Android Auto i Apple CarPlay, czy wirtualnego kokpitu z ekranem 10,25" przed kierowcą. Aha, przednie fotele są też podgrzewane. To, co wymieniłem w tym akapicie, stanowi wyposażenie standardowe Formentora VZ5.

A to nie wszystko. Kierowca może liczyć na pełną emocji, bardzo angażującą jazdę. Szczególnie gdy zdecyduje się na włączenie za pomocą jednego z dwóch przycisków umieszczonych na kierownicy trybu Cupra (drugi to starter silnika). Moim zdaniem jest on nawet zbyt agresywny na drogi publiczne. Skrzynia wówczas trzyma wysoko obroty, redukuje nawet o kilka przełożeń, działa błyskawicznie. W trybie Sport wciąż mamy mnóstwo emocji, ale też nieco spokojniejsze zachowanie silnika i skrzyni. O zaletach trybu Comfort już wspomniałem. Trzeba jednak mieć na uwadze, że w tym ostatnim reakcja

na kickdown jest spóźniona. Jeżeli chcecie uniknąć tej zwłoki, warto korzystać z trybu Sport, bo tryb Cupra to już raczej do zabawy na torze. To nie wszystkie atrakcje, bo Formentor VZ5 oferuje jeszcze jeden, ukryty w menu pokładowym tryb Drift. Nazwy nie muszę wyjaśniać, jak i dodawać, że na drogach publicznych nie powinniśmy z niego korzystać.

W standardzie możemy tu liczyć na kompletny zestaw systemów wsparcia kierowcy: Front Asisst, Lane Assist Plus, rozpoznawanie zmęczenia, rozpoznawanie znaków drogowych, predykcyjny, adaptacyjny tempomat, matrycowe reflektory z asystentem świateł drogowych, monitorowanie martwego pola z asystentem wysiadania (ostrzeże przed nadjeżdżającym pojazdem, gdy zechcesz wysiąść), asystenta parkowania z czujnikami, ze wspomaganiem wyjazdu z miejsca

parkingowego i systemem kamer 360°, asystenta jazdy w korku, czy Emergency Assist (gdy zasłabniesz, auto samo się zatrzyma, włączy światła awaryjne i powiadomi służby ratunkowe). I za to wszystko klient wybierający wersję VZ5 nie musi nic dopłacać.

To zupełnie odmienne podejście od tego stosowanego przez Audi. Tu muszę odnieść się do ceny. Wielu kolegów z branży motoryzacyjnej podkreśla, że owszem, Formentor VZ5 jest świetny, ale też drogi. Zwykle o cenie piszę na końcu, tym razem zmienię schemat. W cenniku marki wersja VZ5 startowała od 324 600 zł. Auto, które widzicie na zdjęciach, to już okolice 350 tys. zł, ale jest ono doposażone niemal maksymalnie, opcją są m.in.: elektrycznie otwierany dach panoramiczny czy bardzo dobrze się prezentujący pakiet skórzany Petrol Blue Cupra Performance, dzięki czemu we wnętrzu mamy siedziska obite skórą, w świetnie dobranym pod nadwozie kolorze Petrol Blue. Tym samym materiałem wykończono również

boczki drzwi. Czy 350 tys. zł to drogo? Owszem, ale choć bazowe Audi RS3 Sportback startuje od 292 400 zł, to po doposażeniu tego modelu w opcje obecne na pokładzie Cupry cena może przekroczyć nawet 400 tys. zł. Równie bogato wyposażone Audi Q3 RS będzie jeszcze droższe.

Wracając do Cupry... Testowany egzemplarz wyposażono w 20-calowe felgi, które w tym wariancie są standardowym wyposażeniem. Ze względu na warunki w grudniu auto otrzymałem z oponami zimowymi Bridgestone Blizzak LM005 w rozmiarze 255/35R20 na obu osiach. Owszem, profil niski, ale inżynierowie Cupry, projektując nastawy adaptacyjnego zawieszenia DCC (to również standardowe wyposażenie) dla tego wariantu, wykonali kawał dobrej roboty. Nie trzeba się obawiać poluzowania plomb w zębach. Moje plecy nawet po dłuższej trasie informowały „jest dobrze", a dusza wołała „jeszcze!". Spora w tym również zasługa wspomnianych sportowych foteli zapewniających zaskakujący komfort. Zaletą VZ5 jest też układ hamulcowy. Pomalowane na miedziany kolor zaciski wyczynowych hamulców Akebono obejmujące duże, wentylowane tarcze skutecznie utrzymują temperament Formentora VZ5 w ryzach.

A jak ze spalaniem? W kontekście blisko 400-konnego, sportowego crossovera to pytanie z gatunku: „Czy ten torcik jest kaloryczny?". Owszem, spokojna jazda drogami krajowymi może sprawić, że komputer wskaże średnią nieco powyżej 7 l/100 km (w trybie Comfort; utrzymywanie ciśnienia doładowania w trybach sportowych oznacza, że zużycie będzie wyższe). Równa

jazda autostradą to okolice 11–12 l/100 km, zatłoczone miasto i dobiegasz 14 l/100 km. Sportowa, angażująca jazda? Sky is the limit.

Bardzo polubiłem to auto. Nie tylko za jego dynamikę i sportowe kompetencje. Bardziej za uniwersalność, której brakuje np. w Audi RS3. Warto pamiętać o jeszcze jednym aspekcie, który czyni z testowanej wersji samochód wyjątkowy. Cupra Formentor VZ5 to limitowana edycja specjalna tego modelu. Została ogłoszona z okazji trzeciej rocznicy istnienia marki. Plan zakładał wyprodukowanie zaledwie 7000 egzemplarzy tego wariantu. Tego modelu nie da się już zamówić za pomocą konfiguratora Cupry. Nie jest on też dostępny w najnowszym, przygotowanym na rok 2024 cenniku marki dla modelu Formentor. Podpowiem jednak, że dealerzy w Polsce mają jeszcze kilka nowych egzemplarzy. Nie trzeba nikomu tłumaczyć, że zadbany egzemplarz Formentora VZ5 za kilka lat ma szansę stać się samochodem, który będzie bardzo poszukiwanym modelem na rynku wtórnym.

Cupra Formentor VZ5 ★★★★★★

- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 4,5/6
- Wydajność: 6/6

Plusy:
- Świetny, nieprzesadnie agresywny design
- Imponująca dynamika, kapitalne prowadzenie
- W trybie Cupra to niemal auto wyczynowe
- W trybie Comfort to rodzinny, kompaktowy crossover
- Wewnątrz jest wygodniej niż w Audi RS3

Minusy:
- Zauważalne opóźnienie reakcji na gaz w „cywilnych” trybach jazdy

WYBUCHOWY I ELEKTRYZUJĄCY iMAG MOTO

iMAGAZiNE

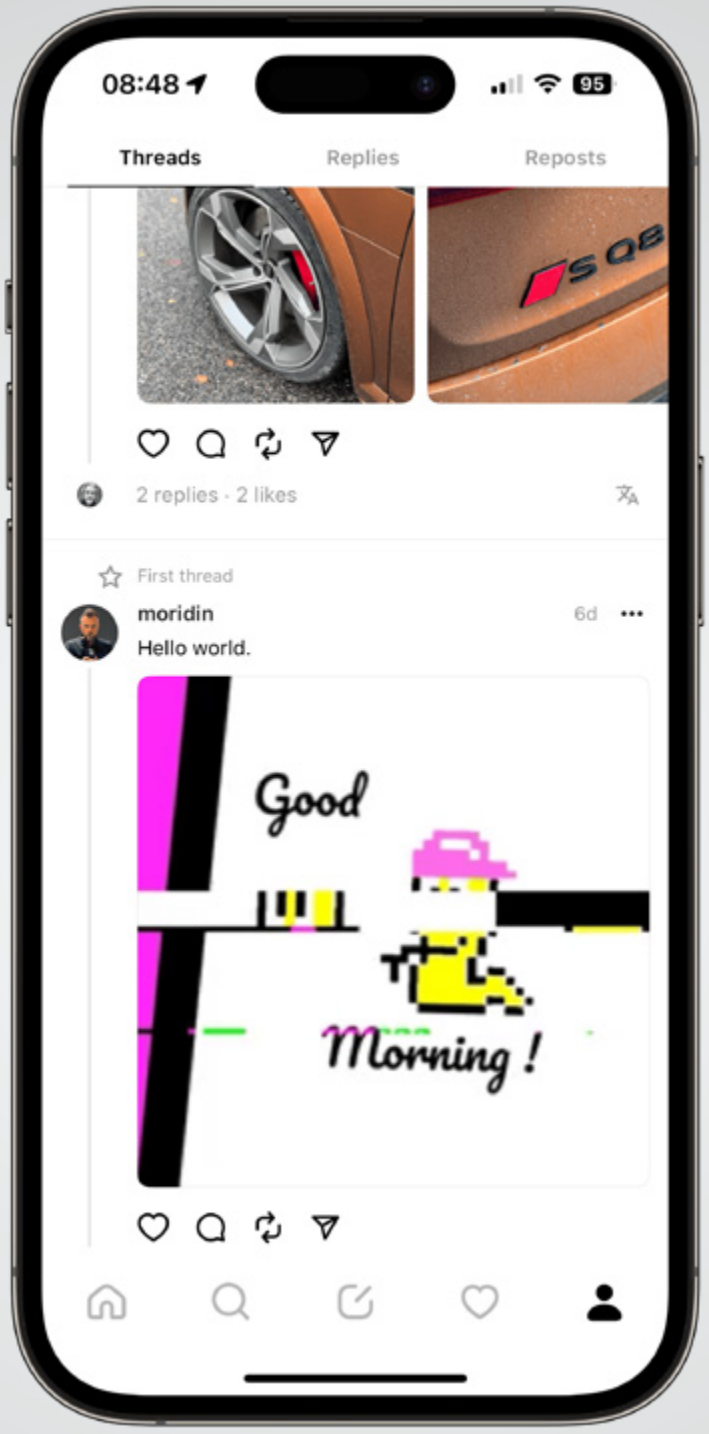

WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

Threads – pierwsze wrażenia

Threads od Instagrama, konkurencja dla Twittera, w końcu pojawiła się w Europie już oficjalnie. Zasady prywatności ma dokładnie takie same jak Instagram, więc wiecie, w co się pakujecie.

Założyłem konto na Threads z przeniesieniem swoich followersów z Instagrama i przy okazji algorytm sukcesywnie mi podpowiada nowych. Przeniosłem również bio oraz avatara. Wszystko było niesamowicie proste i przyjemne. Pseudonim mam oczywiście ten sam w obu miejscach – @moridin na Threads i @moridin na Instagramie. Jako ciekawostkę podpowiem jeszcze, że Threads app na iPhonie czy Androidzie można używać bez konta, w trybie czytania.

> UX i UI są wystarczająco dobre jak na wersję 1.0. Daleko im oczywiście do wyrafinowania Tweetbota, Ivory czy innych tego typu high-endowych narzędzi, ale działa sprawnie.

UX i UI są wystarczająco dobre jak na wersję 1.0. Daleko im oczywiście do wyrafinowania Tweetbota, Ivory czy innych tego typu high-endowych narzędzi, ale działa sprawnie. Niestety, zauważyłem zwiększone zużycie energii względem Ivory czy wcześniej Tweetbota, ale to częściowo też może dlatego, że po prostu więcej korzystam z obu tych aplikacji od Meta.

Ponieważ timeline bez algorytmu obecnie mam na Mastodonie, za pomocą Ivory dla iOS oraz dla macOS, a na Twitterze przestałem zupełnie czytać timeline, bo „duże dziecko" wyłączyło API dla aplikacji trzecich, to na Threads postanowiłem całkowicie poddać się algorytmowi. Wiem mniej więcej, czego się po nim spodziewać na przykładzie IG, więc tutaj powinno być podobne. Na razie jest jeszcze za wcześnie, aby wyrobić sobie konkretne zdanie na temat tego, jak i jakie serwuje mi treści, ale już widzę, że bardziej mi się tutaj podoba niż na algorytmicznym timeline na Twitterze. Integracja z IG jest... wystarczająca na początek, ale czekam na więcej!

Fakt, że Elon Musk jest jeszcze większym złem niż Mark Zuckerberg, nie wybiela tego ostatniego, więc zachowuję dystans, ale na razie chyba tutaj zostanę i zobaczę, gdzie ta droga mnie doprowadzi.

Threads – iOS – za darmo

PawelJonca.com

Miśka pewnie już znasz?

Poznaj resztę ekipy...

WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

w partnerstwie z Orbx

Boeing Field (KBFI)

Boeing Field (IATA: BFI, ICAO: KBFI), znany również jako King County International Airport, ma bogatą i fascynującą historię, która rozpoczęła się na początku XX wieku. Jego rozwój ściśle wiązał się z komercjalizacją przemysłu lotniczego w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza z firmą Boeing, która odegrała kluczową rolę w historii tego lotniska.

Lotnisko zostało oficjalnie otwarte w 1928 roku, a jego powstanie było odpowiedzią na rosnące zapotrzebowanie na infrastrukturę lotniczą w regionie Seattle. KBFI szybko stało się kluczowym punktem dla rozwoju lotnictwa na Północno-Zachodnim Pacyfiku, przyciągając uwagę zarówno wojskowych, jak i cywilnych użytkowników. W latach 30. XX wieku KBFI zyskało na znaczeniu, gdy firma Boeing rozpoczęła tu swoją działalność, czyniąc z lotniska centrum testowania i produkcji samolotów.

W czasie II wojny światowej KBFI odegrało znaczącą rolę jako baza wojskowa. Wielu pilotów i personel wojskowy przeszło tu szkolenie, a lotnisko było wykorzystywane do produkcji i testowania samolotów wojskowych. Po zakończeniu wojny KBFI wróciło do swojej cywilnej funkcji, kontynuując wspieranie lokalnego przemysłu lotniczego i stając się ważnym centrum dla lotnictwa ogólnego i komercyjnego.

EUREGIO
30 YEARS

UNITED
LOT
BOEING

W kolejnych dekadach KBFI nadal rozwijało się, dostosowując do zmieniających się potrzeb i technologii w lotnictwie. Lotnisko stało się domem dla wielu firm lotniczych i usług, w tym serwisu, konserwacji i naprawy samolotów. Dodatkowo, KBFI odegrało ważną rolę w historii awiacji, będąc miejscem pierwszych lotów wielu znaczących samolotów firmy Boeing, w tym słynnego Boeinga 747.

Dziś KBFI jest znaczącym lotniskiem, które nadal odgrywa kluczową rolę w przemyśle lotniczym, zarówno na poziomie lokalnym, jak i międzynarodowym. Jego historia jest świadectwem rozwoju lotnictwa i technologii, a także ważnym elementem dziedzictwa kulturalnego i technicznego regionu Seattle.

Odwzorowania Boeing Field w MSFS podjął się polski deweloper Drzewiecki Design, który jak zwykle stworzył świetny produkt – w parze z lotniskiem Renton (KRNT) stanowi idealną możliwość odwzorowania lotów testowych nowych Boeingów 737 – po wystartowaniu z Renton i odbyciu ostatniego lotu testowego samolot lądował na Boeing Field i oczekiwał tam na odbiór przez klienta.

Produkt: Boeing Field

Symulator: Microsoft Flight Simulator 2020

Objętość po zainstalowaniu: 3,96 GB

Cena: 22,39 AUD / 13,78 EUR

WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridIn

w partnerstwie z Orbx

Málaga – Costa del Sol Airport (LEMG)

Malaga – Costa del Sol (IATA: AGP, ICAO: LEMG) to ważne lotnisko w południowej Hiszpanii, które ma swoją unikalną historię i znaczące miejsce w rozwoju lotnictwa w regionie. Lotnisko jest kluczową bramą do Costa del Sol, jednego z najpopularniejszych regionów turystycznych w Europie.

Historia lotniska LEMG rozpoczyna się w pierwszej połowie XX wieku. Pierwotne lotnisko, znane jako El Rompedizo, zostało otwarte w latach 30. i służyło zarówno celom cywilnym, jak i wojskowym. W miarę wzrostu ruchu lotniczego i rosnącej popularności Costa del Sol jako celu turystycznego, potrzeba nowocześniejszej infrastruktury stała się oczywista.

W latach 60. i 70. XX wieku lotnisko przeszło serię modernizacji i rozbudowy. Budowa nowych terminali, pasów startowych i innych kluczowych udogodnień znacznie zwiększyła jego zdolności operacyjne i przyczyniła się do wzrostu ruchu turystycznego w regionie. Lotnisko Malaga stało się wówczas jednym z głównych punktów wjazdowych dla międzynarodowych turystów udających się na słoneczne wybrzeża Hiszpanii.

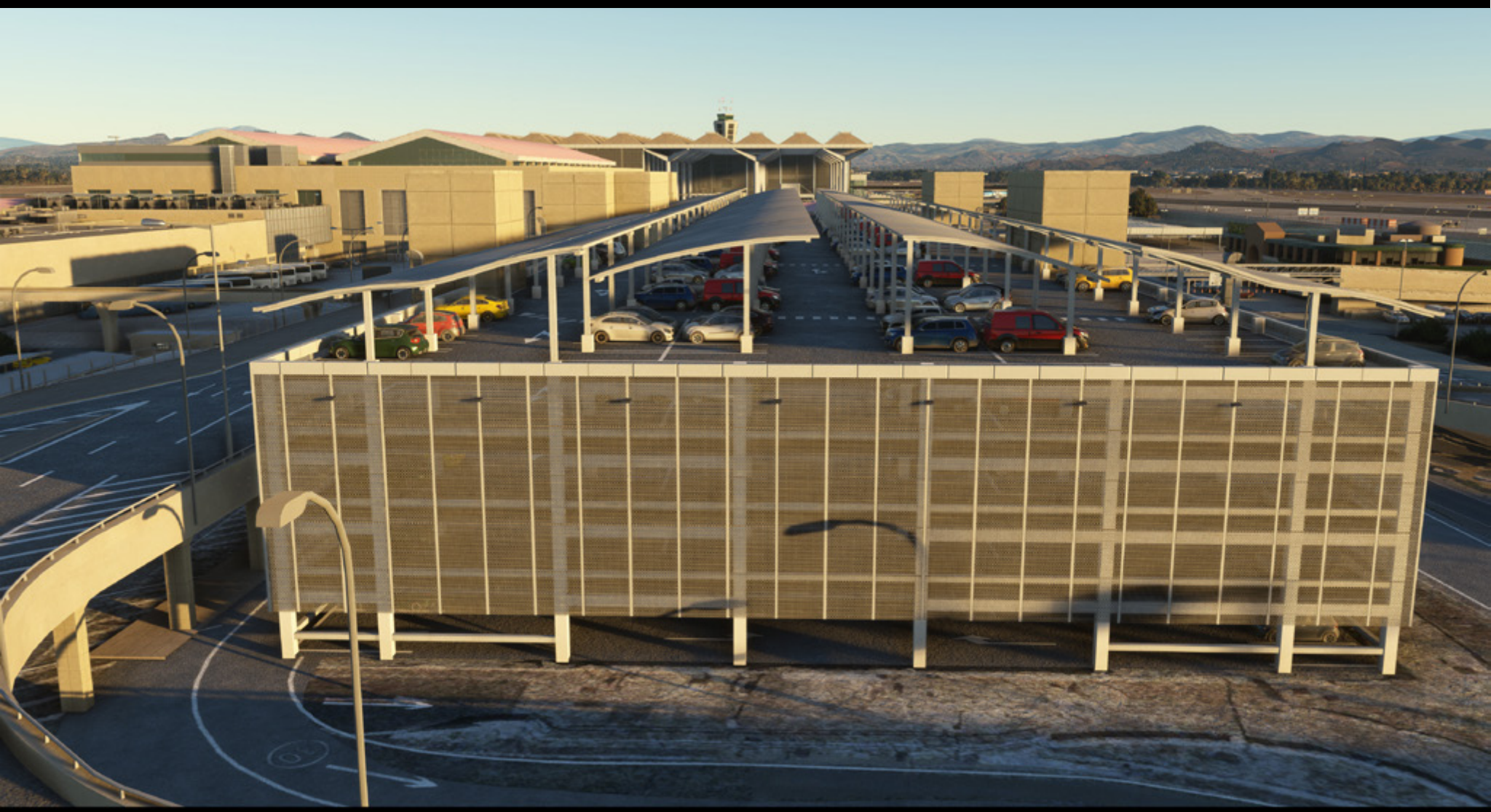

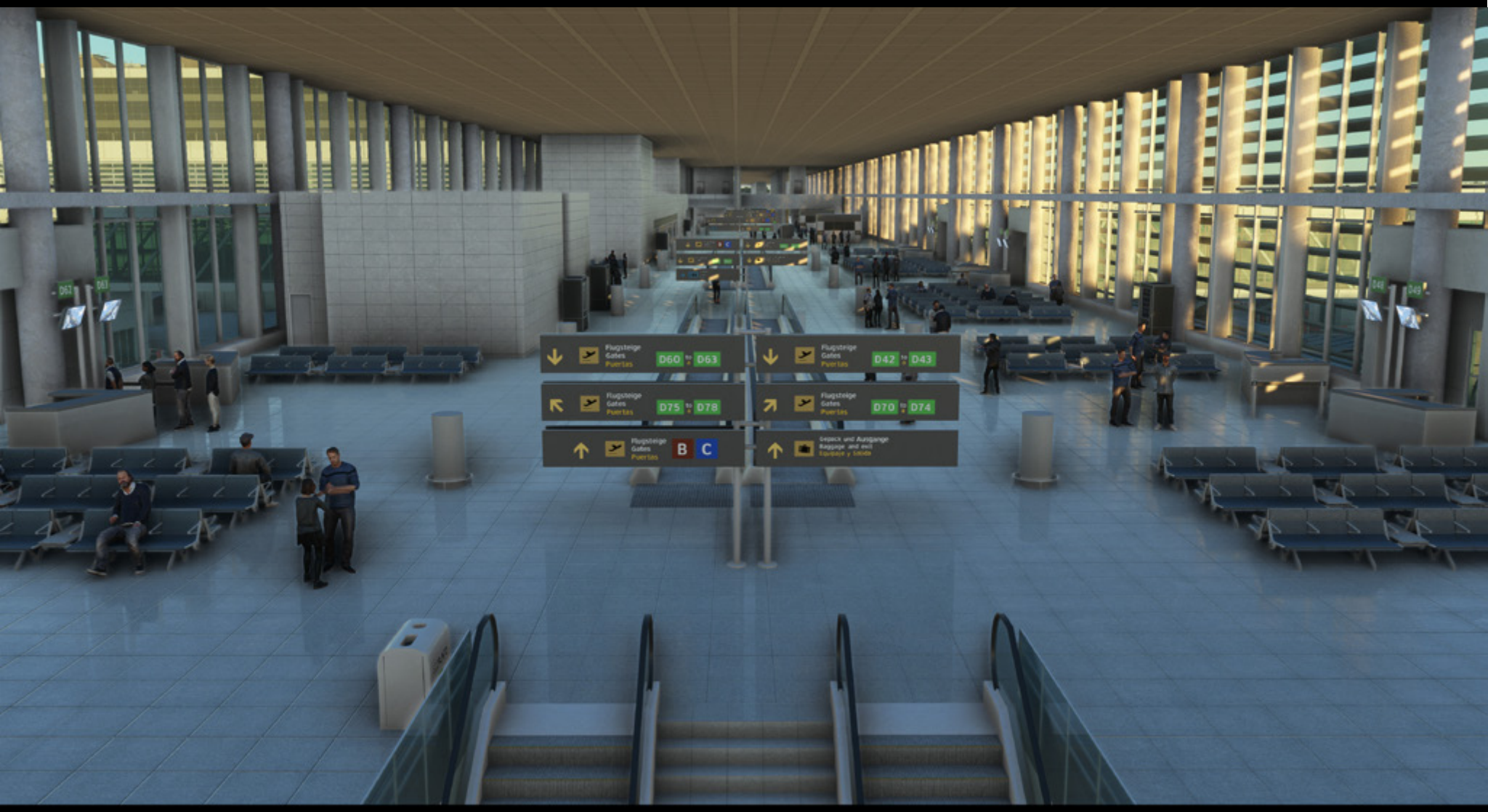
Flugsteige
Gates
Puertas
D60 to D63
Flugsteige
Gates
Puertas
D42 to D43
Flugsteige
Gates
Puertas
D75 to D78
Flugsteige
Gates
Puertas
D70 to D74
Flugsteige
Gates
Puertas
B C
Gepäck und Ausgänge
Baggage and exit
Equipaje y salida

AEROPUERTO DE MALAGA - COSTA DEL SOL

W kolejnych dekadach LEMG kontynuowało swoją ekspansję i modernizację. Rozbudowa i modernizacja terminali, poprawa infrastruktury lotniskowej i wprowadzenie nowoczesnych technologii sprawiły, że lotnisko stało się jednym z najbardziej zaawansowanych i wydajnych w regionie. Dodatkowo, rozwój lotniska szedł w parze z rozwojem turystyki na Costa del Sol, co przyczyniło się do wzrostu gospodarczego całego regionu.

LEMG jako pierwszy dla MSFS odwzorował polski MK Studios i muszę podkreślić istotę tego lotniska w Hiszpanii, w której tak wielu destynacji jeszcze nam brakuje. Mamy już Sevillę, Madryt i Barcelonę z większych, ale brakuje jeszcze wiele, więc niezwykle cieszę się, że nasz rodzimy deweloper wykonał kawał dobrej roboty przy tym lotnisku. Jak zwykle – polecam.

Produkt: Málaga – Costa del Sol Airport

Symulator: Microsoft Flight Simulator 2020

Objętość po zainstalowaniu: 1,34 GB

Cena: 27,95 AUD / 17,19 EUR

WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

w partnerstwie z Orbx

Don Mueang International Airport (VTBD)

Don Mueang International Airport (IATA: DMK, ICAO: VTBD), położone w Bangkoku, w Tajlandii, jest jednym z najstarszych działających lotnisk na świecie i ma fascynującą historię, która odzwierciedla rozwój lotnictwa w regionie Azji Południowo-Wschodniej. Jego historia rozpoczyna się w latach 20. XX wieku, kiedy to stało się pierwszym lotniskiem w Tajlandii, odgrywając kluczową rolę w modernizacji kraju i jego infrastruktury lotniczej.

Lotnisko Don Mueang zostało oficjalnie otwarte w 1914 roku, początkowo jako baza lotnicza dla tajskiego wojska. W miarę rozwoju lotnictwa cywilnego lotnisko zaczęło obsługiwać również ruch pasażerski i towarowy. W latach 20. i 30. XX wieku Don Mueang stało się ważnym centrum lotniczym w regionie, obsługując zarówno krajowe, jak i międzynarodowe loty.

W czasie II wojny światowej lotnisko było ważną bazą dla wojsk alianckich. Po zakończeniu wojny Don Mueang ponownie skoncentrowało się na lotnictwie cywilnym, przyczyniając się do rozwoju międzynarodowego ruchu turystycznego i handlowego w Tajlandii. W latach 60. i 70. XX wieku lotnisko przeszło szereg modernizacji i rozbudów, co znacznie zwiększyło jego zdolności operacyjne.

Do lat 80. i 90. XX wieku, Don Mueang stało się jednym z najbardziej ruchliwych lotnisk na świecie. Rozwój turystyki w Tajlandii i wzrost gospodarczy regionu sprawiły, że lotnisko stało się kluczowym węzłem komunikacyjnym w Azji Południowo-Wschodniej. W tym okresie Don Mueang było głównym lotniskiem Bangkoku, obsługującym większość ruchu międzynarodowego i krajowego.

Z początkiem XXI wieku, aby sprostać rosnącemu ruchowi lotniczemu, w Bangkoku otwarto nowe lotnisko – Suvarnabhumi. W rezultacie Don Mueang zostało zamknięte na krótki czas, ale później zostało ponownie otwarte, głównie do obsługi lotów krajowych i niskokosztowych. Dziś Don Mueang jest ważnym hubem dla tanich linii lotniczych i nadal pełni kluczową rolę w sieci transportowej Tajlandii.

Jego historia jest odzwierciedleniem nie tylko rozwoju lotnictwa w regionie, ale także dynamicznego wzrostu i zmian, które zachodziły w Tajlandii i Azji Południowo-Wschodniej w ciągu ostatniego wieku. Don Mueang International Airport pozostaje ważnym symbolem historycznym i kluczowym elementem infrastruktury transportowej Bangkoku.

Siamflight, deweloper odpowiedzialny za VTBD, nie jest tak dobry, jak twórcy innych lotnisk, o których tutaj wspominam, jednak wszyscy tworzą produkty, obok których należy przejść obojętnie. Prawda jest taka, że do wnętrza terminala zaglądamy zazwyczaj raz lub dwa, a potem skupiamy się na płycie lotniska. Don Mueang jest bazą ogromnej liczby historycznych lotów na starszych maszynach i świetnym punktem dla regionu, łączący Bangkok z Singapurem, Hong Kongiem i wieloma innymi miastami. Z tego powodu warto go mieć w swoim arsenale.

Produkt: Don Mueang International Airport

Symulator: Microsoft Flight Simulator 2020

Objętość po zainstalowaniu: 0,81 GB

Cena: 30,00 AUD / 18,45 EUR

Jaki rower
wybrać,
by bezpiecznie
przewozić
małe dziecko?

1/2

www.roweremzdzieckiem.pl

2/3

Jak przygotować
rower do
przewozu dzieci?

#bikewithkids

3/3

Jak jeździć
z dzieckiem na
rowerze?

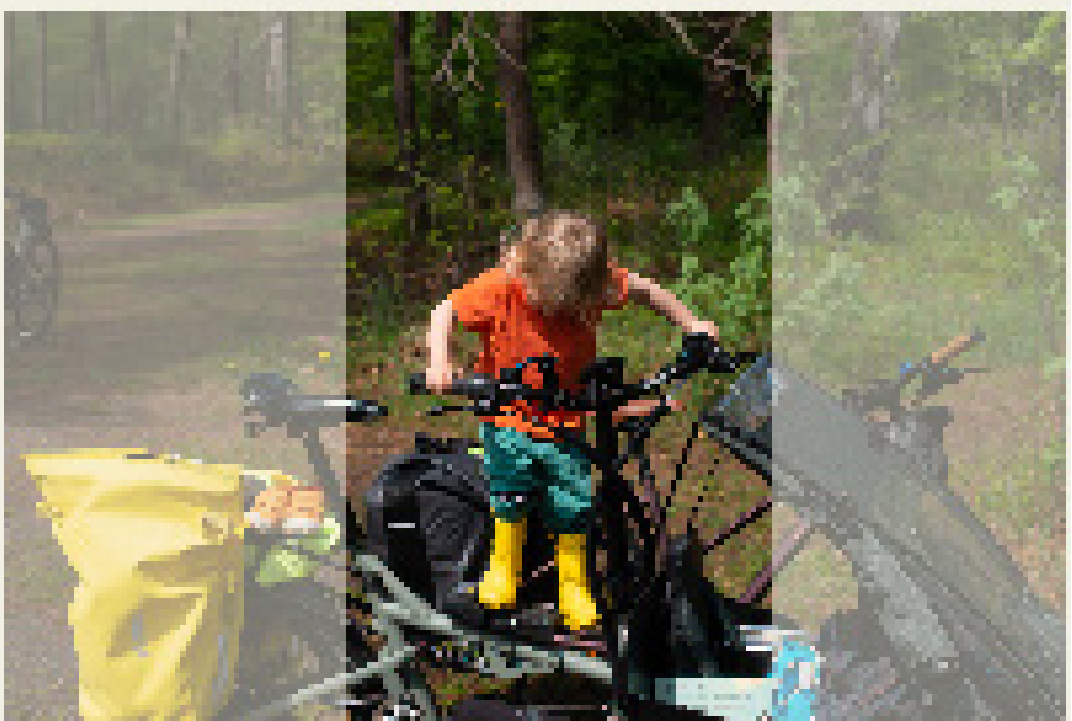

MACIEJ SKRZYPCZAK
@mskrzypczak

Dostosuj ustawienia 5G w iPhonie do swoich potrzeb

Standardem transmisji sieci komórkowej póki co jest 5G. W iPhone'ach jest wspierany już od wersji 12. Standard ten pozwala na szybkie transfery. Z drugiej strony potrafi też negatywnie wpłynąć na zużycie baterii. A gdyby mieć nad tym większą kontrolę?

Domyślnie rolą kontrolowania użycia sieci 5G zajmuje się system – w naszym przypadku iOS. Jeśli jednak w danym momencie bardzo zależy nam na prędkości transferu, lepszej jakości połączeń lub gdy chcemy jak najbardziej zaoszczędzić energię – z pomocą przychodzą ustawienia transmisji.

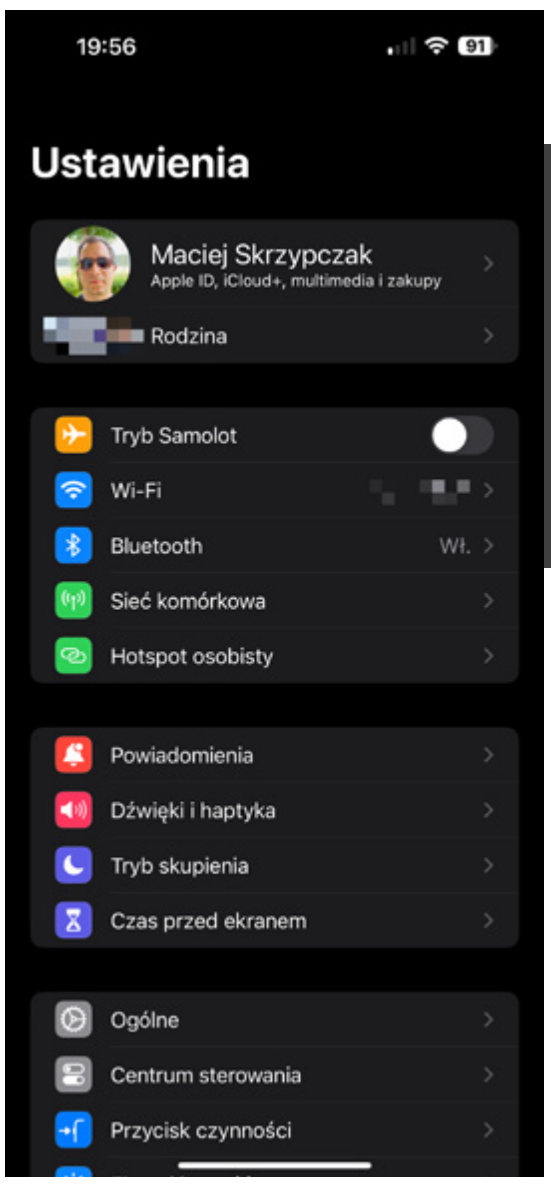

Po uruchomieniu Ustawień odszukujemy **Sieć komórkową**.

Następnie wchodzimy w **Opcje danych komórkowych**.

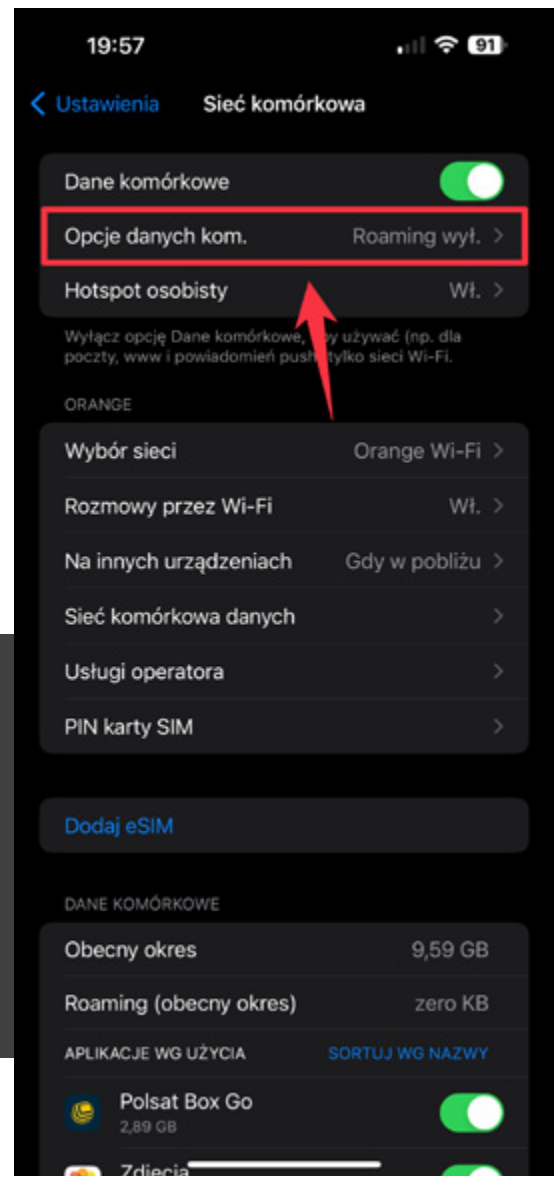

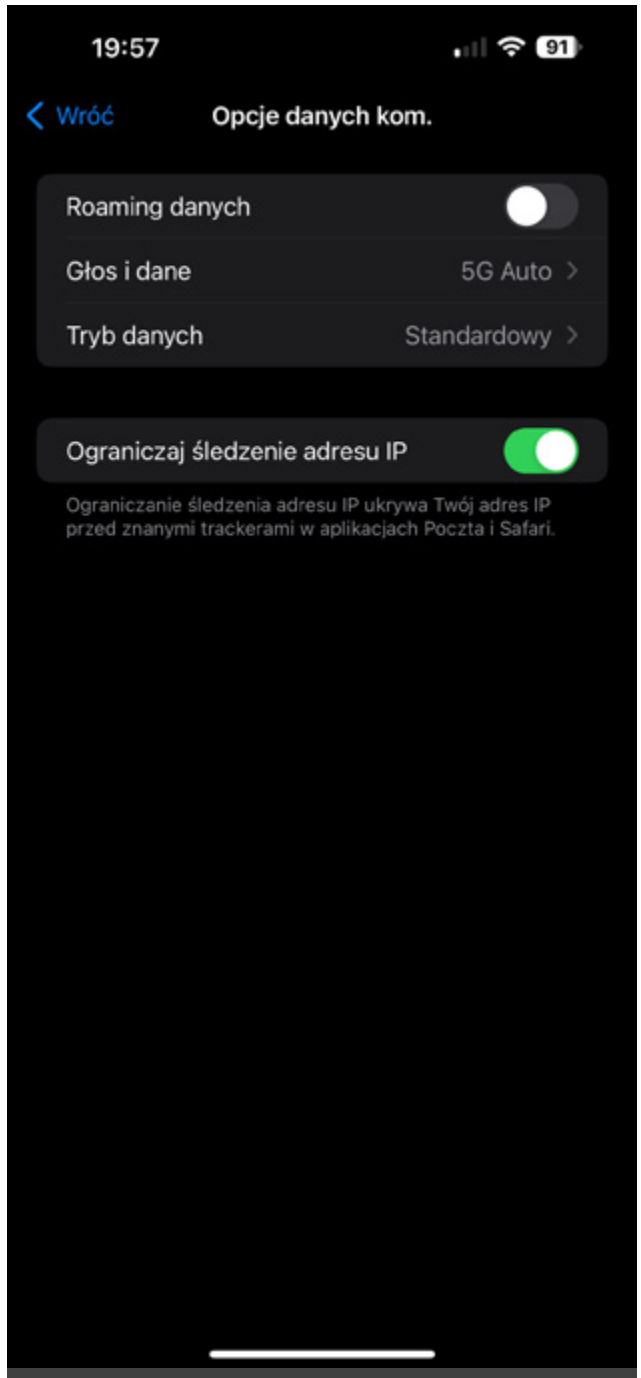

Do kontroli nad transmisją danych służą dwie sekcje – **Głos i dane** oraz **Tryb danych**.

W pierwszej z nich – **Głos i dane** – możemy zmienić automatyczne korzystanie z 5G przez system na zawsze włączone (opcja **5G On**) lub wyłączone (**LTE**).

Ustawiając **5G On**, iPhone będzie korzystał z sieci 5G kiedykolwiek tylko będzie dostępna (o ile smartfon nie jest połączony z Wi-Fi). Zapewni to lepsze transfery, ale wpłynie na szybsze rozładowywanie się baterii.

Z kolei opcja **LTE** wymusi korzystanie ze starszego standardu, ograniczając prędkość transferu danych, ale za to będzie zużywał mniej baterii.

W sekcji **Tryb danych** również znajdziemy trzy opcje konfiguracji — **Więcej danych w sieci 5G**, **Standardowy** (domyślnie zaznaczony) oraz **Niski transfer danych**.

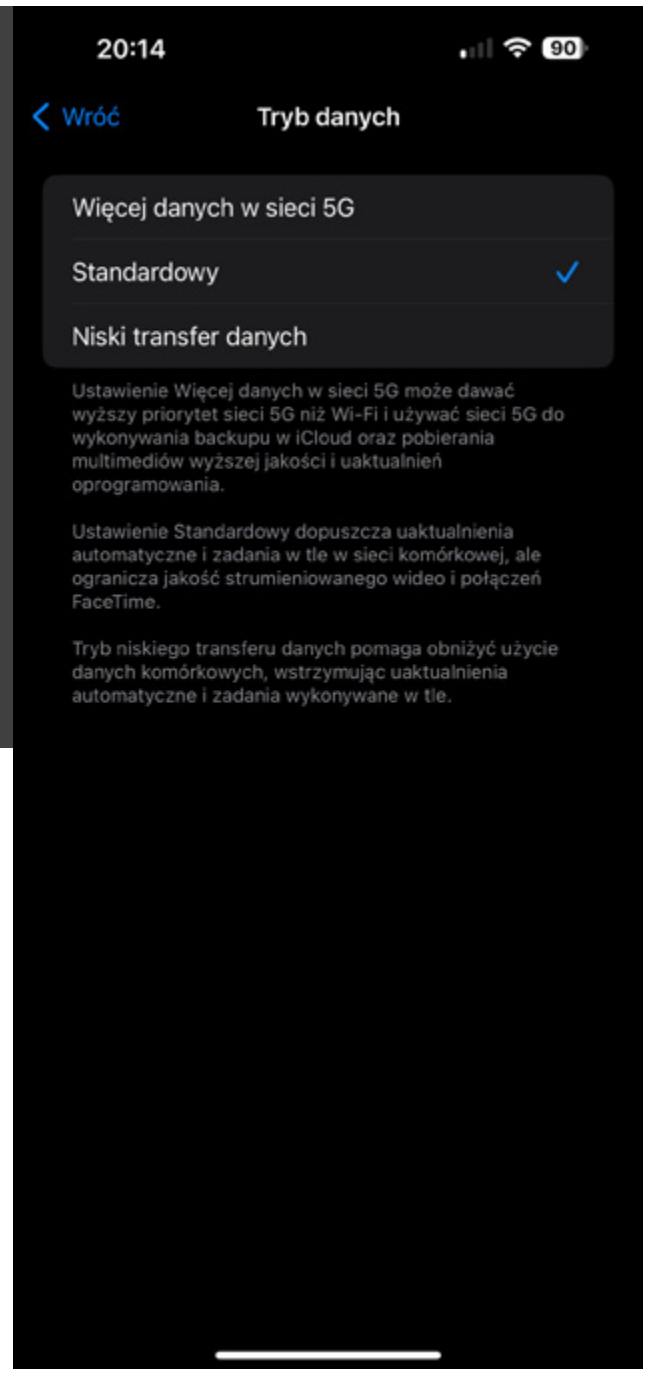

Tryb **Standardowy** umożliwia na przykład pobieranie uaktualnień oraz wykonywanie zadań w tle z wykorzystaniem sieci komórkowej, ale ogranicza między innymi jakość połączeń FaceTime oraz strumieniowania materiałów wideo.

Wybierając **Więcej danych w sieci 5G**, strumieniowanie nie będzie ograniczone, podobnie z połączeniami. Wykonamy wtedy również kopię zapasową do iCloud. Co ciekawe, nawet jeśli w danym momencie będziemy połączeni z Wi-Fi, to jeśli 5G zapewni wyższe transfery – będzie miało priorytet.

W końcu **Niski transfer danych** to tryb, który przyda się, gdy chcemy oszczędzić transfer danych komórkowych. Trzeba pamiętać, że przestaną wtedy działać zadania wykonywane w tle wymagające połączenia z siecią, nie będą się także automatycznie instalować żadne aktualizacje aplikacji.

Dzięki tym dwóm opisanym powyżej opcjom będziemy mieli większą kontrolę na wiele aspektów korzystania z naszego smartfona.

Podcast

bo czemu nie?

TECHNOLOGIE | CZŁOWIEK | KAWA

zaprasza: Krzysztof Kołacz

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE

KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Jak rozmawiać w ramach naszych baniek

Cały ubiegły rok upłynął, mam wrażenie, na obserwowaniu niespotykanej, nawet w naszej technologicznej bańce, liczby wojenek. Oczywiście pojawienie się ChatuGPT i całego dyskursu społecznego na temat AI znacząco się do tego podziału na różne obozy i obozowiska przysłużyło, ale nawet wśród fanów Apple nie brakowało tematów do poruszenia. I tak się zastanawiam, czy ktokolwiek na tym skorzystał?

Rozmowy z innego świata

Ostatnie kilka miesięcy obfituje w rozmaite rozmowy z osobami, z którymi nie poznałem się w technologicznej bańce. Ani tej online, ani offline. Jest to szalenie ciekawe doświadczenie, a właściwie to zbieranie całego naręcza rozmaitych lekcji i wniosków z kilku dziedzin. Od komunikacji interpersonalnej począwszy, przez szeroką wiedzę, której sam bym nigdy nie szukał (o tym jeszcze w dalszej części), a skończywszy na zapisywaniu kolejnych #ahaMomentów w dzienniku.

To takie momenty, w których nasza głowa jest cucona lodowatą wodą, a my zdajemy sobie sprawę, że nagle nikt nie przytakuje i nie zaczyna kolejnego wątku, który przecież już słyszałeś w podcaście lub czytałaś na Twitterze/X czy Reddicie. Nazwałem je sobie roboczo – rozmowami z innego świata – bowiem jest coś niesamowitego w tym, jak bardzo potrafimy zatracić się w naszych małych, tematycznie wąskich bańkach. Geek, nerd, fan Apple lub Samsunga doskonale o tym wie, bo po premierze nowych modeli jest w stanie dyskutować o ich kolorach godzinami. Gdzieś w równoległym świecie ktoś idzie kupić nowego iPhone'a. Kupuje, a potem orientuje się, że jest ciut za duży i za ciężki. I jedyne co robi, to wzrusza ramionami.

Z perspektywy lat coraz mocniej wierzę, że nie trafiamy na innych przypadkiem, ale jednocześnie możemy tych trafień kompletnie nie zauważyć. To dzieje się wtedy, gdy zamiast słuchać – słyszymy. Często powierzchownie, przez co od razu włączamy naszą misję zbawiania świata. Jak nie poprzez „nawracanie" innych w sieci, bo przecież każdy „musi mieć coś od Apple", to przez parafrazowanie ich wypowiedzi w taki sposób, aby wyszło na nasze.

Internetowa agora

O czasach sprzed internetu niewiele się już dziś mówi w kontekście utylitarności. Przecież taki mówca na rzymskiej agorze musiał dokładnie

Internet w rzeczy samej jest i będzie taki, jakim my go sobie stworzymy.

wiedzieć, co i dlaczego chce przekazać w eter. Zgromadzony tłum zaś jegomościa nie mógł nie zauważyć, bo to właśnie zapewniała konstrukcja samej agory. W sieci wszystko jest wszystkim. Każdy musi się na czymś znać, bo przecież my się znamy. On „powinien to wiedzieć", a ona „nie może żyć w ignorancji". Przeczytaj to zdanie jeszcze raz.

Też widzisz, jak absurdalnie brzmi?

Nauczyliśmy się natychmiastowości internetu, a przynajmniej tak nam się wydaje, a przez to niemal każdy komunikat czy przekaz (także ten spoza świata online) traktujemy jak news przelatujący przez timeline. Walka o uwagę drugiego człowieka stała się jakąś tajemną sferą, a my wydajemy ogromne pieniądze, aby inni uczyli nas dostrzegać – ludzi... I nie wiem, czy bez internetu to by się wydarzyło, czy nie. Tego się już nie dowiemy nigdy.

> Internet w rzeczy samej jest i będzie taki, jakim my go sobie stworzymy.

I retoryczne wywody o wszechwładnej AI, która nami steruje, nie są i nigdy nie będą tutaj odpowiedzią na wszystko. Wymówką czy argumentem, który zawsze pasuje i zamyka dyskusję.

O ile w ogóle o dyskusji można jeszcze mówić.

Wytłumacz mi

Zamiast: „Jak możesz tego nie wiedzieć?!" – spróbuj powiedzieć przyjacielowi, znajomej, partnerowi czy żonie: „Wytłumacz mi". I zobacz, co się stanie. A stać mogą się prawdziwe cuda, bo nagle dwójka ludzi (czy to online, czy – najlepiej – offline) wraca do swoich korzeni. Do pewnej nagości, w której nie musi błyszczeć i może czegoś nie wiedzieć. Czymś się nie interesować, czymś zaskoczyć, a jeszcze czegoś przypadkiem się dowiedzieć. Bardzo często w takich momentach zdaję sobie sprawę, że sam nigdy nie szukałbym tej czy tamtej informacji, a okazuje się nierzadko, że jest mi do czegoś przydatna. To jest taki powrót do tak pierwotnej rzeczy, jak przekazywanie sobie wiedzy, inspiracji, ale też

Zamiast: „Jak możesz tego nie wiedzieć?!" – spróbuj powiedzieć przyjacielowi, znajomej, partnerowi czy żonie: „Wytłumacz mi". I zobacz, co się stanie. A stać mogą się prawdziwe cuda, bo nagle dwójka ludzi (czy to online, czy – najlepiej – offline) wraca do swoich korzeni.

jak mówienie o problemach czy marzeniach. Tego nie da się wywołać, zostawiając komuś serduszko pod postem (choć i o tym ludzie napisali już rozprawy naukowe, ale to temat na inne wydanie...).

To da się zobaczyć w czyichś oczach. Ten blask, który pojawia się tuż po tym: „Czekaj, jeszcze raz, bo nie rozumiem, ale to jest ciekawe!".

Ludzie budują całe rodziny na założeniu, że każdy „przecież coś wie". Albo że „nie muszą mówić, bo to oczywiste", a zaraz potem się dziwimy, że coś nie działa.

Otaczając się własnymi pasjami i dzieląc się nimi z innymi, zostaw przestrzeń na pytania. Inaczej to zawsze będzie tylko Twój świat.

Pierwotnie ten felieton ukazał się w formie newslettera, do którego możesz zapisać się pod adresem **boczemunie.substack.com**.

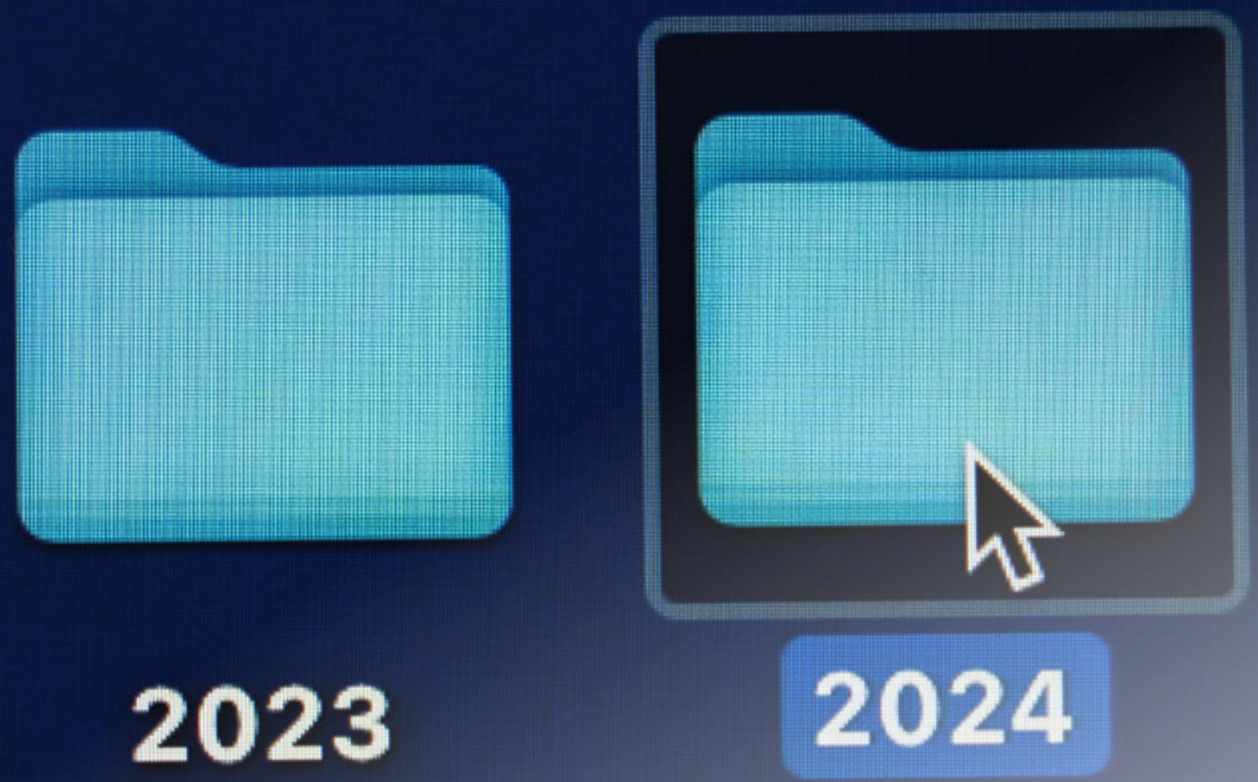

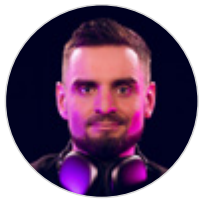

KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Lista życzeń do Apple na 2024 rok

Przed Apple ciekawy rok. Z jednej strony za rogiem mamy premierę headsetu Apple Vision Pro. Z drugiej – kilka niemałych wyzwań w zapomnianych przez firmę kategoriach produktowych. No to po kolei, czego życzę sobie na 2024 rok w kontekście nadgryzionych sprzętów z Cupertino?

Powrót iPadów

O tym mówi się już od dłuższego czasu, a wyniki finansowe Apple zdają się to tylko potwierdzać kwartał do kwartału i rok do roku. iPady sprzedają się zauważalnie gorzej niż kiedyś. Do tego dochodzi jeszcze kwestia oparzenia się z obecnymi bryłami tych urządzeń no i bałaganu w portfolio Apple. Naprawdę trudno jest dziś wytłumaczyć komuś, kto nie należy do bańki technologicznej, jaki iPad jest dla niego idealny.

Mówi się, że firma szykuje spore odświeżenie w ramach wszystkich swoich linii produktowych. Mamy zobaczyć większego iPada Air (na wzór strategii, którą Apple wdrożyło dla MacBooków Air w 2023 roku) w rozmiarze obecnego iPada Pro. Mamy zobaczyć nowe iPady Pro z ekranami OLED. Na to, nie ukrywam, czekam chyba najbardziej. Zwłaszcza na większy model z OLED. Czy będzie droższy? Myślę, że spokojnie możemy się spodziewać znaczących podwyżek w segmencie iPadów Pro. Ekrany OLED są o wiele droższe w produkcji, a tutaj mówimy o czymś większym niż Apple Watch. Tanio już było.

Jeżeli chodzi natomiast o aktualizację procesorów, to życzyłbym sobie (i tak się na 95% stanie), aby wszystkie modele Air i Pro otrzymały Apple M3. To jedyny logiczny i sensowny ruch, który Apple może teraz wykonać. Spodziewam się i życzę też sobie nowych akcesoriów, zwłaszcza poprawionego Apple Magic Keyboard, które w końcu otrzyma może rząd klawiszy funkcyjnych. Prywatnie nie wierzę natomiast w Apple Pencil 3. generacji, o którym jest również sporo doniesień. Nie widzę miejsca na czwarty Apple Pencil w portfolio. Już teraz jest ich o dwa za dużo.

The Watch

W 2024 roku będziemy także obchodzili okrągłą, dziesiątą rocznicę zaprezentowania światu Apple Watcha we wrześniu 2014 roku. Pora na

Jeżeli chodzi natomiast o aktualizację procesorów, to życzyłbym sobie (i tak się na 95% stanie), aby wszystkie modele Air i Pro otrzymały Apple M3. To jedyny logiczny i sensowny ruch, który Apple może teraz wykonać.

coś nowego. Pora na nową, klasyczną bryłę i mam nadzieję, że Apple nie porzuci stali nierdzewnej na koszt aluminium pokrytego tytanem.

Jeśli to zrobią, kupię na zapas kolejną sztukę modelu Series 9 i będzie leżała w szafie. Nie przesiądę się na model Ultra, bo nie jestem jego targetem i lubię stalowe zegarki. I ładne zegarki (wiem, to subiektywne, ale mówię za siebie). Tak więcej, drogie Apple, chętnie zobaczę coś tak spektakularnego, jak jubileuszowy iPhone X. Nie zepsujcie tego!

Nowa Siri

Ostatnią nowością, na którą bardzo czekam i liczę, że się doczekam, jest Siri. I nie chodzi mi nawet tutaj o obsługę języka polskiego, ponieważ nawet jeśli zostanie kiedykolwiek dodana, nie będę z niej korzystał. Wolę angielski. Jest krótszy, jeżeli mowa o wydawaniu komend do asystenta głosowego.

Oby nie przespali momentu, jak Nokia nadejścia smartfonów. Dla Siri to już byłby drugi i raczej ostatni raz.

Zdecydowanie natomiast liczę na to, że dzięki mądrej integracji (takiej w stylu Apple) z generatywną sztuczną inteligencją, Siri w końcu stanie się mądra. Jakkolwiek przydatna poza włączeniem świateł, czyli wejdzie na zupełnie nowy poziom. Jeżeli mam uwierzyć w to, że ktoś pokaże światu po raz kolejny, jak wielką wartością może być ekosystem usług i urządzeń w kontekście AI – to będzie to Apple.

Oby nie przespali momentu, jak Nokia nadejścia smartfonów. Dla Siri to już byłby drugi i raczej ostatni raz.

Dobrego, nadgryzionego roku!

DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Czelendż 2023 – podsumowanie listopada, czyli rowery w Hiszpanii

Mój czelendż zbliża się nieuchronnie do końca. Wiem, że będzie mi go bardzo brakować, bo to była świetna rzecz. Niestety tyle się wokoło dzieje, w szczególności w końcówce roku, że nie byłem w stanie wcześniej opublikować podsumowania listopada. Zatem robię to teraz, przedostatniego dnia roku. Obiecuję, że podsumowanie grudnia i całego roku naszej rywalizacji przeczytacie już w przyszłym tygodniu.

Wyniki listopada

Listopad w liczbach:

- przebiegłem 13,52 km
- przepłynąłem 3775 m...mało
- dynamicznie przeszedłem 67,92 km
- w plenerze przejechałem 337,74 km...
- a na trenażerze dodatkowe 253,63 km...

w sumie z przewyższeniem 11118 m (to mój absolutny rekord!)

W naszym przeliczeniu osiągnąłem 1395,7 km, co ponownie, pozwoliło mi wygrać kolejny miesiąc w naszym współzawodnictwie!

Jak wspominałem we wstępie, listopad to bardzo trudny miesiąc. W listopadzie wydajemy najważniejszy dla nas numer w roku, numer świąteczny. Wiele firm szykuje w tym okresie masę premier, nowości i różnych akcji związanych z końcem roku, które trzeba opracować. Do tego po

trzech latach od przeprowadzki wreszcie zaczęliśmy remont... wszystko na raz. Nie wiedziałem w co ręce włożyć. Czym się zajmować, a tu jeszcze trzeba było treningi ciągnąć. Prawda jest taka, że głownie wieczorami.

Niestety nie udało mi się cztery razy zamknąć kółek, choć bardzo się starałem.

Mimo wszystko, na początku miesiąca mocno zmotywował mnie do ruszenia się wyjazd jaki mieliśmy zaplanowany z kolegami. Kolejna edycja naszego Rowerowego Spa. Tym razem padło na Hiszpanię i okolice Alicante.

Hiszpania idealna na rowery

Okolice Alicante są wręcz stworzone dla rowerzystów. Piękne trasy, z dużymi przewyższeniami. Praktycznie zero samochodów. Z jednej strony góry, z drugiej widok na Morze Śródziemne. Połowa listopada to idealny moment. Piękna pogoda, 20-25°C, lekki wiatr, ciemno robiło się dopiero w okolicy 18.

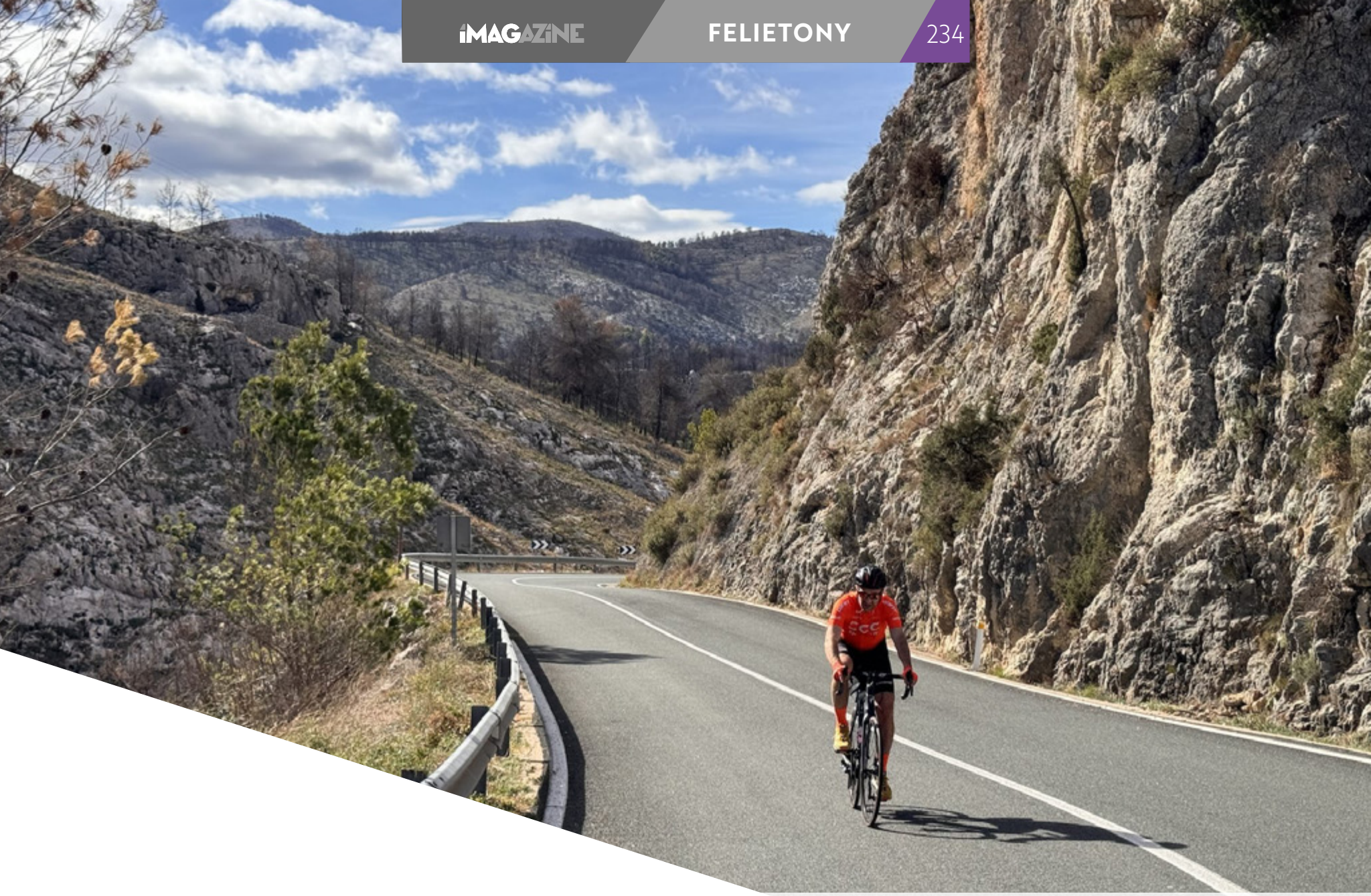

Polecieliśmy w ośmiu. Na miejscu dołączyło jeszcze dwóch uczestników. „Lokalesów” na czele z Michałem Śliwińskim. Świetna ekipa.

Trzy pełne dni jazdy. Pierwszy dzień to trasa około 100km z przewyższeniem na poziomie ponad 1800 m. Drugi był dłuższy i trudniejszy – około 130 km i ponad 2300 m przewyższenia. Trzeci był najkrótszy – około 73 km i 1100 m przewyższenia.

Nasze trasy krążyły wokół kultowej drogi na Coll de Rates, o której parę miesięcy temu, **w marcu, pisał w iMagazine Adalbert Freeman**. Protip dla każdego wybierającego się na taką wycieczkę – bierzcie swoje dętki. Koszt znikomy, a jak jeszcze kupicie dętki TPU np na AliExpress, to nie dość, że zapłacicie grosze, to jeszcze będą one malutkie i lekkie... ja pierwszego dnia miałem totalnego pecha i zmieniałem dętkę 4 razy... kosmos. Dobrze, że było nas w sumie dziesięciu i było więcej dętek do wykorzystania.

Jako bazę wybraliśmy miejscowość Altea, która oddalona jest o około 45 minut od Alicante. Przelot w dwie strony, wykupiony 5 miesięcy wcześniej, kosztował 860 PLN. Lata tam bezpośrednio WizzAir. Na miejscu wypożyczyliśmy samochody. Koszt crossovera na 3 dni to 160 EUR. W Altea wynajęliśmy przez Booking dwa urokliwe apartamenty w starej części miasta, idealne dla całej naszej ekipy – koszt na osobę, przez trzy dni, wyniósł po 150 EUR. I teraz najlepsze – koszt wynajęcia roweru zamknął się w ~75 EUR na osobę. Zaznaczę, że na trzy pełne dni, rowery... Pinarello, szosa endurance, full carbon, na Shimano 105 Di2... nowe. Wcześniej wysyłaliśmy nasze wymiary do wypożyczalni, zatem gdy je odbieraliśmy były wstępnie ustawione pod każdą osobę indywidualnie. Kompletnie nie opłaca się wieźć swojego roweru w tamtą okolicę.

PINARELLO
PINARELLO

port/puerto de
Bèrnia 620 m
8000watt
KOP'I'ERK

Absolutnie polecam – miejsce i porę roku.

Kondycja

Ostre przygotowanie jakie sobie narzuciłem przed wyjazdem na Coll de Rates zaowocowało u mnie formą życia. Nigdy wcześniej nie czułem takiej pary w nogach. Genialnie mi się podjeżdżało pod podjazdy, z których najostrzejsze miały po 17%. Warto o tym pomyśleć zawsze przed zaplanowanym wyjazdem sportowym. Teraz przed wieloma z nas będą narty. Jest jeszcze czas aby coś zrobić i się dobrze do nich przygotować, tak jak jak się przygotowałem do rowerów w Hiszpanii. Codzienny trening na trenażerze, ukierunkowany właśnie na podjazdy dał niesamowite efekty. Wszystkim to polecam.

Tymczasem powoli kończymy zabawę. Obserwujcie naszą www, bo niebawem opublikuję podsumowanie minionego roku i Czelendżu 2023. Trzymajcie się.

GRACJAN PIETRAS
@GracjanPietras

Bitcoin, nie blockchain!

Blockchain to modne słowo. Wykorzystują je pączkujące start-upy oferujące swoje liczne kryptoaktywa: kontraktów, zdecentralizowanych wyroczni, NFT itp. Modę podtrzymują jeszcze liczniejsi dziennikarze, blogerzy, podcasterzy i influencerzy, których zapał jest najczęściej kupowany. Tymczasem blockchain to ślepa ulica, która nie niesie ze sobą żadnej rewolucji technologicznej. Poza Bitcoinem.

Blockchain to po prostu baza danych. Fakt, że dane umieszczone są w powiązanych kryptograficznie pakietach, tego nie zmienia. Jego minusem jest niska wydajność. Stąd złośliwe powiedzenie, że blockchain to po prostu „powolna baza danych". Plusem jest transparentność, dzięki której manipulacje w bazie są niemożliwe do ukrycia. Zmiany wstecz są natychmiast widoczne, dzięki kryptograficznym zależnościom pomiędzy blokami łańcucha.

Tylko tyle. Powolna baza danych, której nie można zmienić niezauważenie.

Pozorna decentralizacja

Sam fakt, że zmian w bazie nie można ukryć, nie oznacza, że nie można ich dokonać i narzucić użytkownikom. Wbrew odmiennym poglądom sam w sobie blockchain nie chroni użytkowników przed takim ryzykiem. Przykładem może być Ethereum. W 2017 roku wąska grupa osób podjęła decyzję o zmodyfikowaniu jego blockchainu wstecz w celu wyeliminowania z historii konkretnych transakcji, będących efektem działań hakerskich. Następnie skutecznie narzuciła użytkownikom zmodyfikowany blockchain. Odszczepieńcy, którym to się nie podobało, zostali z niezmienioną wersją, która straciła na znaczeniu.

Na pierwszy rzut oka można sądzić, że możliwość ingerencji w blockchain w zbożnym celu to pożądana cecha. Co złego może być w usunięciu skutków ataku hakerskiego? Sama możliwość dokonania takiej ingerencji oznacza, że system pozostaje pod czyjąś kontrolą. Nie jest więc niezależny, a jego użytkownicy muszą zaufać podmiotowi kontrolującemu blockchain. Musimy uwierzyć w to, że nie wykorzysta on swojej kontroli do cenzurowania transakcji lub fałszowania danych.

Sam fakt, że zmian w bazie nie można ukryć, nie oznacza, że nie można ich dokonać i narzucić użytkownikom. Wbrew odmiennym poglądom sam w sobie blockchain nie chroni użytkowników przed takim ryzykiem.

Natychmiast narzuca się więc pytanie, w czym taki blockchain miałby być lepszy od innych narzędzi bazodanowych, pozostających pod kontrolą korporacji lub państw? Trudno taką wartość w ogóle dostrzec. Bez względu na szczegółowe różnice technologiczne, z punktu widzenia kontroli nad danymi, mamy do czynienia z bazą danych jakich wiele. Można nawet twierdzić, że użycie blockchainu w takim przypadku nie ma sensu. Skoro kontrola nad bazą ma być de facto scentralizowana i pozostawać w ręku konkretnych osób, lepiej wykorzystać szybsze i wydajniejsze narzędzia bazodanowe niż blockchain. Na przykład znane od dawna bazy MySQL czy Oracle. Natomiast reklamowanie takiego blockchainu jako systemu zdecentralizowanego jest po prostu wprowadzaniem użytkowników w błąd.

Co takiego ma Bitcoin, czego nie mają inne blockchainy

Rewolucją było stworzenie bazy danych, której nie da się zmienić wstecz, ocenzurować lub sfałszować. Proponuję zatrzymać się na chwilę i jeszcze raz przeczytać poprzednie zdanie, aby w pełni uświadomić sobie jego znaczenie.

Satoshi Nakamoto stworzył zupełnie nową kategorię. Blockchain jest jej koniecznym

elementem, ale nie jest wystarczający. Niezbędny jest także dowód pracy (proof-of-work), czyli technologia nazywana w sieci Bitcoina kopaniem lub górnictwem. Dopiero oryginalna kombinacja tych dwóch technologii przyniosła przełom.

Blockchain tak, ale zdecentralizowany!

Blockchain będzie tym bardziej odporny na modyfikacje, im bardziej będzie zdecentralizowany. Skuteczne dokonanie wstecznej zmiany blockchainu – jak w opisanym przypadku Ethereum – może być dowodem braku decentralizacji. Blockchain jest rzeczywiście zdecentralizowany, jeśli został powielony w sieci peer-to-peer na dziesiątkach tysięcy urządzeń o identycznym statusie, kontrolowanych przez niezależnych od siebie użytkowników, z których żaden nie ma wpływu na sieć jako całość. Taką siecią nikt nie zarządza, nikt nie nadaje i nie odbiera w niej uprawnień, i nikt nie może z niej nikogo wykluczyć. Wszyscy funkcjonują na równych prawach zgodnie z zasadami konsensusu. Zasady te są jednakowo wobec wszystkich egzekwowane, zaś wszystkie próby ich naruszania są automatycznie eliminowane i karane.

Taki zdecentralizowany blockchain powstanie tylko wówczas, jeśli dołączenie do sieci będzie łatwe i zrobi to wiele osób. Pamiętajmy, że każdy uczestnik sieci przechowuje całość danych (pełny blockchain) na własnym urządzeniu.

Taki zdecentralizowany blockchain powstanie tylko wówczas, jeśli dołączenie do sieci będzie łatwe i zrobi to wiele osób. Pamiętajmy, że każdy uczestnik sieci przechowuje całość danych (pełny blockchain) na własnym urządzeniu. Ponieważ z każdym nowym blokiem blockchain się powiększa, powiększa się również przestrzeń dyskowa potrzebna do jego przechowywania. Jeśli blockchain będzie rozrastał się zbyt szybko, niewiele osób będzie mogło pozwolić sobie na zakup urządzeń potrzebnych do jego przechowywania. Zmniejsza się liczba węzłów, które przechowywane są

na dużych serwerach lub w serwisach chmurowych i zwiększa się ryzyko ataku lub przejęcia kontroli nad siecią przez niewielką grupę ludzi.

Decentralizację Bitcoina zapewniają dość długie, dziesięciominutowe odstępy pomiędzy blokami oraz limit wielkości bloków, dzięki którym blockchain powiększa się wolniej niż pojemność łatwo dostępnych i tanich twardych dysków. Mimo że z każdym blokiem blockchain zajmuje coraz więcej miejsca, utrzymywanie węzła jest stosunkowo tanie i łatwe. Dzięki temu węzłów są dziesiątki tysięcy, a sieć rozciąga się na wszystkie kontynenty.

Dłuższe odstępy pomiędzy blokami i mniejsze bloki to również mniejsza liczba transakcji. Ceną decentralizacji jest więc zmniejszenie wydajności sieci, liczonej w liczbie transakcji na sekundę. Jest to jednak cena, którą warto zapłacić, ponieważ uzyskujemy dzięki niej niewiarygodnie solidny fundament, na którym możemy budować kolejne warstwy za pomocą nowych technologii. Skalowanie Bitcoina polega na poszukiwaniu technologii, które umożliwią płatność przy możliwie minimalnym obciążeniu blockchainu. Przykładami takich technologii są sieć Lightning, Liquid, Fedimint czy Cashu.

Skalowanie Bitcoina polega na poszukiwaniu technologii, które umożliwią płatność przy możliwie minimalnym obciążeniu blockchainu. Przykładami takich technologii są sieć Lightning, Liquid, Fedimint czy Cashu.

Dowód pracy (proof-of-work)

W systemie proof-of-work blockchain może zostać zmieniony wyłącznie przez tego, kto w energochłonnym i kosztownym procesie losowania odnajdzie nowy blok. Konieczność poniesienia realnego kosztu skutecznie powstrzymuje próby wstecznego zmieniania bitcoina. Dodanie nowego bloku jest bardzo kosztowne. Zmiana wsteczna musiałaby wiązać się z podmienieniem jednego z starszych bloków, a następnie wykopaniem kolejnych bloków tak, aby stworzone w ten sposób odgałęzienie blockchainu stało się dłuższe niż oryginalna wersja. Zgromadzenie energii i mocy obliczeniowej, która byłaby do tego niezbędna, przekracza możliwości kogokolwiek, włącznie z rządami państw. Próba takiego ataku wiązałaby się z wysokim ryzykiem gigantycznej straty, zaś potencjalna korzyść sprowadzałaby się do możliwości płacenia bitcoinami.

Altcoiny i podobne aktywa zapisane na blockchainach chronionych technologią dowodu stawki (proof-of-stake) nie są w stanie konkurować z Bitcoinem pod względem neutralności i bezpieczeństwa. Są one podatne na rozmaite ataki oraz cenzurę.

W każdym przypadku znacznie korzystniejsze byłoby przyłączenie się do sieci i kopanie zgodnie z jej zasadami po to, aby otrzymać nagrody za wykopane bloki.

W ten czysto zautomatyzowany i obiektywny, ale także bezwzględny i surowy sposób, od prawie piętnastu lat zapewniana jest prawdziwość zapisów w sieci Bitcoina. W systemach proof-of-stake, w których górnicy zastąpieni zostali przez tzw. walidatorów, powyższy mechanizm obronny nie występuje. Sieć może bronić się, usuwając nieuczciwych uczestników (tzw. slashing), jednak ryzyko skutecznego ataku, np. w drodze zmowy walidatorów, jest nieporównanie wyższe z uwagi na znacznie większą centralizację oraz brak obiektywnego realnego kosztu ataku w postaci wydatku energii.

Brak konkurencji

Żadna inna sieć nie jest zdecentralizowana w stopniu zbliżonym do Bitcoina. Żadna nie jest też chroniona przez tak liczną grupę osób gotowych do poniesienia kosztu energii w celu ochrony własnych i cudzych oszczędności oraz wolności dokonywania transakcji pieniężnych bez cenzury.

Altcoiny i podobne aktywa zapisane na blockchainach chronionych technologią dowodu stawki (proof-of-stake) nie są w stanie konkurować z Bitcoinem pod względem neutralności i bezpieczeństwa. Są one podatne na rozmaite ataki oraz cenzurę. Ponieważ pozostają pod kontrolą jakichś inwestorów, fundacji lub nawet pojedynczych start-upów czy przedsiębiorców, nie mogą pełnić funkcji pieniądza w jakichkolwiek poważnych rozliczeniach. Żaden istotny uczestnik rynku, państwo,

fundusz inwestycyjny czy duża korporacja nie uzależni bezpieczeństwa swoich lub powierzonych aktywów od arbitralnych decyzji i humorów fundacji Ethereum czy innych podobnych mniej lub bardziej sformalizowanych grup interesów. Blockchainy chronione dowodem stawki można więc wykorzystywać do testowania nowych pomysłów zabawy czy zapisywania obrazków.

Blockchain sam w sobie nie jest rewolucyjną technologią przyszłości, ale w najlepszym przypadku placem ćwiczeń. Jego przydatność ograniczona jest niską wydajnością. Naprawdę przydatny staje się, jeśli uda się go zdecentralizować i rozproszyć na wielu urządzeniach po całym świecie. Pod warunkiem, że zapewnimy również jego niezależność od użytkowników, co możliwe jest wyłącznie za pomocą technologii dowodu pracy. Bez tego mamy po prostu do czynienia z bazą danych pozostającą pod cudzą kontrolą, tylko że nieskalowalną i powolną. Warto o tym pamiętać.

Słuchaj na Spotify

Słuchaj w Apple Podcasts

rekomendowany przez iMAGAZiNE

PODCAST

INNA KULTURA

Kino. Seriale. Popkultura

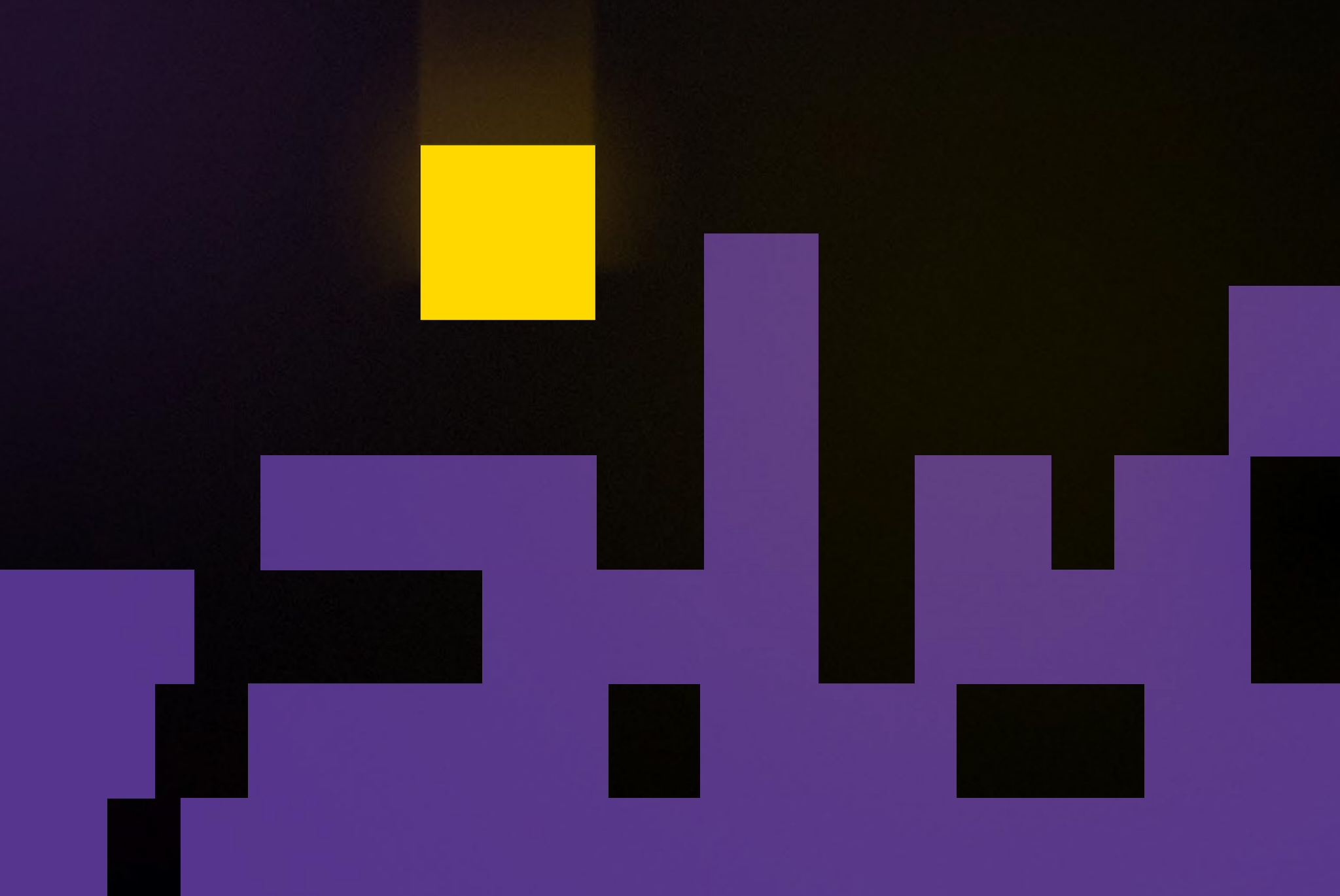

JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Godzilla Minus One

Ocena iMagazine

Najsłynniejszy filmowy gad powraca! Godzilla z okazji swoich 70. urodzin znów zdobyła kina. Jednak nie mówię tu o amerykańskim filmie z franczyzy MonsterVerse, a nowej produkcji z Japonii – ojczyzny tego wielkiego kaiju.

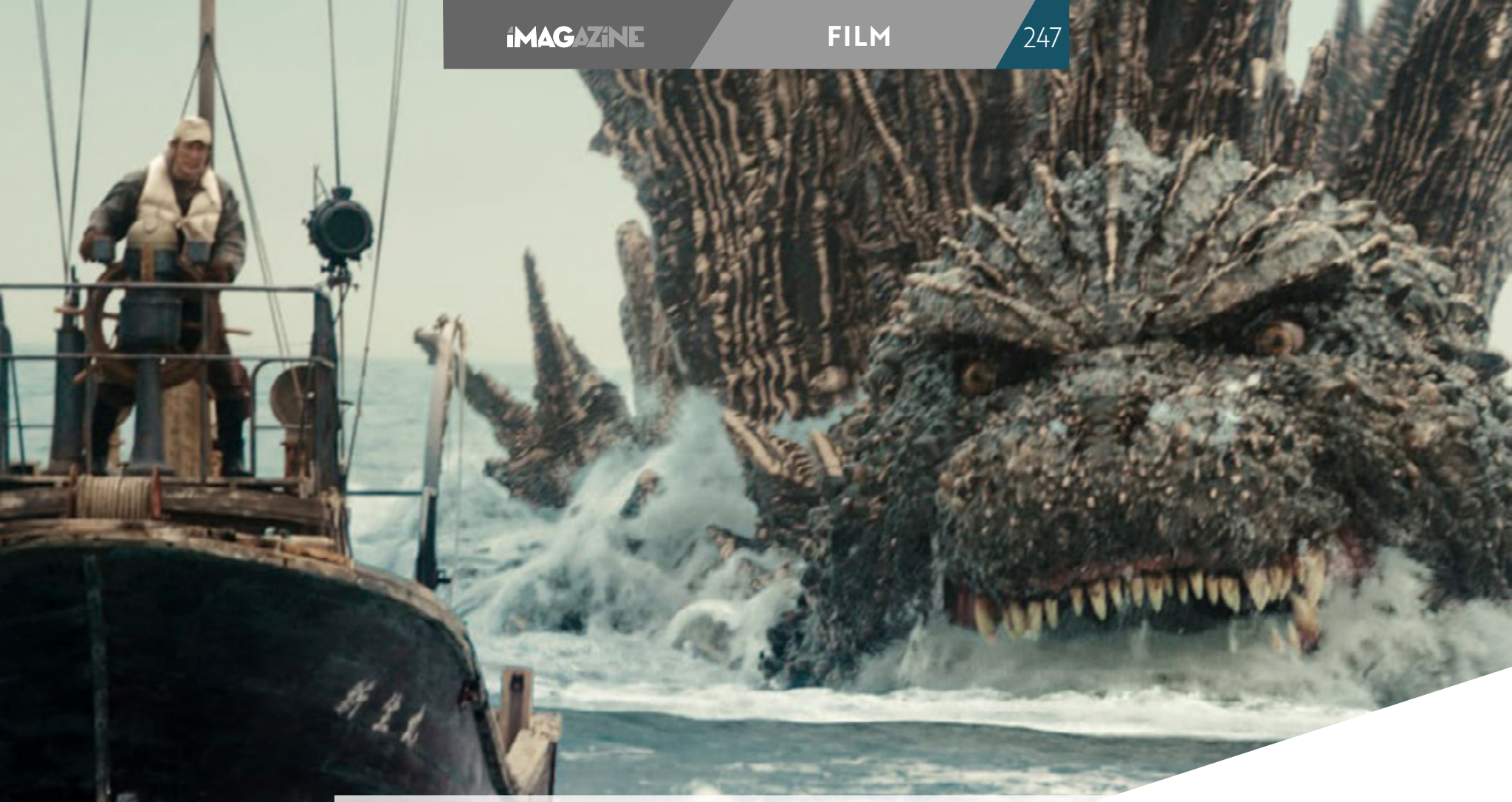

„Godzilla Minus One" to najnowsza produkcja, za którą odpowiedzialne jest Togo Studios – wytwórnia matka tego wielkiego potwora. Mimo że w Polsce film przemknął bardzo szybko przez kina, najprawdopodobniej jest jednym z najciekawszych blockbusterów 2023 roku

Od premiery pierwszego filmu w 1954 roku powstało kilkadziesiąt filmów, których bohaterem była Godzilla. Choć pierwotnie potwór niszczył (lub bronił) miast Japonii, po wielu latach przeniósł się również do Stanów Zjednoczonych. W 2014 roku do kin wszedł film Garetha Edwardsa, rozpoczynający tzw. MonsterVerse od Warner Bros i uchodzący za legendarny. Od tamtej pory powstało już kilka filmów, a właśnie w emisji jest serial na Apple TV+.

Rozgrywający się w 1946 roku „Godzilla Minus One" to nie tylko film, który powraca do filmowego DNA potwora, ale również skupia bardzo mocno na ludzkich bohaterach. Obraz powojennej Japonii, która stara się podnieść po latach walk, a ludzie próbują odnaleźć się w nowym życiu bez wojny. Jakby tak spojrzeć na całość, to jest to film o wojnie, związanej z nią traumą i próbach powrócenia do życia, pogodzenia się z porażkami i akceptacją samych siebie. To naprawdę wielowymiarowy film, który działa na widza na wielu płaszczyznach. Co najlepsze, nikt się właściwie tego nie spodziewał.

Oglądając „Godzilla Minus One", czuć, że ten film powstał faktycznie z miłości do tego potwora i potrzeby złożenia mu należytego hołdu. Najbardziej można zdać sobie z tego sprawę, wiedząc, że całość miała budżet w wysokości zaledwie 15 milionów dolarów. To najlepszy przykład tego, że dobry pomysł i sprawne wykorzystanie dostępnych środków są o wiele lepsze od góry pieniędzy i CGI do użycia. Takashi Yamazaki (odpowiedzialny za scenariusz, reżyserię i efekty specjalne) stworzył coś, co pod wieloma względami bije na głowę większość filmów z uniwersum, z amerykańskimi rebootami na czele.

„Godzilla Minus One" wziął mnie z zaskoczenia – podobnie pewnie jak wielu innych widzów. To wielowymiarowa opowieść o ludziach, którym zagraża ogromny radioaktywny gad, nie jest on jednak traktowany przez twórców tylko jako coś, z czym zmierzyć się mają bohaterowie. Godzilla ma tutaj szacunek twórców, a co za tym udzie, widzowie również czują przed nim wielki respekt. Dla mnie to naprawdę ciekawa pozycja, która okazała się jednym z najlepszych blockbusterów roku, choć, co zabawne, ostatecznie ten film wcale nie jest typowym blockbusterem.

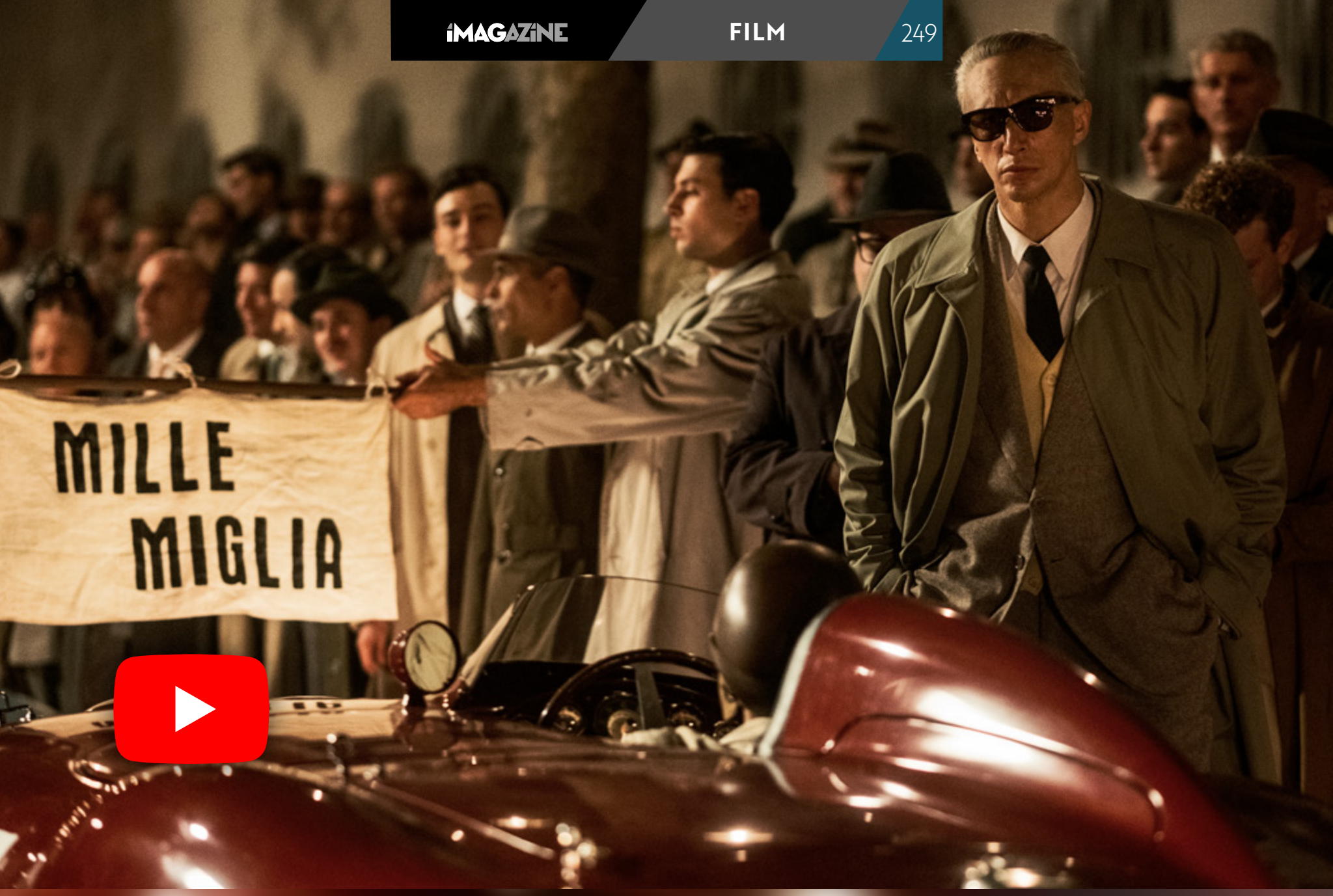

JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Ferrari

Ocena iMagazine

Michael Mann to jeden z najciekawszych reżyserów kina akcji. Choć jego filmy pojawiają się już dość rzadko, to wciąż wywołują sporo emocji. Do naszych kin weszła właśnie produkcja, której głównym bohaterem jest słynny Enzo Ferrari.

Kino akcji lat 80., 90. i początku nowego millenium należało do Michaela Manna. Wystarczy wymienić takie produkcje jak serial „Policjanci z Miami", „Gorączka" czy „Zakładnik", by podkreślić, o jakim twórcy mówimy. „Ferrari" to zaledwie drugi film reżysera, jaki pojawił się w ciągu ostatnich 15 lat, dlatego był gorąco wyczekiwany przez widzów. Czy Mann wciąż ma w sobie to coś, co sprawia, że jego kino nie daje nam o sobie zapomnieć?

Główną rolę Enzo Ferrari zagrał Adam Driver, w jego żonę Laurę wcieliła się Penélope Cruz, a Shailene Woodley zagrała Linę Lardi – kochankę, partnerkę i matkę drugiego syna Enzo. Film skupia się na krótkim etapie życia słynnego założyciela wytwórni samochodów wyścigowych. Większość akcji

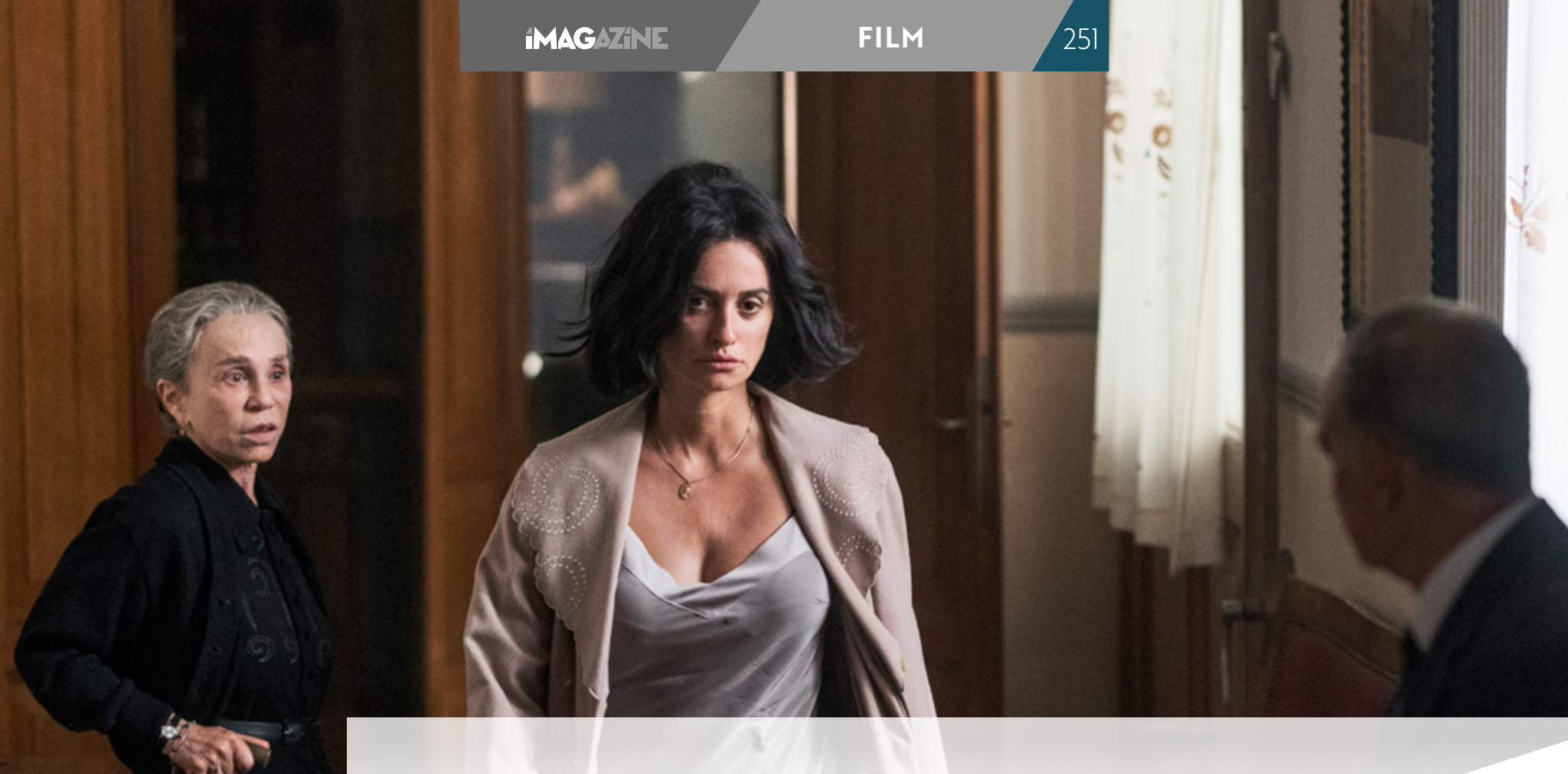

umiejscowiona jest w drugiej połowie lat 50. ubiegłego wieku, a całość zwieńcza tragiczny wypadek podczas wyścigu Mille Miglia w 1957 roku.

Mann podjął idealną decyzję, by przedstawić nam sylwetkę Enzo przez pryzmat fragmentu jego życia. Gdyby Ridley Scott poszedł tą drogą przy okazji swojego „Napoleona", zapewne byłby to film o wiele lepszy.

Nie jestem znawcą historii ani Enzo Ferarri, ani samej marki tych samochodów. Dlatego też fabuła filmu była dla mnie czymś nowym, jednak podejrzewam, że osoby obeznane z tematem i tak nie będą się podczas seansu nudzić. Mimo że sekwencje akcji pojawiają się dopiero w trzecim akcie, to nie można powiedzieć, że film jest nudny. Trwający lekko ponad dwie godziny obraz zleciał mi w zasadzie nie wiadomo kiedy. Adam Driver jako skoncentrowany na sukcesie Enzo jest naprawdę świetny, jednak to Penélope Cruz kradnie show za każdym razem, kiedy pojawia się na ekranie. Film jest opowieścią o tym, jak osiągnąć zamierzony cel i nie poddawać się, pomimo przeciwności losu, które nieustannie pojawiają się na naszej drodze.

Film o Enzo Ferrari mógłby pewnie zrobić każdy, ale to Michael Mann nadaje mu stylu, którego nie można pomylić z żadnym innym twórcą. Przede wszystkim jest to produkcja zrealizowana z niesamowitym pietyzmem. Zarówno zdjęcia, jak i cała strona techniczna stoją na bardzo wysokim poziomie. W tle cały czas czuć stawkę, o jaką toczy się gra – to dość charakterystyczne dla filmów Manna. Podobnie jak jego wczesne filmy

„Ferrari" jest elegancki i niespokojny, wzbudzający poczucie, że coś przerażającego może czaić się za każdym rogiem. A kiedy reżyser przyczepia kamery do samochodów i wysyła je w drogę, obraz przekształca się w coś chaotycznego – gorączkowy sen (a może koszmar) prędkości i dymu.

Ferrari miał 59 lat, gdy rozgrywały się wydarzenia tego filmu. Grający go Adam Driver jest o całe 20 lat młodszy. Ma na twarzy przekonującą, lecz niedoskonałą charakteryzację i wypowiada się z włoskim akcentem. Nie można oderwać od niego wzroku. Driver sprawia, że Ferrari ta solidna rola. Człowiek górujący nad wszystkimi wokół niego i zawsze przykuwający naszą uwagę. Ludzie nazywają go commendatore – to nierzadki tytuł honorowy we Włoszech w tamtym czasie.

Pomimo skupienia się tylko na części życiorysu tytułowego bohatera ten fragment w zupełności nam wystarczy, by poznać Enzo i dowiedzieć się, jakim człowiekiem jest. Mann potrafił stworzyć kompletny obraz wizjonera, bez zagłębiania się w każdy, nawet najdrobniejszy szczegół jego życia.

Dramatyczna wielkość „Ferrari" polega na tym, że nie sprawia, że wyścigi lub życie wydają się łatwiejsze, niż są. Film opowiada o zwycięstwie, ale także o cenie, jaką trzeba za nie zapłacić.

Przy okazji, jeśli chcecie posłuchać o jednym z najważniejszych filmów Michaela Manna, czyli o „Gorączce", to zapraszam **do odcinka podcastu Inna Kultura, który jest temu filmowi poświęcony**.

JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Premiery streamingowe styczeń 2024

Detektyw: Kraina nocy

Nowa odsłona kultowego już serialu HBO. Akcja „Krainy nocy" zabiera nas na daleką Alaskę, gdzie w tajemniczych okolicznościach znika ośmiu pracowników Arktycznej Stacji Badawczej. Sprawą zajmie się detektyw Liz Danvers i Evangeline Navarro. Będą one musiały zmierzyć się z wewnętrznym mrokiem i prawdami pogrzebanymi głęboko pod wiecznym lodem.

Premiera: 15.01

HBO max

Criminal Record

Anonimowy telefon wciąga dwójkę błyskotliwych detektywów w historię dotyczącą starej sprawy morderstwa – jednym z nich jest młoda kobieta na wczesnym etapie kariery, a drugim – mężczyzna zdeterminowany, by chronić swoje dziedzictwo. Serial porusza kwestie rasowe, porażki instytucjonalnej i poszukiwania wspólnej płaszczyzny w spolaryzowanej Wielkiej Brytanii.

Premiera: 10.01

tv

Masters Of The Air

Serial ukazuje historie ludzi z 100. Grupy Bombowej („Krwawa setka"), którzy przeprowadzają niebezpieczne naloty bombowe nad nazistowskimi Niemcami i zmagają się z mroźnymi warunkami, brakiem tlenu i czystym terrorem walki prowadzonej na wysokości 25 000 stóp w powietrzu. Niektórzy zostali zestrzeleni i schwytani; niektórzy ranni lub zabici. Niektórym udało się wrócić do domu. Niezależnie od indywidualnego losu każdy z nich zebrał ciężkie doświadczenie.

Premiera: 26.01

tv

Władcy wszechświata: Rewolucja

Nowo zmechanizowany Szkieletor, uzbrojony w potęgę Motherboard atakuje serce Eternii, podczas gdy książę Adam zmaga się z odpowiedzialnością i tym, co to oznacza dla niego jako He-Mana! Adam jest zmuszony wybrać między berłem a mieczem i życiem jako król lub czempion!

Premiera: 25.01

NETFLIX

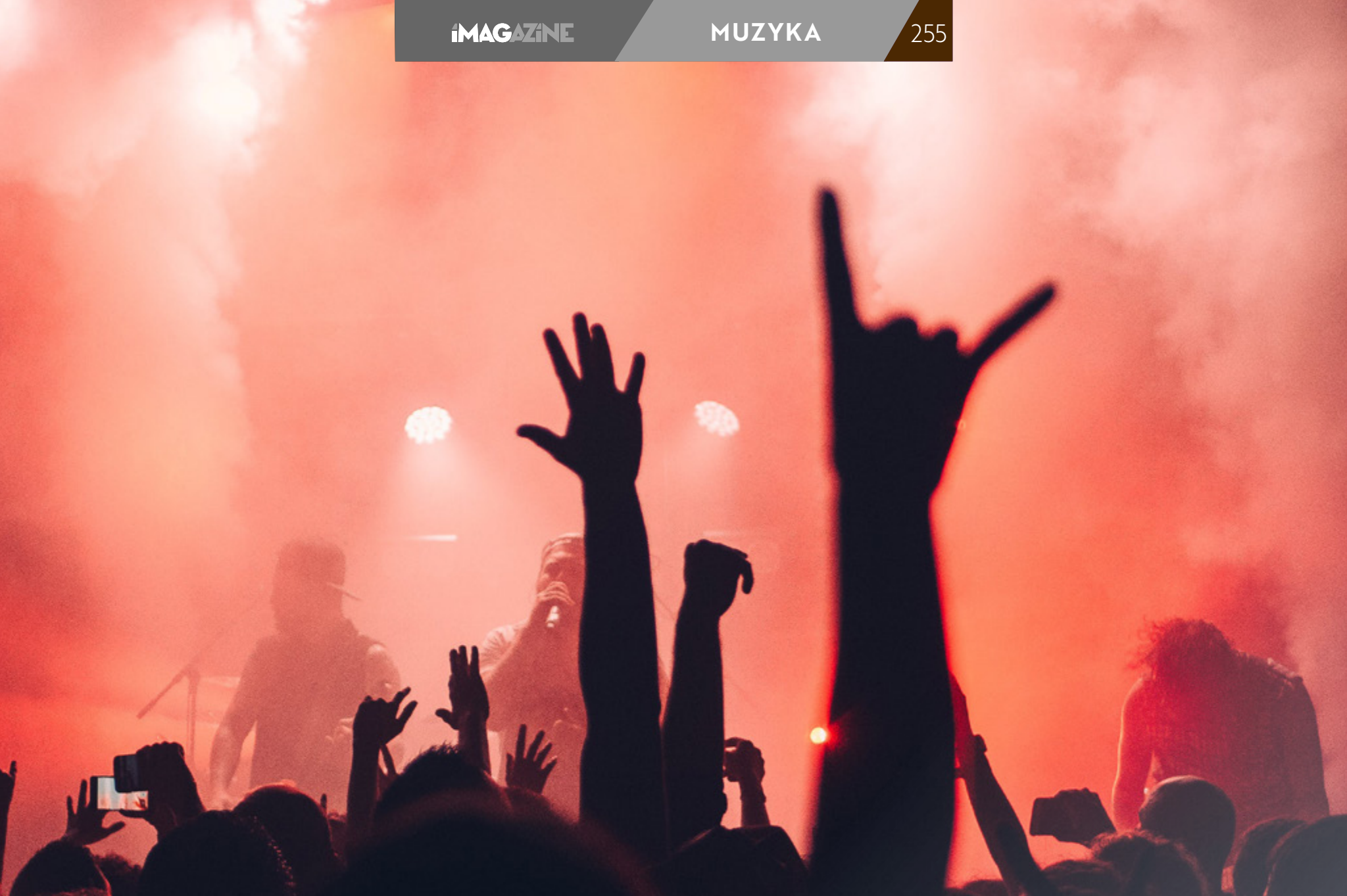

MACIEJ SZAMOWSKI
@czesc_macio

Starzy, ale jarzy

Przyznam Wam się szczerze, że nigdy nie byłem wielkim fanem Stonesów. Raczej zawsze byłem w teamie The Beatles i muzyka tych pierwszych kojarzyła mi się dosłownie z kilkoma hitami z radia czy MTV, ale nic poza tym.

Do zmiany mojego podejścia doszło przy okazji najnowszej płyty Hackney Diamonds, która z początku nie przypadła mi do gustu, by potem totalnie zawładnąć moim czasem odsłuchowym.

Pomijam to, że całość jest genialnie nagrana, a mix w Dolby Atmos robi szczególnie dobre wrażenie, co nie jest oczywiste w przypadku muzyki rockowej – szczerze polecam sprawdzić te wersję płyty na Apple Music.

To, co uderzyło mnie na maksa, to energia witalna, jaką czuć na tym albumie. To coś niesamowitego. Panowie, którzy mają blisko 80 lat na karku, zachowują ładunek energetyczny, który sprawia, że nawet w ciele 30-latka z Polski potrafi zabić mocniej serce. Ta muzyka ma power, którego już dawno nie czułem w żadnym nagraniu, niezależnie od gatunku.

Dało mi to ponownie do myślenia – coś chyba faktycznie jest w tym pokoleniu wojennym, które zaczynało kariery muzyczne w latach 60. ubiegłego wieku. Serio, oni są chyba z innej gliny. Wystarczy pomyśleć o tym, że wszystkie prawa fizyki, cała wiedza medyczna i zdrowy rozsądek mówi nam, że powinni już dawno wąchać kwiatki od spodu. W końcu każdy z nich „eksperymentował" ze wszystkim, co można uznać za środek odurzający. A jednak, Ci Panowie dalej żyją i to żyją życiem, którego może im pozazdrościć niejeden 20-, czy 30-latek. Po prostu żyją życiem pełnym. Coś niesamowitego, prawda?

To niesamowita lekcja dla nas. Warto żyć, warto próbować, warto popełniać błędy, ale przede wszystkim warto być ciągle ciekawym i pełnym pasji, tylko wtedy jesteśmy w stanie funkcjonować i żyć tak długo. Żyć, a nie wegetować czy czekać na koniec.

Cofnę się jeszcze do warstwy muzycznej, ponieważ łączy się też z wątkiem, o którym wspominałem wcześniej – nikt tak nie pisze już muzyki jak to pokolenie, które powoli nas opuszcza. 80-letni goście, a robią muzykę, której nie powstydziłby się John Mayer czy inni artyści, którzy obecnie są na topie. Rolling Stones pokazuje tym albumem, że nigdzie się nie wybiera, że przed nimi jeszcze 10, jak nie 40 lat życia, bo mają na nie apetyt. A apetyt na życie to wszystko, czego potrzebujemy, by dożyć tych 100 lat.

Jak to mawiał Steve Jobs: „Stay hungry, stay foolish" – tego życzę Wam w 2024 r.

MAŁGORZATA ŁADA

Ciasto makowo-jabłkowe

Skład:

- 1 puszka gotowej masy makowej
- 4 duże deserowe jabłka
- 4 jajka
- 1 łyżeczka proszku do pieczenia
- ½ szklanki kaszy manny
- Bakalie: garść rodzynek, orzechów włoskich i migdałów
- Polewa:
- ½ kostki masła
- 2 łyżki cukru
- 3 łyżki mleka
- 3 łyżki kakao

Jabłka obieramy i ścieramy na tarce o dużych otworach. Rodzynki przelewamy gorącą wodą i dobrze odsączmy, orzechy i migdały dość grubo siekamy.

Oddzielamy białka od żółtek. Żółtka łączymy z masą makową i jabłkami. Dodajemy kaszę mannę i proszek do pieczenia oraz bakalie i wszystko dobrze mieszamy. Białka ubijamy na sztywną pianę i stopniowo dodajemy do masy, delikatnie mieszając. Gotowa masa makowa jest dość słodka, w zależności od tego, jakie dodaliśmy jabłka, można trochę dosłodzić.

Ciasto przelewamy do tortownicy i pieczemy w temp. 180 stopni przez ok. godzinę.

Przygotowanie polewy czekoladowej:

W rondelku podgrzewamy masło z cukrem, dodajemy 3 łyżki mleka i zagotowujemy. Zdejmujemy rondelek z ognia, dodajemy kakao i dobrze mieszamy. Wystudzone ciasto dekorujemy polewą.

Można też zrobić lukier ucierany, w zależności od upodobań.

iMAGAZINE

DOSTĘPNY NA

nexto.PL